

Aby do mety

Joanna Kruszewska

Poniedziałek

Magazynier, sprzedawca, specjalista ds. projektów, inżynier procesu powlekania... A co to takiego...? Wyświetl szczegóły... Chemia. Odpada. Asystentka, referent, cokolwiek... Coś, co pozwoli mi spędzić minimum czasu w pracy, a maksimum w domu. No i zagwarantuje jeszcze jako takie zarobki.

Handlowiec.

Kolejny handlowiec.

O i jeszcze jeden.

Westchnęłam w parującą kawę. Nie będzie łatwo. Najlepiej by było - posiadając wszelkie możliwe atuty intelektualne - znać jeszcze wszystkie języki świata, no, przynajmniej z pięć. Pięciu nie znałam. Z konwersacyjnym angielskim i podstawami niemieckiego, za pomocą którego raczej trudno przychodziło mi porozumienie się z kimkolwiek, praca na etacie - powiedzmy asystentki - odpadała z mety. Aha, przydałoby się jeszcze tak z dziesięć lat doświadczenia zawodowego, powalająca na kolana aparycja i najlepiej tak ze dwadzieścia dwa, góra trzy lata. Jestem stara! Matko kochana, jestem za stara, żeby znaleźć jakąś sensowną robotę. Miotając gromy, ruszyłam do lusterka, powtarzając sobie po drodze, że kobieta z trzydziestką na karku dopiero po kilku zabiegach kosmetycznych może rano wyglądać jako tako. Więc nawet jeśli zobaczę potwora, a zobaczę na pewno, to odrobina mlecza, toniku, kremu, no i szamponu, podkład, lekki make-up, to wszystko na pewno zdziała cuda, nie ma co panikować.

Rzuciłam rozpaczliwe spojrzenie, najpierw z daleka i przy włączonym tylko górnym, łagodnym świetle. Hm, nie jest źle. Później odważyłam się zapalić jeszcze podświetlenie punktowe i podejść dwa kroki bliżej. No tak, jakaś szara jestem i kurze łapska rysują się całkiem wyraźnie, stwierdziłam, jeżdżąc już nosem po lusterku. Gotowa byłam

lecieć w kraciastym szlafroku Łukasza do pobliskiej drogerii po jakieś cudowne specyfiki. Cudowniejsze od posiadanych i wklepywanych obecnie. Idiotka, że niby im więcej wklepiesz, tym więcej lat ci ubędzie. Nie pal tyle, kawska nie żłop bez opamiętania, to i zmarszczek nie będzie. Znaczący, na pewno nie będzie ich tak szybko przybywać. Chociaż kto wie, co ja mam w genach zapisane...

- Ulaaa - zawyłam dokładnie piętro wyżej, w drzwiach kochanej sąsiadki i jednej z dwóch najbliższych moich przyjaciółek. Jasna głowa wychyliła się jak zwykle z kuchni, razem z nią wychylił się też słodki, cynamonowy zapach.

- Wirusa się nie boisz? Stasiek z przedszkola kolejną ciekawą chorobę przytachał - poinformowała od razu od drzwi.

- A ciebie też wzięło? - zainteresowałam się na wszelki wypadek.

- Nooo, zdaje się że powoli bierze. Oszczędzę ci szczegółów...

- Zaryzykuję, nic nie jest w stanie mnie już bardziej przybić - rzuciłam dramatycznie.

- Ooo, faktycznie coś nieciekawie wyglądasz.

- Nie dobijaj mnie. - Klapnęłam na kuchenną ławę. - Jestem stara, chyba nigdy nie wyjdę za mąż i nie będę mieć dzieci, poza tym nikt mnie nie przyjmie do pracy, bo nie umiem szyć... Buuu. Dlaczego mnie rodzice nie przysposobili do jakiegoś konkretnego fachu? Dlaczego sama się nie przysposobiłam?

- Nie bucz. Kawy ci zrobić?

- Od kawy przybywa mi zmarszczek.

- Sypaną czy rozpuszczalną? - Stała już w pełnej gotowości między czajnikiem a szafką z kubkami.

- Rozpuszczalną z mleczkiem, duuużo mleczka - miauknęłam zgodnie. Jak to dobrze czasami znaleźć się w

pobliżu osoby zdecydowanej i opiekuńczej. Zapach już praktycznie wbijał mi się do nosa i powodował lekkie skurcze puściutkiego żołądka. - A co tu tak pachnie?

- A tu tak pachną pierniki. Późno się za nie wzięłam, ale gdybym zrobiła to wcześniej, pewnie by zeżarli i na święta musiałabym dorabiać. No co tam - kubek wylądował przede mną razem z porcją brązowych, ciepłych jeszcze ciastek - gadaj.

- A o czym tu gadać. Czy ty wiesz, ile mam lat? Łukaszowi się nie spieszy do zakładania rodziny... Na dodatek nikt nie chce mnie zatrudnić. Czarna rozpacz. Kolejne święta spędzę w gronie zatroskanej rodziny, zatroskanej przede wszystkim o mój stan cywilny. Po prostu miód. Próbkę mam przy okazji każdego telefonu od mamy. Dzięki Bogu dzisiaj jeszcze nie dzwoniła.

- Przecież chyba jesteście zaręczeni... nie? Stasiu, zostaw pilota.

- Taaaa, chyba jesteśmy... A widziałaś u mnie jakiś pierścionek? Bo zdaje się zaręczyny to z pierścionkiem. Widziałaś jakiś? - wysunęłam przed siebie obie dłonie.

Ula posłusznie pochyliła się nad nimi, wypatrując choćby śladu biżuterii.

- Faktycznie, nie ma, ale... Mirul, rozejrzyj się po kątach i zastanów chwilę, czy aby na pewno wiesz, do czego tęsknisz.

- Ula zerknęła do dużego pokoju, po czym kategorycznie i bez zbędnych ceregieli odebrała najmłodszej latorośli pilota.

Rozejrzałam się po znajomych kątach. Odwieczny ład, skład i porządek. Odwieczny zapach czegoś pysznego, pieczonego, smażonego. No i odwieczny hałas. Czy wiem, do czego tęsknię... Głupie pytanie. Pewnie, że nie wiem. Zdaje się, że nikt w tym zwrotnym punkcie swojego życia nie ma bladego pojęcia, na co się pisze. Ale słowo rodzina ma niebagatelny wymiar, a dzieci...

Państwo Zabroccy doczekali się czwórki potomstwa, które temperament odziedziczyło zdecydowanie po mamusi. Chwilami miałam wrażenie, że Ula ma nie dwie, a przynajmniej pięć rąk. Co za tym idzie, jej potomstwo miało tych rąk cztery razy więcej. Nóg też. Jeszcze gdyby te wszystkie ręce i nogi umieścić w jednym ciele, dałoby się wytrzymać. Ale one były na osobnych korpusikach, a te korpusiki rozbiegały się zazwyczaj w przeciwnych kierunkach. Rozliczne ręce grzebały w różnych miejscach, w których zdecydowanie nie powinny grzebać. Patrz kontakty, zwoje kabli, włączniki, a teraz - proszę bardzo, najmłodszy potomek znowu dorwał pilota i usiłował przetestować na nim trwałość dopiero co wyrżniętych siekaczy. Co zwycięży? Ząb czy wstrętny, oporny plastik? Najwyraźniej stawiał na ząb. Wskazywały na to zaciekłość i pasja, z jaką usiłował rozgryźć coraz to nowe miejsca.

- Stasiu, co ja mówiłam? Zostaw pilota! Patrz i dalej się zastanawiaj - to było już do mnie, z delikatnym rozdrażnieniem w głosie.

Staś zaprzął wreszcie - całkiem skutecznie - swoją uwagę piernikami. Wymyślił zabawę w chomika, który zbiera zapasy na zimę. Wepchnął sobie w i tak pyzate już policzki po kilka ciastek, po czym wypiąwszy na nas swój tłuściutki, czteroletni zadek, pobiegł na czworaka do dużego pokoju. Słodkie.

- Mira... Chomiki gromadzą zapasy na zimę?

Wzruszyłam ramionami.

- Pojęcia nie mam, ale zdaje się, że nie.

- Trzeba będzie porozmawiać z Pawełkiem, niech sobie dziecko błędnych teorii nie wymyśla. Swoją drogą, skąd mu te chomiki, może o wiewiórki mu chodziło... No i czy on czasami nie powinien już wyrosnąć z gryzienia wszystkiego,

co mu wpadnie w ręce? - zastanawiała się, wrzucając na blachę kolejne ciastka.

Rzecz jasna, że trzeba. Z Pawełkiem wszystko musiało być skonsultowane. Począwszy od tego, ile ziemniaków nabyć - przy czym nabywała zawsze Ula, uprzednio odprowadziwszy wszystkie dzieci do szkół i przedszkoli, dwójka tu i dwójka tu - poprzez to, co właściwie rodzina życzy sobie na obiad, a zawsze decydował pan i władca Zabrocki, skończywszy zaś na konsultacjach z zakresu edukacji dzieci. To zawsze Paweł wiedział najlepiej, on - instancja wyższa, władza absolutna i nieomylny monarcha w jednym. Nie można powiedzieć miłościwie nam panujący. Ula godziła się na istniejący układ, podejrzewam też, że w dużej mierze była jego twórczynią, ale chwilami szlag mnie trafiał. Człowiek potrafi się zredukować do istoty stricte użytecznej dla innych, własne potrzeby zepchnąć głęboko w zakurzony kąt, jeszcze czymś przykryć, żeby - uchowaj Boże - się stamtąd nie wydostały. Teraz wyciągnie kolejną partię ciastek, odgarniając ramieniem jasny kosmyk z policzka, za chwilę wstawi jakieś mięcho do pieczenia, potem ułoży Staśka do drzemki i wykorzystując względną ciszę w domu, usiądzie przed komputerem, żeby powklepywać trochę danych. Miała stałą pracę z możliwością od - bębnienia jej w domu. Inny układ nie wchodził w grę. Podziwiałam ją, co tu dużo gadać. W porównaniu z życiem Uli, moje wyglądało sielsko anielsko i, trzeba ze skruchą przyznać, nader leniwie i bezproduktywnie.

Wylądował przede mną kolejny talerz z ciepłymi piernikami. Roilo się od serduszek, gwiazdek i wycinanych przez Stasia armat, do złudzenia przypominających męskie przyrodzenia, różnych długości i grubości, kształtem jednak nieodmiennych.

- No co się przyglądasz, armaty - prychnęła Ula.

- Niezłe - wzięłam jedną do ręki - ciekawe skąd wzorzec. Tatusiowy? Hi, hi. No i oświeć mnie, gdzie niby tu lukier lać, hę?

- No gdzie? Na całość. Niech ci nie przyjdzie do głowy ozdabiać tylko końcówki... - Ula już rozstawiała na stole miseczki z rodzynkami, orzechami i wiórkami kokosowymi.

- Czemu nie, można by jeszcze trochę polać na jąderka, a na to orzechy laskowe. - Wybrałam dwa najdorodniejsze egzemplarze. - O tak.

Ścierka z precyzją - świadcząca o latach praktyki - wylądowała dokładnie na środku mojej kudłatej łepetyny.

Cisza. Jedyne dźwięki, jakie rozlega się w mieszkaniu to w miarę rytmiczne pukanie. Czapy śniegu co chwilę odrywają się od parapetów i z cichym pacnięciem kończą kolejny etap podróży na ziemię.

Chcę już wyjść za mąż.

Chcę mieć takiego Stasia albo Marysię.

Chcę mieć wycinane z piernikowego ciasta penisiki.

Chcę mieć pogryzionego pilota od telewizora...

Chcę i tyle.

Łukasz wrócił późno. Trzaśnięcie drzwiami, łomot teczki rzuconej bezwzględnie na szafkę w przedpokoju, po czym w drzwiach pojawia się jego łysiejąca - o przepraszam, dostaje drgawek, jak się tak mówi - jego ozdobiona zakolami, szlachetna głowa.

- Co zjem?

- Dzień dobry, kochanie...

- Dobry, dobry. - Obowiązkowy cmok w powietrze tuż nad moją głową. - Co dobrego jest do zjedzenia?

- Zupka, podgrzać?

- A jaka? - już zaglądał do lodówki po cokolwiek.

- Pomidorowa.

- Pomidorowa była wczoraj - stwierdził z pretensją.

- Dzisiaj jest również, nie zgłaszałeś zamówienia na inną
- wzruszyłam ramionami.

- Wiesz, że nie znoszę jeść dwa dni pod rząd tej samej zupy. Siedziałaś cały dzień w domu, nie mogłaś czegoś ugotować?

- Nie siedziałam cały dzień w domu - cholera, tłumaczę się - byłam u Uli.

Tłumaczę się - trzeba dodać - jego pochylonym plecami. W nosie ma, gdzie byłam. Siedzę w domu, znaczy nie mam pracy, więc w ciepłe domowych pieleszy powinny na niego czekać dwudaniowy obiad plus deser i niewiasta przyodziana w kusy fartuszek. A nie drugi dzień z rzędu taka sama zupa. Na dodatek pomidorowa z ryżem. Przecież on nie cierpi pomidorowej z ryżem. Makaron ma być. Najlepiej kolanka pluskające radośnie w odmętach przecieru i gęstej, tłustawej śmietany. O, leniwa kobieto. Zagotowałam się. A kolanka zapluskały jedno o drugie. Moje kolanka, nie makaronowe. Ze złości.

W takich momentach można zrobić dwie rzeczy. Albo pokusić się o natychmiastową konfrontację roszczeń, a co za tym idzie doprowadzić do awantury, albo spożytkować mało konstruktywną energię w inny sposób. Nic na to nie poradzę. Patologicznie nie znoszę awantur, a nauczona wieloletnim mieszkaniem w towarzystwie Łukasza wiem, że skończyłoby się właśnie tym. Unik. Nie pozostaje nic innego.

Drzwi łomotnęły same z siebie i wypuściły trochę pary. Resztę pary straciłam, lecąc z furkotem po klatce schodowej. Na parterze już miałam tylko lekką sapkę, ale trudno powiedzieć, czy czasami nie z powodu kiepskiej kondycji.

Natychmiast, natychmiast zawlec go do ołtarza. Albo nie. Najpierw znaleźć pracę i zmienić tę chorą sytuację. To nie ja jego, ale on mnie będzie ciągnął na ślubny kobierzec... Za

rude kudły, razem z ambicjami, z ciepłą posadką i, generalnie rzecz biorąc, całą moją świeżo zdobytą niezależnością.

Bo miałam ambicje. A jakże.

Po cichutku, nic nikomu nie mówiąc, ukończyłam podstawowy kurs grafiki komputerowej. Podstawy były mi potrzebne, żeby ujarzmić to bydlę, Photoshopa. Źle mówię. Nie ujarzmić, tylko się z nim zaznajomić. Do ujarzmienia jeszcze mi trochę brakowało (!!!???), aczkolwiek w naszej znajomości, trzeba przyznać, szala dominacji zaczynała już przechylać się na moją stronę. Po cichutku też zaczęłam nachodzić zaprzyjaźnionego informatyka i wyciągać maksimum informacji na temat możliwości mojego laptopa. Jako że przy bliższej znajomości z wyżej wymienionym programem zaczynał nieco niedomagać.

Laptop, nie informatyk.

Kilka wizyt i już miałam głowę pełną całkiem sympatycznej terminologii, ogólnie pojętego oświecenia w kwestii procesorów i wiedziałam, na co mam zamienić swego poczciwego, wysłużonego laptopa. Dowiedziałam się też, ile kosztuje cudo, na którym powinnam się szkolić i dokształcać. Dużo. Zdecydowanie za dużo. Z pensyjki szkolnej nic mi już nie zostało. W ogóle z czasów piastowania posady nauczycielskiej zostały mi tylko mętne i niekoniecznie przyjemne wspomnienia.

- No Mira, nie będę cię czarował, ale to raczej maszynka do pisania. Sprytna, zgrabna, strony też ci chyba ładnie odpala, ale trzeba by procesor wymienić, Pentium 4, no i pamięci dołożyć, a gdzie tu pamięć dołożysz? No tak, żeby przynajmniej z 512 MB było...

Reasumując, z Marcinowych wykładów przepelnionych terminami brzmiącymi dla laickiego ucha cokolwiek egzotycznie wynikało jedno - świetność mojego sprzętu minęła bezpowrotnie.

No, ale przecież o tym chyba Łukasz świetnie wie. Nie powiedział mi?

Ano nie powiedział. Zaczytany w swoich projektach po uszy, moje zapędy graficzne zbywał lekkim machnięciem ręki i pobłażliwym stwierdzeniem, że mi przejdzie. Dlaczego właściwie mój mężczyzna nie może mnie traktować poważnie? Od początku twierdził, że jedyne, do czego się nadaję, to wykładanie historii w pobliskim gimnazjum. Podczas gdy mnie wystarczyły trzy pełne lata, żeby nabrać zupełnie odmiennego przekonania. Ale moją argumentację zbywał krótkim „rzadko się zdarza, żeby ludzie lubili to, co robią”. Dodawał jeszcze, że mając tyle lat, ile mam, powinnam już mieć jako takie pojęcie o życiu i nie idealizować wszystkiego. A grafika? Ot, kolejny wymysł niezdecydowanej niewiasty.

A właśnie, że nie. Nawet jeżeli mam szukać przez całe życie zajęcia, które sprawi mi satysfakcję, to będę szukać. Choćby mnie najbliżsi kłuli idealizmem w oczy.

Impas. Bez pracy nie będę miała sprzętu, bez sprzętu nie będę mogła dłużyć w grafice, bez dłużenia... hm, pozostanę tym, kim jestem. Znaczący... nikiem? Albo kimś goniącym ideały?

A najgorsze w tym wszystkim jest to, że z zamążpójścia zrobiłam sobie cel nadrzędny. Marzenie numero uno. Priorytet. Z trudem opanowałam ochotę powrotu do mieszkania i wykonania krótkiego, acz bogatego w treść telefonu do mamy.

Musisz wreszcie wyjść za mąż. Co z ciebie za kobieta, że on nie chce się żenić? Czy ty naprawdę nie potrafisz go zachęcić? Aż się wierzyć nie chce, że jesteś moją córką, ja w twoim wieku, ble, ble, ble...

Nie dalej jak wczoraj uraczyła mnie kolejną pokrzepiającą rozmową i jak zwykle udało jej się podnieść mnie na duchu.

Teraz, owszem, przy wtórze padającego sobie cichutko śniegu człowiek nabierał dystansu i miał głęboko w poważaniu wszystkie inwektywy, które leciały z matczynych ust nieprzerwanym potokiem. Wystarczył jednak live, a zaczynałam się robić malutka i brzydka niczym gnom, albo inne równie paskudne stworzenie żywcem wyciągnięte z tolkienowskich powieści. Ciężka artyleria argumentacji, mniej lub bardziej racjonalnej, spadała nieodmiennie z ogromną siłą i cała moja samoocena leciała na łeb na szyję. Ech, mamusiu, w zawziętym pędzie, żeby czasami córka nie popadła w samouwielbienie, trochę przegięłaś. Czego bym nie zrobiła, zawsze było niewystarczające, zawsze niedociągnięte, niedoskonałe...

Nie wiadomo, kiedy pretensja do Łukasza przerodziła się w swoistą retrospekcję i żal do toksycznej rodzicielki.

Bo że była toksyczna, nie dało się ukryć.

Jeszcze chwilę, a łzy zaczęłyby się lać strumieniami i zamarzać w rześkim, grudniowym powietrzu. Taka ze mnie biedna i nieszczęśliwa istota. Niekochana, samotna, idealizująca wszystko i wszystkich.

Rozkręcam się, cholera. Pociągnęłam nosem. Zupełnie niepotrzebnie się rozkręcam, a najgorsze, że ostatnio zdarza mi się to coraz częściej. Jest to związane nierozdzielnie z wiekiem. Na pewno. Wcześniej takie rzeczy nie zdarzały mi się często. Może ja już nawet przekwitam?! Matko kochana, nie wydawszy na świat potomka, przechodzę klimakterium...!!!

Z zamyślenia i z dna rozpaczony wyrwało mnie spojrzenie wielkich oczu. Wielkie oczy były osadzone jakby... w próżni? Przyjrzałam się oczom dokładniej. Okrągłe jak paciorki wlepiały się we mnie z wysokości około piętnastu centymetrów znad małej kupki śniegu bez mrugnięcia. Ja z kolei zamrugałam kilkakrotnie. Niemożliwe, żeby śnieg miał

oczy, do groma. Podeszłam kawałeczek bliżej. Kupka śniegu zawarczała cicho, ale niewątpliwie niezbyt przyjaźnie. Pies. A przez chwilę myślałam, że natrafiłam na jakiś ewenement przyrodniczy. Cofnęłam się kawałek, za to zwierzątko wynurzyło się właściwie z... znikąd i ruszyło - już z głośniejszym warkotem - za mną. Szlag by trafił. Wrócę do domu z potarganymi nogawkami.

- Zibi??!!! Ziiiiiiii...

- To pewnie do ciebie. Rusz się, paskudniku - zachęciłam zwierza.

Ruszył się, a i owszem, ale bynajmniej nie w kierunku, z którego dobiegało wołanie. Usiadł sobie małym, kościstym tyłkiem na chodniku i wystawił na widok publiczny całą baterię zębów.

- No, przydybałem cię. Co, na panią polujesz? - Rosły facet wprawdzie zgarnął smycz z chodnika i przyciągnął psa do siebie. - Proszę się nie denerwować, nie ugryzie.

Przystojny facet. Trzeba przyznać. Spod małej, wełnianej czapeczki we wszystkich kolorach tęczy wystawały tu i ówdzie ciemne, długawe kudły. Czapka kłóciła się wściekle z resztą stroju, na którą składał się firmowy dres i także sportowe obuwie.

- Myślałam, że się zgubił. Nie, nie denerwuję się. - Biegaj sobie, człowieku, dalej, a bydlę trzymaj na krótkiej smyczy, dodałam w duchu, po czym ruszyłam w drogę powrotną do domu.

Tup, tup. Dobiegło mnie.

Dlaczego on idzie za mną? Na groźnego - zdaje się - nie wygląda, w dzisiejszych czasach nie wiadomo jednak, co takiemu sportsmenowi może do łba strzelić.

Nie wiadomo. Przyspieszyłam nieznacznie kroku, łudząc się, że w ewentualnym sprincie ja, nałogowy palacz, mam jakieś nikłe szanse. Ale wybujała wyobraźnia już

przedstawiała koszarne wizje - zgwałci, zabije, porzuci gdzieś na klatce na pożarcie wygłodzonych szczurów. Idiotko, u nas nie ma szczurów! Nic to, będę się bronić, jak już mnie dopadnie. A dopadnie, bo przyspieszył kroku. Dotarłam nareszcie do klatki, ale oczywiście w takich przypadkach klucz się blokuje, zamek zacina i ogólnie rzecz biorąc, wszystko idzie jakoś tak wolno, wyłączając poczynania ewentualnego złoczyńcy. Po kilku cichych i niewyszukanych przekleństwach, paru rozpaczliwych zerknięciach za plecy udało mi się w końcu otworzyć drzwi. Czmychnęłam więc szybko do środka, przytrzymując jednocześnie klamkę.

Nie wejdiesz, maniaku. Odechce ci się molestowania niewinnych kobiet.

- Co pani wyprawia, przycięła mi pani rękę - rozdarł się dresiarz. Zibi, z niewiadomych względów, dzielnie mu zawtórował. Przecież jeszcze niczego, wbrew najszczerzszym chęciom, mu nie przycięłam.

Faktycznie, ręka była już na klatce, a jej właściciel zdecydowanie na zewnątrz.

- To czemu pan się pcha do cudzych klatek?! Niech pan zabiera te graby!!!

- Kobietooooo, oszalałaś, połamiesz mi kości! Ja tu mieszkaaaam.

Zaskoczona poluzowałam trochę uścisk. Złoczyńca wykorzystał to błyskawicznie. Wparował do klatki, prawie tocząc pianę pod tęczową czapeczką.

- Idiotka - wysyczał, kiedy już przymykałam oczy, gotowa zresztą na wszystko.

Rzekomy sąsiad - nie obrzuciwszy mnie jednak ani jednym spojrzeniem - wbiegał już na górę, złorzecząc głośno i wyzywając mnie od znerwicowanych idiotek.

- Bałwan - rzuciłam nader adekwatnie do pory roku. Chyba nic z jego strony już mi nie grozi. Gdzieś na górze

trzasnęły drzwi. Na wszelki wypadek odczekałam dobre pięć minut, po czym odważyłam się ruszyć do windy.

Oczywiście, całkiem bezwiednie, wcisnęła się szóstka zamiast piątki i już po chwili łomotałam do drzwi Uli. Drzwi jak zwykle otwarte. Czy ci ludzie nie boją się o swój dobytek? Wchodząc, zarejestrowałam, że pachnie apetycznie smażoną cebulką.

- Dobrze trafiłaś, zaraz jemy kolację. - Nawet nie obrzuciwszy mnie spojrzeniem, Ula dostawiła jeszcze jeden talerz.

- Uleńko, skarbie, czy ja jakoś specjalnie pachnę? Skąd wiesz że to ja...? - zapytałam, moszcząc się na ławie.

- Wiem, widziałam cię przez okno. Zapoznałaś się już z naszym nowiuśkim sąsiadem. Widziałam, a jakże. Psa ma do niczego, ale on całkiem, całkiem. Jakiś dziennikarz, czy coś takiego.

Oklapałam z sykiem.

- Jak to sąsiad? Jak to, do groma, dziennikarz? On mnie napastował! - oświadczyłam z oburzeniem. Ale już nieco mniej świętym.

Ula odstawiła garnek i przyjrzała mi się z zainteresowaniem.

- No prawie... - Pod wpływem tego spojrzenia zdobyłam się na maksimum obiektywizmu i opowiedziałam historię zagubionego w moim przekonaniu, bo przecież nie w rzeczywistości, psa, drzwi i ręki.

- A ciocia Mira to zawsze ma takie ciekawe przygody - stwierdziło najstarsze dziecię Zabrockich. - Jak to się, tatuś, nazywa?

- Mania prześladowcza, córeczko - trafił jak zawsze w sedno Paweł. - Pyszna kolacyjka, kochanie. Mniam, mniam. Ziemiaczki boskie.

- Jaka mania? Mnie się naprawdę wydawało, że z jego zamiarami jest coś nie tak - broniłam się jeszcze, ale coraz wyraźniej było widać jaką idiotkę z siebie zrobiłam. - Ciekawe, czy rękę ma całą... - dodałam już całkiem niepewnie.

Tata Zabrocki. Zawsze na miejscu, zawsze gotowy służyć pomocą. Szlag by go z tą gotowością.

- Pożyczyłem mu wiertarkę. Pójdę, sprawdzę i dokładnie ci opowiem. A jakby co, zawezwę, żebyś mu przykładała kompresy w ramach rekompensaty. Moralnej - dodał kąśliwie.

- Dziękuję bardzo. Wiesz, Uluś, ja już pójdę, tam Łukasz pewnie czeka. Długo mnie już nie ma.

- Nie zjadłaś.

- Jakoś nie mam apetytu. - Tutaj minęłam się nieznacznie z prawdą, ale nie miałam ochoty wysłuchiwać dalszego dowcipkowania Pawła. Nawet za cenę smażonych ziemniaczków.

- Masz trochę armatek. Napracowałaś się przecież przy nich. - Wsunęła mi do ręki torebkę z piernikami.

Że też ja zawsze muszę się wpakować w jakieś idiotyzmy. Westchnęłam. Teraz przyjdzie mi przemykać chyłkiem po klatce, żeby - nie daj Boże - nie spotkać znowu tego sportowca od siedmiu boleści i nie zrobić mu jakiejś krzywdy.

Łukasz tymczasem tak się zmęczył tym oczekiwaniem na ukochaną kobietę, że aż zasnął w fotelu przy włączonym telewizorze - żeby było mało - w okularach. Taaak. Czeka. Z utęsknieniem, z otwartymi ramionami. Weszłam do pokoju i przyjrzałam mu się. Chyba faktycznie był zmęczony. Dobrze jest, skoro stać mnie na delikatne rozczulenie. Znacząco, złość częściowo przeszła. Częściowo, bo jakoś nie mogłam się powstrzymać, żeby nie trzasnąć ostentacyjnie drzwiami do łazienki. To tak w ramach przypomnienia, że nie jest sam i że tak sobie beztrąsko zasypiać nie może. A w ogóle, dumiałam

dalej, grzejąc się pod prysznicem, gdyby poszedł ze mną na ten cholerny spacer, to bym się nie zbłąźniła. Na to Łukasz, w całej swojej trzeźwości i umiarkowaniu, by nie pozwolił. Dosyć, jedna dziennikarska ręka w tę czy w tamtą stronę to znowu nie tak dużo.

Wtorek

Łukasz przespał prawie połowę nocy na fotelu, a rano wstał wściekły. Rzecz jasna na mnie. Drapał zarośnięte policzki i układał do poziomu to, co jeszcze mu zostało na głowie, a zostało niewiele. Jęczał przy tym rozdzierająco i pochylając się co chwilę, masował obolałe członki. Rzuciłam się czym prędzej do czajnika i szafki z kubkami. Może uda mi się zaparzyć kawę, zanim rozpęta się burza?

- Mogłaś mnie obudzić - chyba jednak się nie uda - cały połamany jestem, a ciężki dzień przede mną.

- A nie interesuje cię, o której wróciłam? - spytałam mało przytomnie.

- Słyszałem, jak wróciłaś.

- To trzeba było wtedy położyć się do łóżka - odcięłam się. Wzięłam też swoją kawę, zawinęłam poły wysłużonego szlafroka i poszłam do siebie.

Nasze lokum tworzyły trzy pokoje z kuchnią. Przy czym już od pierwszych chwil po przeprowadzce było jasne, że ten najmniejszy będzie należał tylko do mnie, sypialnia to terytorium graniczne, a duży będzie spełniał zadanie salonu, pokoju dziennego, jadalni i pracowni Łukasza. Z zawodu i zamiłowania architekt zagracił - moim zdaniem zupełnie niepotrzebnie, bo i tak lwiał część pracy odbębniał na służbowym laptopie - małe mieszkanie różnymi sprzętami, których przeznaczenia nie do końca jestem świadoma. Sprzęty mają zdecydowanie za dużo stojaków, stojaki z kolei mają cienkie nóżki, które z kolei obrzydliwie się kurzą i wymagają regularnego czyszczenia. Średnio dwa, trzy razy w tygodniu. Przy czym zaszczyt ten przypadł mnie w udziale, jako że Łukasz z obowiązków domowych pamięta tylko o wynoszeniu śmieci.

Tak więc spory kąt dużego pokoju stanowi pracownię Łukasza. Mały pokój okupuję ja. Ustawiłam wszystko po

swojemu. Prym wiodły regały i półki na książki. Znalazło się też miejsce na stary, wysłużony fotel, który w moim towarzyszu życia wzbudzał najwyraźniej obrzydzenie. Esteta, phi. Cóż z tego, że mebel poprzecierany, a tu i ówdzie nie ma tapicerki? Jakże to ma znaczenie, kiedy mieszczę się na nim calutka, a na poręczach, tych wyświechtanych, można postawić spokojnie kubek czy talerzyk...? Nie ma wygodniejszego miejsca do czytania. Na książki też kręcił nosem. Takie zaczytane, że niby wstyd. Ja tam z kolei jestem zdania, że im bardziej zaczytane, tym lepiej to świadczy o właścicielu i jego upodobaniach literackich. Ale tutaj płaszczyzny porozumienia między nami raczej nigdy nie było. Łukasz, umysł ścisły, przerabiał tylko instruktaże. Jedyna grubsza lektura poza nimi to jakiś miesięcznik. Książka w jego rękach to była rzadkość.

Zasiadłam w fotelu, obstawiając się kubkiem z kawą, popielniczką i miską z musli. Nie wyleżę stąd, dopóki on nie pójdzie do pracy. Koniec, kropka.

Plan na dzisiaj. Niech będzie ambitnie, pracowicie...

Zadzwonię do Agnieszki. Miała popytać w różnych agencjach, czy nie potrzebują chłopca - czy raczej dziewczynki - na posyłki.

Trzasnęły drzwi.

Hm. Do widzenia.

Pobiegnę po gazetę... A może lepiej kupić prezenty? A pracy poszukam sobie po świętach. Przecież już za tydzień Wigilia. Ustaliliśmy, że na Wigilię i pierwszy dzień świąt pojedziemy do mnie. Na drugi do Łukasza. Co kupić jego mamie? Bo, że mojej... Zaczęłam pochłaniać śniadanie, przy czym lewa ręka bezwiednie sięgnęła po aktualnie czytaną książkę, a oczy bezbłędnie odnalazły fragment, w którym skończyłam czytać... Znowu trzasnęły drzwi.

Po chwili zarumienione lico Łukasza wychynęło z obłoków dymu.

- Zjesz ze mną śniadanie? - Hm.

- No chodź, nie daj się prosić! - I już go nie było.

- Nie daj się prosić. Prosić nie, przeprosić bym się raczej dała - mruknęłam pod nosem, ale poszłam do kuchni.

Zamurowało mnie. Na stole leżały świeżutkie bułeczki - skąd on wziął bułki... - pokrojony pomidor - nieważne, że o tej porze roku niewiele wart - szynka, ser, nawet sałatka. Spojrzałam podejrzliwie. Chwilę pogrzebałam w pamięci, bo przecież coś się za tym kryło... No tak, tradycyjnie zapomniałam. Rocznica naszej pierwszej randki. Zawsze tak było. Ja zupełnie nie miałam głowy do cyferek, tak więc o wszelkich uroczystościach pamiętał Łukasz. Jeżeli nie miał akurat na oku żadnego upominku dla swojej ukochanej albo pomysłu na uroczony spędzony czas, on również pozwalał sobie na roztargnienie i rocznice przemykały niezauważone. Ale nie dzisiaj.

- Wszystkiego dobrego, kochanie. - Podeszedł do mnie, takiej rozmamłanej, we frotowym szlafroku, przygładził artystyczny nieład na mojej zapominalskiej głowie i pocałował. - Chciałem, żeby było romantycznie.

- Całkiem ci wyszło - mruknęłam w mechaty sweter.

I wtedy, no i właśnie wtedy... ukląkł na to jedno kolano, wyciągnął jakieś puzderko z kieszeni spodni i:

- Miro kochana, proszę cię, abyś za mnie wyszła - powiedział poważnie.

A kwiaty? Gdzie kwiaty??? Zawsze zainteresowani występują z naręczem kwiatów - przemknęło mi przez myśl. Oprzytomniałam, bo Łukasz patrzył na mnie zdezorientowany.

- Zgadzasz się...? - zapytał niepewnie.

- Tak, tak, oczywiście, że tak. Faktycznie, ciężki dzień przed nim.

Ula była od spraw codziennych. Od gotowania, od łamanych w drzwiach rąk, od utarczek powszednich. Sprawami najwyższej wagi państwowej molestowałam zawsze najpierw Agnieszkę. Tak więc po nietypowo rozpoczętym poranku wdziałam na siebie pierwsze lepsze ciuchy, jakie mi wpadły w ręce, i pojechałam. Konieczności anonsowania się nie było, bo Aga zawsze była w domu. Niedoszły, acz wykształcony pedagog z zapalem wykorzystywał całkiem znośny kapitał, jaki mu przypadł w udziale po śmierci ukochanej babci. Wykorzystywał na radosną twórczość artystyczną. Trzeba przyznać, że nie do końca dla mnie zrozumiałą. Podobno jednak sztuki współczesnej, jak właściwie każdej, nie trzeba rozumieć. Trzeba ją czuć. Więc chodziłam na wystawy mojej sławnej koleżanki artystki, przyglądałam się jej obrazom i rzeźbom, starając się wczuć w tą sztukę. Ciężko mi szło...

Z drugiej strony to właśnie Agnieszka zaraziła mnie grafiką, pokazała, co można wydobyć ze zdjęć za pomocą najnowszych cudów techniki. No i - co najważniejsze - w przeciwieństwie do Łukasza we mnie wierzyła.

- Masz potencjał, wyobraźnię, próbuj. - Sadzała do swojego sprzętu i oceniała, krytykowała, a przede wszystkim nie pozwalała przestać. - Marnujesz się, kobietko. Zrób coś z tym wreszcie.

Ha, próbowałam więc zrobić.

Poza tym, ważna sprawa, Agnieszka od czasu do czasu brała zlecenia z różnych agencji reklamowych. Zwłaszcza tych, które miały ochotę na niekonwencjonalne kampanie. Mogłaby mnie wkręcić jako zdolną protegowaną.

Tramwaj telepał się niemiłosiernie wolno w szarej, paskudnej brei. Nie ma co zima tego roku sprzyja chandrom,

depresjom i tym podobnym. Tymczasem mnie jakoś nie udało się odlepić z twarzy głupkowatego półuśmiechu, zupełnie nie na miejscu. Pan w niebieskim bereczku z małą tęczką pod pachą nawet zaczął się nieco odsuwać - aby dalej ode mnie. Ani chybi wariatka, miał wypisane w linijkach pomarszczonego czoła. Kij mu w oko. Wychodzę za mąż... Ludziska, zjawisko niebywałe i chyba... cieszyć się trzeba.

Przy wyjściu z metra nabyłam słuszną liczbę węglowodanów w postaci wyjątkowo smacznych ciach francuskich nadziewanych, czym tylko dusza zapagnie.

- Hm, widzę, że sprawa jest całkiem poważna. - Aga popatrzyła sceptycznie na torebki ze znajomym, okrągłym obliczem piekarza. - Nastawiam wodę.

- Ano poważna - potwierdziłam, pozbywając się zabłoconych butów. - Brrr, jak nie musisz, nie wychodź z domu. Chyba że do solarium - poradziłam usłudźnie, bo przecież od samego rana z nieba ciurkiem płynęły strumienie szaroburego... czegoś. Streściłam wydarzenia dzisiejszego poranka i popatrzyłam na nią wyczekująco.

- Nareszcie - westchnęła - kiedy ślub?

- Kiedy ślub, kiedy ślub - przedrzeźniałam - nie wiem, tego jeszcze nie ustaliliśmy. Może na jesień... Pojęcia nie mam. A może on tylko chciał mi dać do zrozumienia, że o tym naszym związku myśli poważnie?

- I co? Na tym poprzestanie? Przez całe życie będziesz jego narzeczoną? Teraz to już, kochana, możesz zacząć naciskać. Pamiętaj, Mira, aby do mety.

- A meta gdzie? - zainteresowałam się.

- Jak to gdzie? Przed księdzem. Zaznaczam, że oboje musicie dobiec w tym samym czasie.

- Do mety powiadasz... Hm, problem w tym, że chyba niekoniecznie umiem naciskać...

Odstawiła z hukiem kubek.

- Nie umiem, nie umiem. To się naucz. Dużo lepiej na tym wyjdiesz niż na tym swoim nabieraniu wody, czy co tam akurat masz pod ręką, w usta. Nie rozumiem ciebie.

- Nie ty jedna - mruknełam w kokosową rurkę.

- A nawiasem mówiąc, uważaj, bo jak będziesz pochłaniać takie ilości słodyczy, to w żadną kiecę się nie wbijesz, a jak się wbijesz, będziesz wyglądać jak beza z rudawym kremem - zauważyła bezlitośnie.

- W nosie to mam. Na razie to jeszcze nie wiem, na kiedy mam się wbić.

- A kogo weźmiesz na drużbę? Bo to najbardziej mnie interesuje... - zapytała.

Aga od dawien dawna miała zagwarantowaną rolę drużby na moim ślubie. Zresztą ja na jej też. Jeszcze za czasów głęboko studenckich, kiedy przesiadywałyśmy godzinami na korytarzu akademika zasnuwane oparami papierosowego dymu - w pokojach nie było wolno palić - pomiędzy kolejnymi stronami notatek pozwalałyśmy sobie na drobne szkice przyszłości. Oczywiście ten jeden jedyny jawił się w pięknych kolorach - jako inteligentny, przystojny młodzian, najlepiej z jakimś mieszkankiem, może i samochodem. Dobrze zarabiający i nieco starszy niż wybranka serca. Z biegiem czasu okazało się jednak, że tych inteligentnych i przystojnych zamiast na pęczki to na lekarstwo. Z mieszkankiem i samochodem też brakuje na rynku matrymonialnym. Chyba że wziąć pod uwagę rynek wtórny. A postać łącząca w sobie wszystkie wymarzone przez nas cechy okazała się przedstawicielem zdaje się wymarłego już gatunku.

Chciał nie chciał, trzeba było szkice zmodyfikować i zwracać uwagę przede wszystkim na ogólne relacje z przedstawicielami płci brzydkiej. I tak oto mnie w udziale przypadł na stałe Łukasz, uroczy - czasami - pan z zakolami,

dobłą pracą i rosnącym z dnia na dzień mięśniem piwnym. A Agnieszce przelotne znajomości, ale przeważnie samotność.

- Co do drużby, spokojna głowa, wezmę pod uwagę twoje sugestie - zapewniłam gorąco.

- Weź, weź, chociaż prawdę powiedziawszy, na cuda już nie liczę. Ech, zmieniły się nam priorytety, co Mirul?

- Widocznie miałyśmy jakieś takie niekoniecznie osadzone w realiach - wzruszyłam ramionami. - Włos mi się jeży na głowie, jak o tym wszystkim pomyślę.

- O czym? O priorytetach?

- Taaa, o ślubie, weselu, całym zamieszaniu. Aga, powiedz ty mi, czy ja się nadaję na żonę? Na matkę jego dzieci? Mama chyba ma rację, nie poradzę sobie...

Nie udało mi się uchylić przed lecącą rurką... Dlaczego one we mnie rzucają czym popadnie? Ech, baby.

Bardziej niż ociążała i senna - po takiej liczbie węglowodanów, nie dziwne - powlokłam się do domu. Wygrzebałam z szafy domową sukienkę i dzielnie oparłam pokusie ucięcia krótkiej drzemki. W ramach rekompensaty za smaczne śniadanko postanowiłam zaserwować narzeczonemu (!!!) jeszcze smaczniejszy obiad. Zakasałam więc rękawy i zaczęłam zmagania z kiszoną kapuchą. Łazanki, za tym moje kochanie przepada, niech ma i się cieszy.

Dzwonek.

Po co odłożyć wyciskaną akurat kapustę, po co opłukać ręce, wytrzeć je do sucha i dopiero pójść otworzyć? Nie, trzeba lecieć na złamanie karku, jakby się co najmniej paliło, z garścią pełną woniejącej kiszanej kapusty, drugą zakwaszoną sokiem. Otworzyłam na oścież drzwi, nie pytając, nie sprawdzając, kto przybył, do wtóru skądinąd znajomego ni to pisku, ni to szczeku. Wzrok zatrzymał mi się na spodziewanej wysokości metra sześćdziesięciu - Ula - ale miast rumianej twarzy zobaczyłam zupełnie nieznaną szalik. Wełniany czy

cuś. Wzrok powędrował wyżej, no i... tak. Poszkodowany dziennikarz pojawił się osobiście w moich skromnych progach. Zrewanżować się przyszedł, na pewno. Cholera.

- Bry - wymamrotałam, zastanawiając się, co począć z cieknącą kapustą. - He, he, może rzucić w małego potwora, jak mu tam? Zibi, zdaje się. Idiotyczne imię dla psa.

- Bry - odparł równie uprzejmie. - Ja po klucze.

- Aaaa klucze - odetchnęłam z ulgą. Nie będzie chciał ode mnie żadnych pieniędzy. - Ale jakie klucze? - zreflektowałam się po chwili.

- Od piwnicy. Kobieta, która wynajęła mi mieszkanie, najwyraźniej zapomniała dać tych od pierwszych drzwi, a część rzeczy, moich rzeczy - dodał, chyba na wypadek, gdybym znowu planowała go podejrzewać o jakieś bezeceństwa - tam właśnie umieściliśmy. Pani Uli nie ma...

- O tej porze rozwozi dzieci po instytucjach - wytłumaczyłam. Uniósł brwi, piękne, cholera, brwi. - Po przedszkolach i szkołach znaczy się.

- ...więc przyszedłem tutaj.

- Proszę poczekać, pozbędę się tylko... tego - pokazałam dłonie.

Przyszedł tutaj. Ciekawe, czy wiedział, że to ja mieszkam pod Ulką, czy to tylko przypadek. Chyba przypadek, bo przecież wtedy pognął na złamanie karku, nie oglądając się za siebie. Z drugiej jednak strony, przecież wcale się nie zdziwił, widząc mnie w drzwiach.

Czekałam, aż wyciągnie z tej swojej piwnicy kartony.

- Może pomóc? - zaoferowałam się szczerze.

Spojrzał na mnie taksującym wzrokiem i, o zgrozo, roztopił mnie całkowicie jednym delikatnym uśmiechem.

- Te pudła są większe od pani, chyba że poświęci mi pani, o tutaj, latarką.

- Wie pan... - zaczęłam, oświetlając jasnym snopem półki pani Sztubiakowej - ja nie chciałam... wtedy na klatce. Bardzo mi przykro.

- Drobiazg. Nie poniosłem uszczerbku na zdrowiu, więc nic się nie stało... Ale skoro jesteśmy sąsiadami, to może darujemy sobie to panowanie... Michał - wyciągnął dłoń.

- Mira...

Oj, oj, oj, no pięknyś pan jest, panie dziennikarzu.

Łukasz, szczęśliwy z powodu łazanek i podjętej w końcu decyzji, wylegiwał się na kanapie. Tak właśnie, nawiasem mówiąc, wyobrażałam sobie zawsze Nerona. Odpoczywa na miękkim łożu, czy na czym tam zwykł odpoczywać, jego głowę zdobią gałązki mirtu... Ciekawe, jakby Łukaszek wyglądał w neronowych szatach i złotym wianuszką. Do tego kufel piwa, jasne pełne, i Neron w XXI wieku jak malowanie.

Telefon.

- Halo - burknął, jakże ktoś ośmiela się przerywać sjęstę.
- Aaa... dzień dobry! - To zdumiewające, jak ten człowiek w przeciągu setnej sekundy może zmienić ton głosu. Albo kto z pracy, albo mamunia moja. - A jest, jest, już proszę. Mireczko, kochanie, mama dzwoni.

- Cześć, mamó. Nic nie słyhać. Dobrze wszystko. Łukasz mi się... - Chwila, to, zdaje się, przysły pan młody najpierw powinien poprosić o moją rękę rodziców i to tak jakoś oficjalnie bardzo. Morderczy wzrok przyszłego pana młodego potwierdził moje przypuszczenia. - Co, a nic, no pomaga mi znaleźć. Co? Szukam jeszcze, tak. W niedzielę może być? Wiem, że w poniedziałek już Wigilia, ale sobota odpada, bo Łukasz do późna pracuje. Wiem. Wszystko wiem, mamó. Zdążyemy. Buźka. Pa.

Popatrzył na mnie pytająco.

- Klasyka. Co słyhać, czy szukam pracy, a może już znalazłam. Czy wiem, ile czasu trwają przygotowania do

Wigilii. No i dlaczego właściwie jestem taką niewyrozumiałą i niechętną do pomocy córką. Aha, i czy wiem, że ona już na nikogo nie może liczyć, a na mnie przede wszystkim. W niedzielę na czternastą mamy się stawić najpóźniej.

- Chyba kwiaty muszę kupić twojej mamie. - Podrapał się w głowę.

- Nie wiem, jeszcze nikt nie prosił o moją rękę - wzruszyłam ramionami. Jakies to wszystko takie inne. On mnie pyta, czy ma kupić mamie kwiaty. A skąd ja niby mam wiedzieć? Jako wybranka nie powinnam się interesować niczym innym jak akcesoriami do ślubu. A formalności... Czy to też moja działka? Cholera wie, w dobie królującego feminizmu nie wiadomo czasami, czy to ja nie powinnam prosić o rękę Łukasza jego rodziców...

Środa

Śnił mi się dzisiaj w nocy. Nosił mnie na rękach po łące, a później wspinaliśmy się po schodach, wysoko, wysoko. Na szczycie schodów stał zaś Łukasz, który gestem szczęśliwego posiadacza zabrał mnie z rąk „sąsiada - Michała od Zibiego” i poniosł cholera wie gdzie, nie wiem, bo się obudziłam. Brrr. Tyle razy powtarzam sobie, że sny to bzdura, nic nie znaczą i przejmować się nimi zdecydowanie nie można. Ha, to po cóż nad tym tak usilnie pracował Freud? Oczywiście, nie oparłam się pokusie, odpaliłam komputer i voila sennik czarno na białym czy raczej biało na czarnym tłumaczy:

Łąka: iść przez nią - dobre widoki, leżeć na niej - miłe życie, piękna i zielona - szczęśliwe małżeństwo.

Schody: iść w górę - trud wielki, iść w dół - powolny upadek mienia twego, spaść z nich - strata w interesie, widzieć - zrobisz karierę, wstępować także - poprawa stosunków, zstępować także - walczyć będziesz ciężko o byt, widzieć - radość, korzyść.

Dumając zawzięcie, powlokłam się do łazienki. Powlokłam, bo zdaje się wczorajsze biegi wzdłuż i w poprzek miasta wpłynęły nie za dobrze na mój system odpornościowy. Jednym słowem, ciurkiem leci mi z nosa i gardło poboлева. Uuuj, fatalnie wyglądasz, kochana. Woreczki pod oczami żółtawe, cera jakaś taka też bladożółta. Ani chybi choróbsko na mnie dybie. Oprócz kawy zaaplikowałam sobie więc polopirynkę i z czystym sumieniem wróciłam do łóżka, po drodze łapiąc zaczytany już bardzo „Świat według Garpa”. Niewykluczone, że ta moja choroba to nie wynik wychłodzenia, tylko najzwyczajniej w świecie potrzeba wypoczęcia, niemyślenia i w ogóle. Ale od czego właściwie mam odpoczywać... Czytałam gdzieś kiedyś na tych moich mądrych studiach, że istnieje coś takiego jak choroby psychosomatyczne. Znaczy, pochodzenia psychicznego.

Fizycznie delikwentowi nic nie powinno dolegać, a psychiką potrafi zmusić organizm do załapania jakiegoś choróbka. Tylko chyba niekoniecznie chodziło o zwykłe przeziębienie, ale o astmę czy coś w tym rodzaju. A wiadomo? Kiedyś nawet rozmawiałam z Łukaszem na ten temat. Okazuje się, że niepotrzebnie. Wystarczy, że zacznę kichać albo biegnę z termometrem, stwierdza, że znowu coś tam sobie wmawiam. Może to po prostu hipochondria...? Może. Przyszła Ula.

- Oj, kochana, marnie wyglądasz - pocieszyła mnie od progu.

- Dzzzziki - siapnęłam. - Wiem.

- Co u ciebie, prócz choróbka? - Zakrzętnęła się już w kuchni. - Do łóżka. Zaraz ci zrobię herbaty. Albo poczekaj.

- Nigdzie się nie wybieram - sapnęłam już w pustkę, bo po Uli został tylko zapach. Jakiś taki przyjemny... Co to za zapach?

Wróciła po kilku sekundach, taszcząc oprócz twista z żółtą zawartością - najwyraźniej rosół - papierową torebkę. Już wiedziałam co za ciepłutką, drożdżową woń roztaczała wokół siebie - bułek z dżemem jabłkowym.

- Lubię chorować - stwierdziłam zdecydowanie po obaleniu zawartości słoika. - Pyszota!

- No co tam. Dawno nie byłaś. - Rozsiadła się wygodnie w fotelu.

Faktycznie dawno. Przedwczoraj...

Mały, ciepłutki cud. Ula zadaje swoją osobowością kłam wszystkim teoriom o współczesnej kobiecie. Przywraca wiarę w człowieka. Oddana całym sercem pielęgnowaniu domowego ogniska. Liczne potomstwo ubóstwa i niejednokrotnie powtarza, że gdyby stać ich było na większe mieszkanie, ani sekundy nie zastanawiałyby się nad powiększeniem stadka. Przy czym górnej granicy nigdy nie podała. Ale mimo tego, że zapatrzona w tą swoją rodzinę i

kilka metrów kwadratowych kuchni, zawsze znajdowała czas na moje gadanie. No i potrafiła rozmawiać. To ona pierwsza zapukała do naszych drzwi, jak już się wprowadziliśmy. Wieczorem, jeszcze na kartonach, bo krzesel nie dowieziono, popijaliśmy zimne piwo. Rozległo się pukanie i w drzwiach stanęła drobna kobietka z biustem godnym Dolly Parton. Uśmiechnęła się ciepło, wyciągając w moim kierunku - oczywiście Łukasz był zbyt zmęczony, żeby otworzyć - duży pakunek.

- To sernik, świeżutki, na przywitanie nowych sąsiadów. Żeby się państwu przyjemnie mieszkało. Tuż pod nami - dodała i znikła.

- W szoku jestem - zdążyłam tylko powiedzieć po jej wyjściu.

To była pierwsza rzecz, która mnie u Uli zadziwiła. Znaczący, że jeszcze nie tak źle z naszym społeczeństwem. Okazuje się, że nie wszyscy zamykają się na cztery spusty w swoich dziuplach.

- Kocham cię, kobieto - powiedziałam bez zastanowienia.

- A mierzyłaś ty temperaturę? - Popatrzyła na mnie sceptycznie. - Skąd nagle taka wylewność? He?

- Aj, tak po prostu. Wychodzę za mąż, Uleńko...

- Nareszcie oprzytomniał ten człowiek - klasnęła w rękę. - Kiedy?

- Jeszcze nie wiem...

- Nie daj się już, Miruś, wodzić dłużej za nos, już wystarczy. - Upiła kawy. - Teraz mamy zimę, na wiosnę za wcześnie trochę, ale późne lato to pora akurat na zamążpójście. Ooo...

- Ale widzisz, ja nie wiem... Może jesienią lepiej? Tak sobie myślę, że na dobrą sprawę to ja sama nie wiem, czego chcę i kiedy tego chcę.

- Uspokój się, wyzdrowiej i zacznij myśleć racjonalnie. Będę brutalna, ale coraz młodsza nie będziesz. Tu masz miód z cytryną. Wypij sobie jeszcze ze trzy takie kubasy. Dwie cytryny w lodówce, a miód na szafce w kuchni. Lecę.

Zgarnęła Stasia sprzed telewizora i poleciała.

Jakie one, cholera, mądre wszystkie. Wszystkie dwie. Wychodź za męża, nie zastanawiaj się, pierwszej młodości już nie jesteś. Powlokłam się do łazienki. Znad czerwonego nochala łypnęły oczka. Jakies takie opuchnięte i maluczkie dzisiaj. Zazwyczaj są większe i nawet niebrzydkie. Stara, zaraz stara. Kurze łapki podobno twarzy przydają tylko charakteru, a nie świadczą w żadnym wypadku o podeszłym wieku. Poza tym trzydziestka to jeszcze nie taki podeszły wiek. Skąd one tyle mądrości niby w sobie mają, co? Sowy jedne. Hu, hu, wyjdź za męża, hu, hu, hu, zanim będzie za późno. Bo staropanieństwo bezlitośnie czai się już u bram twego mizernego żywota. Tak jakby chodziło o, dajmy na to, zakup pudru. Przy czym prawdę powiedziawszy, to też nie jest takie proste. A tutaj przecież chodzi o moje życie! Skąd mam wiedzieć, czy będziemy ze sobą szczęśliwi. To, że jesteśmy razem, świadczy o... No właśnie, czy czasami nie o przyzwyczajeniu. Tylko i wyłącznie. Li i jedynie. Do tej pory przecież nie jestem pewna swoich uczuć. Niech będzie, rozczula mnie, gdy śpi, taki łagodny, delikatny, spokojny. Ha, ale przecież nie śpi cały czas. Wystarczy tego rozczulenia na cały boży dzień? Kiedy to oczu nie będzie miał zamkniętych, ust pewnikiem też nie? Oczywiście, wyobraźnia pracuje. Żeby się naładować pozytywnymi emocjami, przesiaduję całe noce, wpatrując się w swojego wybranka. Bardzo śmieszne. Ciężko, bo teraz oboje mamy świadomość, że gdyby coś nie wyszło - droga wolna. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby spakować manele oraz odejść bez zbędnych ceregieli i papierkowej roboty.

W głowie jakiś czort rozłożył mi się z perkusją i zawzięcie dawał po garach. Miodek jest, cytryna też. A tak żeby więcej witaminki C, to połówkę walniemy. Zanim wycisnęłam, zdążyła się już zagotować woda. Podobno miodek trzeba nie na wrzątek, tylko co najwyżej na ciepłą wodę.

Wystawiłam więc kubek na zaśnieżony parapet, modląc się w duchu, żeby żaden dachowiec z niego nie skorzystał. Teraz miód. Łyżka wystarczy. Ale płynny. Skąd Ula wytrzasnęła taki dziwny miód? Wysterowałam z powrotem w kierunku barłogu. Trudno, nie dam rady niczego ugotować. Na czorta w głowie zapodałam sobie dwa ibuprofeny i popiłam miodem z cytrynką. I się zaczęło. Obie tabletki i rzekomo leczniczy napój wylądowały dziwnym zrządzeniem losu na dywanie obok łóżka. A z mojego nadwyręzonego gardła posypała się wiązanka, której nie powstydziliby się doświadczony czeladnik szewski.

Z całym szacunkiem dla tego fachu.

- Mira!!! Co ty wyprawiasz?! Co tu się dzieje?

- Gul, gul, gul, nic takiego - bąknęłam już z łazienki, do której szczęśliwie udało mi się dobiec.

- Mów! Czegoś się najadła?

- Napiła. Napiła, Łukaszku. - Szkoda, że lustro w łazience wyłożone jest naokoło zielonymi płytkami, bo twarzy nie widzę. - Oleju z cytryną. Nie wiesz czasami, co w naszej kuchni robił olej w słoiczku?

Wiedział oczywiście. Z racji głęboko zakorzenionej manii chomikowania wszystkiego, olej po frytkach wylądował w małym słoiku po miodzie. Jego manii, nie mojej.

Ciekawe, czy pomoże na moje dolegliwości.

- Rozumiem, że zakupów nie zrobiłaś? Jest w ogóle coś do jedzenia?

- Przeziębłam się wczoraj...

- Trzeba było do mnie zadzwonić, zajechałbym do sklepu. To ty w ogóle nie wychodziłaś z domu? A zakupy świąteczne to kiedy? Tylko mi nie mów, że sam mam jechać. Jak zwykle wszystko na mojej głowie.

Człowiek głodny to człowiek zły. Trzeba było zostawić mu trochę rosółu. Z drugiej strony, odrobina współczucia dla zbolącej kobiecinki wcale by nie zaszkodziła. Pojawił się wreszcie w pokoju z miską i zupką chińską, po czym, zerkając co chwila w moim kierunku - czy aby na pewno widzę, jak on, człowiek pracy, musi się odżywiać - ostentacyjnie niszczył posklejane wściekle makaronki.

Zupa chińska bądź pizza - wyjście awaryjne, bo Łukasz był, trzeba nazwać rzecz po imieniu, upośledzony kulinarnie. Ja technicznie, on kulinarnie. Jedyne, z czym jako tako sobie radził, to ugotowanie jajek, przy czym zawsze wychodziły na twardo. Przy swoim ścisłym umyśle zadziwiająco łatwo zapominał o wielu rzeczach. I tak, jajka w garnuszku, poza zasięgiem wzroku i słuchu, wyparowywały mu z głowy chwilę po przekroczeniu drzwi do dużego pokoju. Tak więc do kuchni go nie dopuszczam, bo to za duże obciążenie dla budżetu domowego. Za każdym razem, gdy gotuje się jajka, trzeba wyrzucać garnek i minimum dwa dni wietrzyć mieszkanie. O zgrozo, jak spalone jajka śmierdzą.

Tak to jest właśnie z Łukaszem.

Piątek

Wyleżeć, wygrzać i przechodzi, jak ręką odjął. Jeszcze podobno ciągnie się za mną swojska woń czosnku (nieoceniona pani Zabrocka społa chorą syropem domowej roboty), ale to jedna z nielicznych pozostałości po przeziębieniu. Poszło szybko. Może i oleum miało jaki zbawczy skutek?

- Do jutra masz być jak nowa. Ostatni dzień, kiedy można zrobić zakupy. Stasia wyśle do przedszkola, może nie odchoruje. I pobiegamy sobie, co? - powiedziała Ula, wręczając mi słoik z cebulowo - czosnkową miksturą. Najwyraźniej cieszyła się ze świątecznych zakupów. W przeciwieństwie do mnie. Zachodziłam w głowę, co zrobić, żeby zminimalizować straty fizyczne i moralne, bo, że będą, to pewnik...

- Może Agnieszka się z nami wybierze - zastanawiałam się głośno. - Samochód na zakupach to dobra rzecz.

Agnieszka jednak z miejsca usadziła moje zapędy.

- Może i dobra, ale wybij to sobie z głowy. Czy ty wiesz, co to znaczy zaparkować przed którymś z hipermarketów? Teraz, o tej nieszczęsnej przedświątecznej porze?

- Szczęsnej, Agul, szczęsnej. No niby nie do końca wiem...

- No i jutro na pewno też się nie dowiesz. Punkt dziewiąta melduję się u was. Zwarte i gotowe w równym szyku na mnie czekać. Nara.

- Pa.

Ubrać się jak na wojnę. Znaczący wdziać ciuchy odporne na targanie, błotne plamy i inne nieprzewidziane okoliczności. Wybór padł na ciemną kurtę sięgającą kolan, do tego but na płaskim obcasie, obowiązkowo. Łyknęłyśmy jeszcze kawy i pogryzając cynamonowe ciacha dostarczone przez Agnieszkę, ustaliłyśmy ramowy plan zakupów.

Magia świąt Bożego Narodzenia.

Pamiętam makowce, zapakowane chytrze przez mamę i nie wiedzieć czemu ułożone w bliskim sąsiedztwie choinki. Przez dobrych kilka lat wstawaliśmy z Adamem w nocy i lecieliśmy sprawdzić, czy był Mikołaj. Był!!! Białe pakunki nieodmiennie jednak okazywały się ku naszemu ogromnemu rozczarowaniu produktami maminych rąk, a nie przytarganymi gdzieś z bieguna północnego zabawkami. Magiczne były również cukierki na choinkę, które w równie magiczny sposób zamieniały się w papierki wypełnione czym popadnie, żeby rodziców nie zmylić ciężarem. Pomarańcze, towar deficytowy i dołączany do naszych prezentów, podobnie jak czekolada czy guma balonowa donald.

Pamiętam, jak w przeddzień Wigilii tata z wielkim pietyzmem włączał płytę Tercetu Egzotycznego i zaczynaliśmy wyciągać z pudeł bombki, łańcuchy i wszelkiego rodzaju maskary, które produkowaliśmy z Adamem na zetpetach w hurtowych ilościach. Ilekroć sypnie śniegiem, zaczynam tęsknić do szczenięcych lat. Bo teraz wprawdzie ozdób wszędzie na pęczki, ale jakby klimacik nie ten. Główne ulice pękają w szwach, ludzie sprawdzają możliwości własnych kręgosłupów, targając setki torebek i torebeczek, wyrywają sobie z rąk najbardziej okazałe produkty i generalnie mają w oczach, prócz zmęczenia, jawną chęć mordy.

- Czy mnie się wydaje, czy ta kobieta pozajmowała kolejki do wszystkich kas? - Ula z zaciekawieniem przyglądała się jakiejś kobiecie, ta zaś miotała się między ludźmi, najwyraźniej nie mogąc się zdecydować, która kolejka jest najkrótsza.

- Niecee, najwyżej do trzech. O patrz, tu stoi jej wózek, tam mąż, a tam najprawdopodobniej syn. - Agnieszka pokazywała kolejno członków rodziny. - Nie, czekaj, do

czterech, bo sama poleciała już do 18. kasy. I co teraz z tym koszykiem robić?

- Ominie pani - usłużnie doradził jegomość w kraciastej cyklistówce. - Przyjdzie taka do sklepu i zamieszanie tylko robi. No, przesuwajcie się panie, prędziutko, prędziutko, bo jeszcze nam tu kto wjedzie.

Przesunęliśmy się więc grzecznie trzy centymetry do przodu, omijając samotny koszyk. Co natychmiast zaalarmowało jego właścicielkę.

- A to co? Nie widzicie, że człowiek tu sobie zajął miejsce? - rozdarła się na pół sklepu, na co wszystkie głowy automatycznie zwróciły się w naszym kierunku. Oho, będzie zadyma.

- Człowieka akurat to tu nie było - zastopowała ją Agnieszka.

- Bezczelna, no, bezczelna, słyszycie państwo? - zwróciła się do audytorium, po czym grzotnęła z całej swej niewieściej siły w nasz wózek i wysforowała się na prowadzenie, wysunawszy krągły podbródek do góry.

- Nie bezczelna, tylko rację ma.

- Pani się zdecyduje, gdzie stoi...

- Przyjdzie taka i zamęt sieje.

Kolejka przybyła nam z wyraźną odsieczą.

- Zamęt? Ja zamęt?! - krzyknęła kobieta z oburzeniem. - Wiesiu! Pomóż, obrażają nas.

- Nikt pani nie obraża, proszę się uspokoić - zainterweniował jegomość w cyklistówce, klepiąc kobiecinę delikatnie po plecach.

- Won z łapami!!! Wiesiu! Ochrona!!! Tu dochodzi do rękoczynów! Ratunku!!!

Wiesiu pojawił się, cichutko szemrząc:

- Cicho duszko, nic się przecież nie dzieje. Ja dziękuję, duszka faktycznie, jak malowanie.

Na takie dictum kobietą zatrzęsło już potężnie. Rozpętała się istna burza z piorunami. Czyjeś łokcie wylądowały na mojej potylicy, Agnieszka ze skrzywioną miną rozmasowywała sobie ramię, a miły jegomość nurkował w mrowiu nóg, poszukując zrzuconej przez duszkę - furiatkę cyklistówki. Bijatyka, aż miło. Ochroniarz musiał się nieźle namęczyć. W końcu - zrezygnowany - wezwał posiłki, żeby pozbyć się kolejnego zapalnika. Kolejnej, przedświątecznej bomby.

W tramwaju tłok i nie ma Boga. Jest ramię w ramię, w nogę noga... Stachura znał życie. Udało nam się jednak dojechać, dowlec na nasze piąte piętro, rzucić torby w przedpokoju i ciała gdzie popadnie.

Hm, wesołych świąt.

Niedziela

Dojechalismy. Spokojnie, z mniejszym lub większym sykiem, bo krajowa ósemka przyprawia mnie zawsze o dreszcze grozy. Ki czort, żeby nie doprowadzić do stanu używalności tak uczęszczanej drogi? Ja wiem, że dziura budżetowa, że są pilniejsze wydatki, ale nieodmiennie nasuwało mi się skojarzenie z makabryczną grą komputerową. Wyprzedzanie na „trzeciego” i „czwartego”, czy pchanie się na przysłowiowego chama w najmniejsze szczelinki między tirami to nie dla mnie. A Łukasz - jak na złość - taki spokojny i do rany przyłóż człowiek za kierownicą dostawał małego rozumu i nijak nie dał sobie wytłumaczyć, że ziemia się nie zawali, jeżeli dojedziemy kilka minut później. Tak więc syczałam sobie po cichutku, bezwiednie wciskając stopy w podłogę, i modliłam się o rychły i szczęśliwy dojazd do domu. Wymodliłam.

Tyle że na widok mamy prującej w naszym kierunku z niesamowitą, nawet jak na nią, determinacją, zaczęłam się zastanawiać, czy było warto. Dojechać. Rodzicielka zbliżała się już w przyspieszonym tempie do samochodu. Uśmiechała się przy tym radośnie albo pseudoradośnie, bo z nią nigdy nic nie wiadomo, i machała rękami z wdziękiem dobrze napędzanego wiatraka. Brakowało sztandaru, radośnie powiewającego przy parapecie najwyższego okna w domu, fanfar i jakiegoś chodniczka ciągnącego się od miejsca, w którym zaparkowaliśmy, do drzwi wejściowych. Sarknęłam. Komitet powitalny poszerzył się nieznacznie. Do mamy dołączył ojciec, a w cieniu własnoręcznie posadzonej przeze mnie jabłónki zobaczyłam Adama. Przyglądał się wszystkiemu charakterystycznym, pełnym pobleżania wzrokiem.

- Zapraszamy, zapraszamy, nie kiście się już w samochodzie, moi drodzy - szczebiotła mama, całując powietrze w pobliżu moich policzków.

Po powitaniu wszystko ruszyło tak szybko z kopyta, że nim się spostrzegłam, czy raczej spostrzegliśmy, świąteczne plany zeszyły na dalszy plan, natomiast szczegóły naszego ślubu były już idealnie dopracowane. Łukasz wyglądał, jakby wpadł w oko cyklonu, tymczasem cyklon ten, machając świeżo ufryzowaną głową i popiskując radośnie, wyciągał kolejne żurnale z salonami sukien i, rzecz jasna, zaznaczonymi odpowiednimi modelami oraz notatniki z przeróżnymi adresami o ściśle zawężonej tematyce. Hm, mamunia już od jakiegoś czasu musiała wiedzieć, co się święci.

- Ja tak sobie pomyślałam, żeby nie przesadzać i takie mniejsze wesele zrobić, tak na sto osób maksymalnie. Jak tam, Łukaszku, mogę chyba tak mówić? - Filuterne dmuchnięcie we wściekle żółtą grzywkę. - Twoja rodzina... To się zobaczy, najwyżej u nas darujemy sobie zapraszanie dalszych ciotek i wujków. No i orkiestra. Ja tak sobie myślę, że może by było sympatyczniej niż przy magnetofonie się bawić, no co wy na to. Tutaj gdzieś miałam telefon, o, o to zdaje się... Wstępnie już z panem rozmawiałam, Krejzi ful czy jakoś tak. Akurat termin na 24 sierpnia ma wolny...

- Mamo, ja muszę na chwilę wyjść. - I zostawiłam Łukasza, nie zwracając uwagi na jego błagalne spojrzenia.

Nasz dom był już stary, nawet bardzo. Tato wykupił go jakoś okazyjnie i mimo że opowiadał nieskończone ilości razy o okolicznościach zakupu, nikt nigdy nie pamiętał, jak to się właściwie odbyło. Coś tam o uciekającym za granicę skazańcu, o rodzinie, która się go wyrzekła, ale dlaczego i za co? Tego nikt nie potrafił powiedzieć. Tato był kochany,

cichy, spokojny i z reguły zbyt mało zauważany, może dlatego nikt nigdy nie poświęcał zbyt wiele uwagi jego opowieściom?

Inaczej rzecz się miała z mamą. Potrafiła wypowiadać się donośnie, powtarzać wszystko setki razy i jeszcze w najmniej oczekiwanym momencie przepytała. Niech ręka boska zaś broni tego, kto o rzeczy nie będzie miał bladego pojęcia. Oj, biada mu. Czasami, za wczesnych lat szczenięcych, dzieliliśmy się „materiałem”. I tak - Adam miał słuchać przy śniadaniu, ja przy obiedzie i znowu on przy kolacji. Następnego dnia zmiana kolejności. Uśmiechnęłam się na to wspomnienie.

Zimno. Słońce zachodziło po drugiej stronie domu i dzięki temu latem można tu było spędzić całkiem przyjemne popołudnie. Ale teraz, brrr, otuliłam się szczelniej szalikiem.

Tak nawiasem mówiąc, ktoś genialny zaprojektował ten budynek. Weranda ciągnęła się wzdłuż dwóch ścian domu, przez całą ich długość, oplatając przytulnie budynek dodatkowym zadaszaniem, opartym na drewnianych filarach. Tato w wolnych chwilach produkował na nią dodatkowe meble. I tak, koniec werandy zwieńczało jego największe dzieło - wielka ławka z oparciem, zawieszona na grubych łańcuchach u sufitu, a u podłogi mojego dawnego pokoju. Wieczorami, siedząc przy otwartym oknie, mogłam fundować sobie dzienną dawkę przekonania, że małżeństwo moich rodziców jest jednak swoistym cudem. To, że dobrali się w niewiarygodny sposób, to, że potrafili zaakceptować odmienną swoich charakterów i znaleźć wspólną, choć małą płaszczyznę porozumienia. Cisza wieczoru była zazwyczaj przerywana głosem mamy. Narzekaniem na zrzędlivą sąsiadkę, na zbyt wygórowane ceny wszystkiego, co tylko chciała nabyć, na odwieczny brud w domu i tym podobne rzeczy. Ojciec nigdy jej nie przerywał, tylko słuchał. Mogłam go sobie wyobrazić wygodnie opartego o miękkie

poduchy - zdołał jakimś cudem przekonać mamę, żeby uszyła oparcia i siedzenia na huśtawkę - kiwającego przechyloną głową. Podziwiałam go za to, że nie wytykał jej wszystkich tych przywar, na które narzekała u innych, że pozwalał się wygadać, słuchał albo chociaż stwarzał pozory słuchania.

- Słyszysz, Alusiu, jak pięknie śpiewają ptaki? - Nigdy nie powiedział do niej inaczej niż Alusiu. Nie Alicjo, nie Alu, zawsze Alusiu. Zawsze z takim samym uczuciem w głosie.

- Słyszę, słyszę. - Machała pewnie ręką, po czym podejmowała przerwany wątek.

Czasami on też coś mówił. Tyle, że tata zazwyczaj o czymś opowiadał. O czym? Teraz nie potrafiłam sobie przypomnieć, wiem, że wtedy mało brakowało, a rachowałabym ząbki u ich stóp, tak wsłuchiwałam się w jego cichy głos. Bo o ile mamę dosłyszeć można było z każdego kąta mojego pokoju, tak spory wysiłek trzeba było włożyć, żeby rozróżnić słowa ojca. Adam mi kiedyś powiedział, że widział, jak w trakcie jednej z takich pogawędek trzymali się za ręce. Pokiwałam głową, ha, dwójka podglądaczy. Z drugiej jednak strony mieliśmy rzadką okazję przekonać się, na jakich zasadach funkcjonuje ich związek. Z czasem, patrząc na nich, nabrałam przekonania, że kompromis to nie całkiem odpowiednie słowo. Tato, dobry, poczciwy tato, oddał całego siebie.

Wtedy kiwaliśmy dziecięcymi głowami z dużą dawką zdziwienia, bo ten ich wieczorny wizerunek nie pasował do dziennego. Kiedy to mama furczała na ojca z byle powodu, wszystko jej nie odpowiadało, a on uciekał przed jej gromami, gdzie się dało.

Wyszłam, bo przygniotło mnie to wszystko. Czy to ja będę miała teraz występować w roli Zeusa? Czy też przypadnie mi w udziale rola uciekającego przed gromami? Takie niby czarne i białe, ale inaczej nie potrafiłam na to

spojrzeć. A mama? Punkt po punkcie opracowała z iście matematyczną dokładnością moment... mój moment, przełomowa chwila mojego życia. I o ile mogłam jeszcze darować jej to opracowanie, tę dbałość o szczegóły, o tyle zupełnie nie mogłam pogodzić się z tym, że postawiła sprawę przede mną jasno i wyraźnie. Ma być tak, a nie inaczej. Koronki na sukience muszą się układać w prawo, gorset odpada, bo będziesz źle wyglądać, a ciocia Lidka usiądzie obok wujka Miecia. Wiadomo, oboje wdowcy, może coś z tego wyjdzie.

Niech wychodzi, na zdrowie. Chciałabym jednak, żeby zapytała, co na ten czy inny temat sądzę.

Jak uważam.

Jak chcę.

Wychodzisz za mąż, nie taka już młoda damo. Wzdrygnęłam się. Nie wiadomo, z jakiego powodu bardziej, czy chłodu, czy tej świadomości. Skrzypnęły cicho deski werandy.

- Klamka zapadła - raczej stwierdził, niż zapytał Adam.

- Zapadła i nie pytaj, jak się z tym czuję, bo to, co powiem, może ci się nie spodobać.

- Widzę. Minę masz, jakby cię pod gilotynę, a nie pod ołtarz prowadzili. Ej, siostra. Mama by ci tego nie darowała.

- Czego?

- No... gdybyś, nie daj Boże, się rozmyśliła.

- A to niby czemu? - Przesunęłam się, robiąc mu miejsce na huśtawce.

- Za dużo wysiłku włożyła w przygotowania to raz, a dwa, hm, chciał nie chciał, ale ty w jej oczach zdaje się jesteś tak zwaną starą panną. Całej rodzinie roztrąbiła, jaki to Miruni trafił się genialny egzemplarz i jak pięknie będziecie wyglądać na ślubnym kobiercu.

- Przecież ona go wcale nie zna?! A to, jaki Łukasz jest naprawdę? To jej nie interesuje?

- A jaki jest?

- Nie łap mnie za słowa, normalny jest, wady ma i tyle.

- Każdy ma - stwierdził filozoficznie.

- Tia, tyle że mnie jego wady j u ż przeszkadzają. Możesz powiedzieć, co będzie po ślubie?

- Będą przeszkadzać jeszcze bardziej? Albo się przyzwyczaisz i nie będziesz zwracać uwagi. Popytaj Kasi. Jej, zdaje się, wszystko teraz we mnie przeszkadza, ale czy to reguła, to nie wiem. No i nie myśl tyle siostra, bo i tak niczego mądrego nie wymyślisz.

- Dzięki. A w ogóle powiedz mi, mój drogi, gdzie mama znalazła informatora? - Spojrzałam podejrzliwie na braciszka.

- Nie pytaj mnie, bo nie wiem. Może matczyna intuicja? Adamowe potomstwo zaczęło koncertować w pokoju i ciągnąć dziadka do śpiewania kolęd. Siedzieliśmy chwilę, bujając zgodnie nogami i wsłuchując się w ten koncert. Adam mnie szturchnął.

- No co?

- Nic, sprawdzam, czy żyjesz.

- Żyję. Adam, posłuchaj, to znaczy, że mama za wszelką cenę chce mnie wydać za mąż?

- Sto procent.

- A dlaczegoż to? Może przypadkiem wiesz?

- Oj, Mira, nie bądź naiwna, a dzieci, wnuki i całe rodzinne zamieszanie? Zresztą nie wiem, nie mam ochoty przypuszczać, że jej przesłanki są czysto egoistyczne.

- A niby jakie, skoro nawet mnie nie zapytała, czy Łukasz jest dla mnie dobry...

- Nie rozczulaj się.

- Tylko tato po obiedzie podszedł do mnie, poklepał mnie po kolanie i powiedział - nie martw się, wszystko będzie dobrze. Bu.

- Nie rozczulaj się, mówię. Weź się i nie rozczulaj.

Wigilia

Był tercet, były pomarańcze, mnóstwo czekolad, czekoladek i pierogów z kapustą i grzybami. Uwielbiam je. Adasiowy Jacuś również. Pożarł chyba z tuzin, po czym musiał odleżeć swoje, jęcząc wniebogłosy i przyjmując kropelki żołądkowe, które aplikowała mu babcia. Czy czterolatek nie jest za mały na kropelki żołądkowe? Basia jeszcze na pierogach się nie poznała, ale gdzieś w ciemnym kącie dopadła pudło czekoladek i nim się ktokolwiek zdążył zorientować, pochłonęła jego lwią część.

Z wypchanymi do granic możliwości brzuchami poturlaliśmy się do kościoła, gdzie nad charakterystyczną woń kadzideł wybijały się zapachy smażonych grzybków, ryby i kapusty (wierni najwyraźniej nie zdążyli przewietrzyć garderoby).

Bóg się rodzi, moc truchleje... - wydobyło się z gardzieli tłumu, a mnie tradycyjnie wykwitła łezka na policzku.

Dla zasady.

Wtorek

Wyjechaliśmy obżarci, odurzeni i najprawdopodobniej jeszcze bardziej niepewni co do sierpnia. Co do daty, kiedy wreszcie powiemy sobie sakramentalne „tak”. Na kolanach trzymałam stosik katalogów. Pomiedzy kartkami żółciły się wściekle postity wypełnione maczkiem maminym charakterem pisma. Uch. Różnej treści. Jadzi córka brała tego fotografa. Krysi dzieci miały ten zespół. Ale na łopatki rozłożył mnie tekst, jakim mama opatrzyła jedną z sukienek. Na takie to w ogóle nie patrz, bo kobieta w nich wygląda jak ladacznica, a nie jak panna młoda, no i białych raczej szukaj, bo białe to wiesz... Co niby wiem? Mamo, na litość boską, przecież ja od dobrych kilku lat mieszkam z facetem, więc nie muszę chyba afiszować się dziewiczą bielą...

- Łukasz... no i co ty na to? - Wskazałam katalogi.

- Nic. To nasz ślub, do cholery, i nikt nie będzie mi mówił, co na nim będzie - nastąpiła długo przeze mnie oczekiwana erupcja wulkanu - zaproszę, kogo będę chciał, może na weselu będzie grał magnetofon, a może Janko Muzykant. Może zdjęcia będzie robił mój siedmioletni siostrzeniec, a może w ogóle nie będzie ani fotografa, ani kamerzysty. Powiedz to swojej mamusi przy najbliższej okazji.

Nie cierpię wymierzonego w siebie sarkazmu, nawet jeśli ma solidne podłoże.

- Dlaczego sam jej tego nie powiedziałeś? Miałeś na to dwa dni.

- Żadne dwa...

- Mniejsza o to, miałeś czas, żeby zacząć oponować. Patrz na drogę.

- To nie wymachuj mi rękoma przed oczami.

- Nie wymachuję! - Wcisnęłam dłonie pod tyłek.

- Zawsze wymachujesz, że niby gestykulacja przydaje charakteru wypowiedzi. Bzdura.

- Ja tego nie powiedziałam!

- Ale tak myślisz. No powiedz, nie tak myślisz? - Łypnął wściekle znad okularów.

- Człowieku, do jasnej, niespodziewanej cholery, co ma nasz ślub do tego, czy gestykuluję, czy nie? - ryknęłam wreszcie.

- Nic nie ma, a może i ma... - po czym mój przyszły mąż, ideał chodzący i wcielenie spokoju, zaklął potężnie - ale ty zawsze potrafisz odwrócić kota ogonem. Nic dodać, nic ująć.

Czwartek

Rodzice Łukasza okazali bardzo dużą wyrozumiałość i nie zwracali zbyt wiele uwagi na nabzdyczonych przyszłych małżonków. Szczęściem nie zostałam obdarowana kolejnymi katalogami, za co niebiosom ślę serdeczne dzięki. W ogóle czuję się już tam jak u siebie. Zazwyczaj od progu porywa mnie przyszała teściowa i zabiera na ploty do kuchni. A kuchnię mają pyszną - dębową, ciepłą, przytulną. Jakby nie było, wmężam się (?!) w zamożną rodzinę. Taką, co to wie dzie sielski żywot, nie przejmując się duperelami życia codziennego. Ups. Może ja, przejmując nazwisko po mężu, też nie będę?

Sieniawska.

Mirosława Sieniawska.

A może to nawet z tych Sieniawskich? Trzeba będzie sprawdzić.

Dzwonek telefonu rozdarł z trzaskiem wizję poczciwej Miruli w szlacheckich sukniach. A może nawet i magnackich? A co tam, jak szaleć, to szaleć. Nie bacząc na brak jakiegokolwiek pokrewieństwa, już byłam dumna z przodków.

- Żyjesz? Ile przytyłaś? - usłyszałam głos Agnieszki.

- Też cię kocham. Nie wiem, na jakiś czas pewnie będziemy z wagą na ścieżce wojennej. Niech ci będzie. Obżarłam się jak prosię, racuchy mamine boskie, pierożki palce lizać, że o makowcach i sernikach nie wspomnę... A ty wiesz, że chyba znowu robię się głodna?

- Ani mi się waż! Mira, za trzy dni sylwester, sama będziesz wyglądać jak racuch! - Agnieszka posiadała zdumiewającą umiejętność sprowadzania mnie na ziemię w kwestii wyglądu, tudzież zgubnego wpływu obżarstwa na kształt sylwetki. Bądź też całkowitego jej braku.

- Nie za trzy, tylko za cztery... - Odruchowo poprawiłam włosy, zerkając w małe lusterko.

- Nieee, no faktycznie, ten jeden dzień, hm, tak, to dużo zmienia.

- Nie bądź małą, moja droga, i zdradź, co wdziewasz na swoje liche członki.

- Zwiewną szmatkę wyciętą gdzie się da, do granic możliwości, hi, hi, hi.

- Taaa, to sylwestra, kochanie, spędzamy oddzielnie. - Już widziałam Łukasza śliniącego się do tych wycięć. I prawdę powiedziawszy, widok ten nie bardzo przypadł mi do gustu.

- Nie bredź, Mira. Muszę być piękna, zgrabna i powabna, bo coś mi serducho zaczyna szybciej bić na widok pewnego lekarza. Niech jemu też zabije, a co. A tak w ogóle mam dla ciebie propozycję nie do odrzucenia.

- Wal.

- Co powiesz na dzień poświęcony tylko i wyłącznie pielęgnacji urody? - zaświergotała kusząco.

- Szczegóły poproszę. - Agnieszka miała świra na punkcie wyżej wymienionej pielęgnacji i była gotowa tłuc się po siłowni, dopóki nie spaliła ostatniej pożartej kalorii. Więc lepiej się zorientować w sytuacji.

- Nooo, tak intensywnie planuję. - A nie mówiłam...? Nie wzdychaj, o jedenastej idziemy na siłownię, później relaksacyjnie basen i sauna, a na koniec kosmetyczka. Jutro...

- Miał być jeden dzień - zamruczałam w kawę.

- Daj spokój, nie dasz rady. Zajadę po ciebie. Pa.

- Pa.

Wolo wolna, wolo, gdzieś mi przepadła.

Asertywność - brak.

Postanowienie na nowy rok - ćwiczyć się w mówieniu słowa „nie”.

Zwiewna szmatka, wycięta gdzie się da, mruczałam pod nosem, wybebeszając wszystkie kiece z szafy. Nawet te, które okres świetności i, nie oszukujmy się, pasowania jak ulał,

miały już za sobą. Po przymierzeniu wszystkich stanęłam w bieliźnie na tyłku i z rozpaczą na twarzy przed lustrem.

Co to jest?

Co to, do jasnej, niespodziewanej cholery, ma być?!

Nie było tego tutaj w ubiegłym miesiącu! Tego też!

Nie, Mirul, źle stoisz, światło też niezbyt łaskawe. Szlag. Jakbym jednak nie stawała, nie naprężała nóg, zginała ich i w ogóle robiła z siebie zawodniczki z sekcji gimnastyki akrobatycznej, to te cholerne dziurki tam były. Te w moich nogach. Cellulit. Chwila, ani to dziadostwo, ani te wałeczki na brzuchu nie pojawiły się przecież z dnia na dzień. Takie rzeczy robią się miesiącami, chyba...

No i wszystko by się zgadzało. Od miesiący siedzę w domu, pasę się na dwóch wiktach jednocześnie i łązę zakutana w luźne sukienki albo bluzy dresowe. Człowiek doznaje olśnienia zupełnie niespodziewanie. Więc coś w tym jest. Mam faceta, nie za bardzo muszę się starać i mimo zabiegów kosmetycznych zupełnie nieświadomie staczam się po równi pochyłej?

Stanęłam tyłem do lusterka, po czym prędyutko odwróciłam się z powrotem. Przybywa mi noworocznych postanowień.

Nie żreć tyle.

U Uli pić tylko kawę. To bardzo blisko punktu pierwszego.

Basen.

Praca. Nie, wróć, praca na pierwszym miejscu, a problem reszty rozwiąże się sam.

Do samochodu Agnieszki wpadłam jak tajfun.

- Świnia jesteś, mogłaś bez ogródek powiedzieć, że wyglądam jak wieloryb, a nie wyjeżdżać z... pielęgnacją urody
- przedrzeźniałam ją.

- Nie wyglądasz jak wieloryb, ale jak się nie opamiętasz, to niewykluczone, że niedługo, no może jeszcze nie tak szybko, ale będę do ciebie mówiła mój ty walonku.

- No i nie wiem, czy czasami nie wysiąść. - Nie wysiadłam jednak, bo Agnieszka zdążyła już ruszyć z piskiem, poklepując mnie po kolanie.

- Nie bądź idiotką. Normalnie wyglądasz, zacznij się pilnować i będzie dobrze, a tyłek zawsze miałaś nad wyraz, hm, seksowny.

- Uhhh, a Marilyn Monroe, a Jennifer Lopez?!? Piękne, najbardziej seksowne kobiety na świecie? Nie żebym choć w najmniejszym, najciupszym stopniu przypominała którąkolwiek z twarzy, ale tyłek mam podobnych rozmiarów, konsystencji zdaje się też, widziałam... Może więc taka stracona dla ludzkości nie jestem?

- Oglądałaś swój tyłek? Koniec. Piękna z ciebie kobietka, nadzwyczaj seksowna, a wcięcia w talii zawsze ci zazdrościłam. O, właśnie przez zazdrość to wszystko mówię. Gdzie się pchasz, chamie?! A co do siłowni, basenu czy kosmetyczki, to wszystko kochana dla twego lepszego samopoczucia. Zobaczysz.

- Ha, to może jeszcze Ulę wyrwijmy? - zaproponowałam lekko udobruchana.

- Następnym razem.

Piątek

Nie dam się już nigdzie wyciągnąć, a na pewno nie dzisiaj.

Żeby durne pączki tyle człowieka kosztowały? Mamine racuchy? Pierożki moje kochane? Właśnie dochodzę do wniosku, że w każdym kawałku mojego umęczonego ciała są mięśnie. Nawet w powiekach. W palcach też. U nóg. Stwierdziłam to, machając paluchami i przyglądając się efektom wczorajszych zabiegów. Odmówiłam ozdabiania paznokci kwiatkami, wzorkami czy cekinami i zażyczyłam sobie klasycznego frencza. Bez tipsów i bez akrylu. Klasyka. Agnieszka wprawdzie kręciła nosem na mój wybór, no przecież raz do roku wypadaloby zaszaleć itp., itd. Z czego ona, na ten przykład, skorzystała maksymalnie. Spokojnie mogę powiedzieć, że na paznokciach miała malutkie dzieło sztuki.

- Wiesz, to niesamowite! - Siedząc już w samochodzie, przyglądałyśmy się symetrycznie wtopionym w akryl cekinom. - To artyzm, trzeba naprawdę mieć talent i niesamowitą precyzję w łapach, żeby wyrzeźbić coś takiego.

- Ano trzeba, a widziałaś minę tej pani? Ona cały czas dłubała ci w paluchach, a uśmiech nie schodził jej z twarzy...

Będę leżeć i boleć. Ile czasu człowiek ma zakwasy?

Sylwester

Oh my life is changing everyday... every possible waaay - ryczałam razem z Dolores, katując zacelulitowane nogi świeżo nabytym urządzeniem masującym. Podobno efekty będą widoczne za sześć tygodni. Zobaczymy. Na razie mam w sobie wystarczająco dużo pasji, żeby dokumentnie posiniaczyć obie kończyny... Może to ma na tym polegać?

Zaraz, zaraz, wszystko po kolei. Wysypałam z kosmetyczki wszystkie upiększacze, tubki i tubeczki, jednym słowem, całą konieczną w damskim wyposażeniu chemię. Maseczka... ogórkowa, taaak. Napisali, że rozmiękcza cerę, nawilża, ujędrnia i rozjaśnia piegi.

Dużo potrafi.

Na twarz. Rozmazałam zgodnie z instrukcją, omijając okolice oczu. Trzymać 15 minut, potem zeszkrobać. He, he. Działaj maseczko, wybielaj i ujędrniaj. W tym czasie rozmazałam sobie na łydkach krem depilujący i skąpo odziana ruszyłam po świeżo zaparzoną kawę. Ekspres już od jakiegoś czasu terkotał zachęcająco.

- Aaaaaa!!! - Łukaszem najwyraźniej wstrząsnęło na mój widok.

- So? Aseszke aam. - Cholerstwo zastygło mi na twarzy.

- Wyglądasz jak potwór - sarknął z obrzydzeniem, otrząsnąwszy się już nieco po przeżytych szokach.

- Sfffinia. - Pogadamy później, kochanie, oj, pogadamy. Potwór? Co on niby miał na myśli? Z jednej strony trzeba

wziąć poprawkę - przed sekundą wstał z łóżka i nie rozróżniając jeszcze jawy od snu, natknął się na dziwnie wysmarowane monstrum. Różnokolorowe, trza dodać. W jego ręczniku na głowie i prócz kremów prawie nagie. Może ta nagość go tak przeraziła?

- Nie rób mi tego więcej, bardzo cię proszę. Na dobrą sprawę jeszcze się nie obudziłem i taki widok mógłby

spowodować fatalne zakończenie mego żywota - zaapelował. - Kawy dla mnie wystarczy?

Pół godziny przed wyjściem byłam już gotowa - piękna, ufryzowana i cholernie zmęczona. Co stwierdziłam, obserwując Łukasza. Pogwizdując radośnie, wyszedł właśnie spod prysznic, wdział przygotowaną przeze mnie koszulę i zaczął wybierać krawat.

- Powiedz mi, dlaczego na tym świecie nie ma sprawiedliwości? Dlaczego ja cały dzień biegam, depiluję się, robię maseczki, maluję, fryzuję, a ty pół godziny przed wyjściem wskakujesz pod prysznic i już jesteś zwarty i gotowy? Jestem zmęczona.

- Jest sprawiedliwość. Nikt przecież nie każe ci robić tego wszystkiego - wzruszył ramionami.

- Jak to, nikt mi nie każe? Podstawowe normy mi każą. Gdybym pokazała minimum owłosienia na nogach, zlinczowałoby mnie. Bez makijażu z kolei stanowiłabym tylko przedłużenie ściany albo mało użyteczny mebel. No i chyba bym się tak czuła.

- Nakręcasz się. Dlaczego kobiety się malują i perfumują? Bo są brzydkie i śmierdzą, ha, ha - zabłysnął dowcipem.

- Ha, ha, ha... - Miałam ochotę podetknąć mu pod nos wczorajsze skarpetki, zalegające do tej pory obok fotela. Fuj.

- Same jesteście sobie winne. Robicie swoisty wyścig szczurów. Nadażyć za trendami, być modną, wkleić sobie maksymalną ilość tego paskudztwa na paznokcie, nawtryskiwać trucizny pod skórę, im więcej, tym lepiej...

- To co? Uważasz, że to nasza wina? A ciekawe, baaardzo ciekawe, dlaczego widok miseczki E, nie ma znaczenia czy silikonowej, czy naturalnej, powoduje u ciebie ślinotok? - zapytałam chytrze.

- Odruch bezwarunkowy. Poza tym jesteśmy wzrokowcami, lubimy sobie popatrzeć. A im krągłejsze, tym

przyjemniej się patrzy. Dotyka też. Dobra, ten niech będzie. Jaką sukienkę zakładasz?

- Jestem już ubrana.

Przyjemniej się dotyka... Nie mam miseczki E, mam takie sobie średnie, dobrze uformowane C, więc skąd on wie, jakie E jest w dotyku?

- Aaa - zarejestrował w lusterku kolor mojej sukienki - to ten będzie pasował. Idziemy?

- Hm, jak wyglądam?

- Dobrze - rzucił, po czym, nie zaszczycając mnie najmniejszym spojrzeniem, przyklepał sobie dwa niesforne włoski sterczące każdy w inną stronę.

Kapciuszek. W worku pokutnym też bym dobrze wyglądała. We włosienicy też i w stroju Ku - Klux - Klanu także byłoby mi do twarzy, może i najbardziej z tych wszystkich?

Ale nic to, będę się dobrze bawić. Słyszysz, Miru? Będiesz się bawić jak nigdy.

Jednak wyglądałam ciut lepiej niż dobrze.

Przy wejściu na salę, przystrojoną wzorowo tysiącem serpentyn, wpadliśmy na Agnieszkę i jej boskiego lekarza. Matko kochana, faktycznie boski, czyżby udało jej się wreszcie trafić na tego wymarzonego faceta, idealnego pod każdym względem? Ostro zarysowany podbródek, pokryty przepisowo jednodniowym zarostem... tak się chyba mówi, chociaż, cholera kto tak naprawdę wie, ile czasu produkują te seksowne kłaczki. Przepastne oczyska, ciemne i taksująco przyglądające się wszystkiemu dookoła. Johnny Deep, wypisz wymaluj, z dyplomem... zaraz, bodajże stomatologa. Nie, no idąc do niego, trzeba by najpierw kompleksowo wyleczyć wszystkie zęby, pozbyć się kamienia, wybielić... Co jeszcze można by zrobić? No wszystko. Tak, żeby jemu został tylko przegląd. Długi, dokładny przegląd.

Tymczasem ideał wpatrywał się w mój dekolt i ogólnie taksował mnie aprobującym spojrzeniem znawcy niewieściej urody.

Chwała za push - upy.

Zerknęłam na Łukasza, czy widzi to spojrzenie. Nie widział, bo wlepił ciełący wzrok w dekolt Agnieszki.

I tak właśnie wyglądał nasz wieczór sylwestrowo - noworoczny. Mój narzeczony przerzucał wzrok z dekoltu na dekolt, z oczywistym pominięciem mojego, mnie z kolei zerkwały w wyżej wymienione miejsce coraz to nowe pary oczu.

Cudem udało mi się go znaleźć na chwilę przed odliczaniem, pogrążonego w rozmowie z jakąś szczudłowatą panną, dla odmiany pozbawioną biustu, za to walorami ogólnymi zbliżoną do żurnalowych modelek.

- Kochanie - zaświergotałam, łapiąc go władczo pod ramię - północ się zbliża.

- O, już? Jak szybko. Przepraszam cię bardzo, Moniko. Miło się z tobą rozmawiało. Będziemy w kontakcie, prawda?

Po moim trupie, zabrzączało mi donośnie w głowie. Może dlatego nie słyszałam, co odszemrało zjawisko, oddalając się od nas wraz z chmurą perfum.

- Wszystkiego dobrego! - Łukasz cmoknął mnie z dubeltówki. - Niech nam się ten roczek ładnie ułoży. Może pracę wreszcie zdobędziesz? I przestaniesz dłużyć w zdjęciach? Oj, mówiłem, że makijaż nie ma sensu. Oczy ci się rozmazały... Dusza też mi się powoli rozmazuje.

Wtorek, Nowy Rok

Gdzieś koło południa udało mi się wreszcie zwlec z łóżka i kogóż zastałam w naszej łazience?

Jakieś monstrum żywcem wyjęte z najgorszego horroru.

Kilka razy mlasnęłam opuchniętymi powiekami, kładąc widziadło na karb alkoholowego zamroczenia. Jednak monstrum mrugało zgodnie ze mną.

Jęknęłam cicho.

Zapomniałam - poprawka, nie dałam rady - zmyć wczoraj resztek rozmazanego make - upu i moja nadwyrężona skóra dzisiaj się mściła. Poza tym, trzeba jej przyznać, mściła się w wyrafinowany sposób, bo prócz opuchlizny zafundowała mi dodatkowo czerwone przebarwienia w formie cętek.

Cichutko, żeby nie obudzić Łukasza, poszłam do kuchni. Kawa to akurat nie najlepszy pomysł, tym bardziej że mój żołądek skakał sobie bezlitośnie od stóp do gardła. Usadzić cholere, tylko czym? Żeby chociaż wapno... Niczego nie ma. A raczej dużo jest, ale nic z tych medykamentów na mój dzisiejszy stan się nie nadaje.

Ula!!! Gotowa byłam lecieć do Zabrockich po pomoc tak jak stałam, ale rzut oka w lustro w przedpokoju zawrócił mnie z powrotem do łazienki. Zaczesałam wszystkie włosy na twarz, po czym powlokłam się piętro wyżej, żywiąc cichą nadzieję, że żaden sąsiad nie napatoczy się po drodze.

- Miruś, wszystkiego dobrego w nowym roku, kochana - przywitała mnie od progu nieprzyzwoicie rześka Ula.

- Ciii, nie krzycz tak, wapno masz? - wyszeptałam spod grzywki.

- Oj, wapno to ci nie pomoże. Mira, daj spokój, w gorszym stanie cię widywałam, wychylże się spod tej czupryny. - Ula troskliwie odgarnęła mi włosy z policzków, po czym rozejrzawszy się dookoła, szybciutko i skrupulatnie z

powrotem zasłoniła mi twarz. - Czekaj, alergiczny jakiś ci potrzebny. Czym się wysmarowałaś? Może mi powiesz?

- Czym się tylko dało. Chciałam być piękna...

- I co, udało się? - zapytała z przekąsem, przekopując się przez szufladę z lekami.

- Chyba tak. Daj szybko cokolwiek i zmywam się, zanim dzieciaki się tu pojawią.

- Uhu! Hu! Ciocia, daj buzi! - Staś z impetem wylądował na moich kolanach, aż w nich załomotało.

- Zostaw ciocię, bo się bardzo źle, bidula, czuje.

- To ja ją wyściskam tylko troszkę, oszczędnie. - Po czym wycąłował i wyściskał, szczerze mówiąc, nie oszczędzając się zanadto. Mnie też.

- Ciociu, a czemu masz taką dużą buzię? I czerwoną?

- Stasiu! Do pokoju, marsz. - Ula litościwie ściągnęła go ze mnie i delikatnym klappsem przyspieszyła ruchy. - Babciu, a dlaczego masz takie duże zęby? Hi, hi, hi, zmiataj i się kuruj, długo ich nie będę w stanie powstrzymać. A jutro biegnij do lekarza, bo ta wysypka sama ci chyba nie przejdzie.

Prędyutko skorzystałam z jej rady i uciekłam do siebie. Gdzie mój przyszły małżonek po raz kolejny nie omieszkał podkreślić swoich racji. No bo i po co kobieta się maluje?

Poniedziałek

Wiosna chyba przyszła.

W środku stycznia słońce przygrzewa jak, nie przymierzając, w marcu albo i w kwietniu. Oczywiście podziwiam wszystko zza szyby, bo... - niewiarygodne - lekarz stwierdził u mnie różyczkę. Czy w wieku 30 lat można zachorować na różyczkę?! Ano można.

- Mamo, czy ja chorowałam na różyczkę w dzieciństwie?
- zadzwoniłam z pretensją do domu.

- Hm, nie pamiętam - powiedziała po chwili zastanowienia - chyba wszyscy przechodziliście. - Mama zawsze o naszej dwójce, o mnie i Adamie, mówiła wszyscy. Jakby było nas co najmniej dziesięcioro. - A dlaczego pytasz?

- Bo właśnie stwierdzono u mnie różyczkę - poinformowałam ją, drapiąc się odruchowo. - Nie wiesz czasami, czy po tych plamkach blizny nie zostaną?

- Nie drap - jak na komendę opuściłam rękę pod stół z telefonem - to nie zostaną. Chociaż to chyba przy ospie raczej zostają. Nie wiem sama. Ale przyjedziecie w niedzielę?

No tak. A może jak się czujesz, a może czegoś ci potrzeba. Nie. Najważniejsze plany niedzielne.

- Nie wiem. A mieliśmy przyjechać? Może przełożymy na następną niedzielę? Dam ci znać.

- Dam ci znać, dam ci znać - przedrzeźniała mnie - ojciec już zakupy zrobił.

- To Adasia zaprosz - doradziłam - albo zamroź wszystko... Zresztą i tak chyba trzeba zamrozić. Mamo, przecież dzisiaj dopiero poniedziałek?!

- To co, że poniedziałek? A sukienkę już sobie wybrałaś?

- Litości, kiedy?

- Kiedy, kiedy, ani się obejrzyysz, a już sierpień będzie, a ty w dalszym ciągu nie będziesz miała sukienki, no bo kiedy,

przecież wy na nic czasu nie macie. A zdążycie się chociaż jak cywilizowani ludzie pobrać, czy to też w biegu będzie?

I jak zwykle odłożyła słuchawkę, zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć. Westchnęłam. Buuu. Nie dosyć, że nikt do mnie nie może przyjść - Ula ze względu na dzieci, Aga na chroniczny brak czasu - to jeszcze rodzona matka plecami się odwraca. Ale z uczuciami macierzyńskimi zawsze u niej na bakier było. Kwestie organizacyjne owszem, higieniczne - jak najbardziej, ale z emocjami ciężko. Z okazywaniem emocji, bo żeby tak całkiem z nich wyprana była, to chyba niemożliwe.

Od szczenięcych lat, odkąd pamiętam, a pewnie i wcześniej, chodziliśmy z Adamem jak laleczki. Czyściutcy, na kancik prasowani i przeraźliwie sztywni. Nie daj Boże w ubraniu świeżo wyjętym spod żelazka któreś z nas wybrało się do piaskownicy. Ooo... Katastrofa. Chyba pierwsze słowa, jakie oboje zapamiętaliśmy, to szanować czyjaś pracę. A raczej nie szanować. My nie szanować jej pracy. Gwoli ścisłości. I tak zostało do dzisiaj. Ważniejsze są zawsze rzeczy materialne - patrz mięso zakupione na niedzielny obiad, swoją drogą tydzień wcześniej to już chyba lekka przesada - od rzeczy niematerialnych - patrz choroba córki.

Mimo że ta się przecież materializuje na wszystkich moich członkach. Sto procent, że mama siedzi sobie teraz w fotelu naprzeciwko ojca i przedstawia swoją wersję - nie mogła czegoś lepszego wymyślić, w jej wieku, różyczka. Też mi coś. Nie chce im się ruszyć i tyle. A on jak zwykle wsadza nos w gazetę i cichutko się podśmiewa.

Widocznie inaczej nie można.

Wtorek

Jednak nie lubię chorować.

Na pewno nie tak długo.

Laptop definitywnie odmówił współpracy.

Książek brak.

Nie bacząc więc na widoczne przebarwienia na twarzy, ubrałam się ciepło, zawiązałam szalik i ruszyłam do biblioteki. Zapas książek dawno się wyczerpał, a pani, już dobra znajoma, zawsze była w stanie wyszukać mi jakąś perełkę.

Wstyd się przyznać, ale chyba zidiociałam do reszty przez tę różyczkę. Może i jakie plamy na mózgu porobiła. Dlaczego? Bo zachciało mi się czytać - poczytać o rodzącej się miłości, o pierwszych spojrzeniach, ble - ble i o happy endzie. On i ona, objęci serdecznie, spoglądają sobie głęboko w oczy i przysięgają dozgonną miłość. Na złe i dobre. Słońce ma się już ku zachodowi, wokół cykają świerszcze... Nie, może jednak nie tak do końca mam na to ochotę.

Ruszyłam jednak cichcem między regały - tylko dla pań. - Aaa, to będzie dobre. Zabrałam z półki na chybił trafił cztery cegiełki w podniszczonych okładkach. Rokują nadzieję te okładki, że nie żaden chłam, a kawałek literatury. A nuż, widelec, może i całkiem dobrej? I jeszcze jednego Kinga, tak na deser, tego najgrubszego.

- To dla pani? - zapytała bibliotekarka jakby z niedowierzaniem.

- Poproszę - powiedziałam stanowczo. Nie, dla męża, trochę też poczyta mamusia. Uch.

Zapakowałam łup w hipermarketową reklamówkę i ruszyłam z powrotem do domu.

Ten człowiek mnie jednak prześladowuje. Na pewno. Czy on zawsze musi wyłazić z domu w tych samych godzinach co ja? Nic, tylko te złośliwe bydlę jest tak zaprogramowane, żeby załatwiać swoje fizjologiczne potrzeby w najmniej

odpowiednich momentach. Zibi znaczy. Skuliłam się w sobie. Głowę opuściłam nisko, bardzo nisko, i chowając się przed wiatrem (cudownym, prawie wiosennym zefirkiem), ruszyłam przed siebie. Szedł po lewej stronie chodnika - bardzo dobrze - więc wysterowałam na brzeżek prawej i prułam, nabierając prędkości. Nie dane mi jednak było bezkolizyjnie dotrzeć do klatki.

Ki grzmot. Zawiazywać sznurówki na środku chodnika? Tarasować przejście porządnym obywatelom. No i wpadłam na jakąś dziewczyninę. Przepraszam. Nic nie szkodzi. A z boku dobiega rubaszne:

- Ha, ha, ha, ha, ha.

- Ha, ha, ha - zawtórowałam mniej entuzjastycznie.

- Książki ci wypadły, a tak w ogóle to dźbry. - I już ruszał, żeby pozbierać moje łupy z półki tylko dla pań. Cholera.

- Dzień dobry - burknęłam, wyrywając mu po kolei książki. Oczywiście zarejestrował, co tacham. No i ile. Znaczy, że podsumuje mnie odpowiednio. Wielbicielka harlequinów - przemknęło mi przez głowę. A, do groma, co mi tak bardzo zależy na opinii tego człowieka. I co on taki bezczelny? Śmiać się z cudzych wpadek?

- Zdaje się, że w twojej naturze leży urozmaicanie ludziom życia.

- Hm... - spojrzałam wojowniczo, ale ruszyłam dalej przed siebie.

- Cudnie jest, prawda? - Delikatnie zmienił temat i dodreptał do mnie.

- Ano cudnie.

- Wiosną pachnie, prawda? Co on z tym - prawda?

- Ano pachnie.

Nie będę z nim rozmawiać. Nie będę.

- Jakoś nie wychodzisz ostatnio z domu.

Jak powie „prawda”, to nie wytrzymam. Nie powiedział.

- Nie wychodzę, bo dopiero niedawno ozdowiałam. He, he, he, różyczka - poinformowałam trochę wbrew sobie.

Jeżeli wyjedzie mi z wiekiem, to zdieję tym, co to tylko dla pań. A Kingiem dołożę, wybaczone literaci.

- O popatrz, może te dzieci od pani Uli cię zaraziły - wysnuł przypuszczenie.

- CO? Ulki dzieci chorują.??? Przecież to przeze mnie. Boże, a ona nic nie powiedziała... Cholera. Muszę iść. Cześć!

- Ruszyłam w te pędy do Zabrockich.

Cóż. Dzieci przedstawiały sobą bardzo ciekawy widok. Zakropkowane tak, że niekoniecznie rozróżniałam twarze. Na mój widok błysnęły tylko zęby i poinformowano mnie triumfalnie:

- Nie chodzimy teraz do szkoły.

- Do przedszkola też.

- Gdzie mama? - zapytałam najprawdopodobniej Zosi, najstarszej z całej czwórki.

- U siebie.

- Uluś, słońce, czemu nie dałaś znać...? - zapytałam.

- I po co? Kropki niech mi zejną z oczu! - padła komenda w stronę radosnej gromadki. - Już z nimi nie wytrzymuję - westchnęła - na moje oko to oni wszyscy zdrowi. Chory człowiek nie gania jak opętany po całym domu.

- Młody człowiek gania - poprawiłam ją. - Głupio mi, cholera. Przytaczałam wam chorobę.

- Lepiej teraz niż, dajmy na to, w wieku trzydziestu lat.

- Ha, ha. Idę. Paweł o której wraca? Może któreś zabiorę? Jakby co to wiesz... - Często zdarzało się, że dzieci koczowały u nas. Wpatrzone w programy z kablówki.

- Wiem, a Paweł... ostatnio coraz dłużej zostaje w pracy. Coś mi tam tłumaczył, jakieś zlecenia czy co... Nie, dam sobie radę.

- Ula... a czy to normalne, że zdarza mi się myśleć o nim...? - zapytałam niepewnie już w drzwiach.

- Wychodzisz za męża. To zdaje się normalne.

- Nie o Łukaszu - machnęłam ręką - o sąsiedzie dziennikarzu. I śnił mi się...

- Normalne. Kobieta w końcu jesteś, a że on jest niesamowicie przystojny to chyba nawet dobrze, że myślisz.

- No nie wiem... - Najwyraźniej mnie zbywała, oświeciło mnie. - Zaraz, zaraz, t y też myślisz, prawda?

- Nooo, zdarzy się. - Jasne. Na razie.

Uciekłam. To ja już siebie podejrzewam o jakieś niecne zakusy względem klatkowego Adonisa, a okazuje się, że to normalne? Matka czwórki dzieci, żona od szczęśliwych lat nastu też się za nim ogląda? Może i normalne.

Cały wieczór przesiedziałam w czytałach, o zgrozo z paczką chusteczek jednorazowych na podorędziu, bo łyzy mi się tak jakoś same wyciskały z oczu. Łukasz na moje szloch nie zwracał najmniejszej uwagi, zatopił się bez reszty w telewizji. Nic go nie interesowały koleje losu biednej dziewczynki, która nagle ni stąd, ni zowąd dziedziczy ogromną fortunę.

Że też mnie się nic takiego nie może przydarzyć...

Rozmarzyłam się. Siedziałabym w domu, zmieniałabym akryl na paznokciach.... Nie, żadnego akrylu. No w każdym razie kosmetyczka, mój własny, cudowny sprzęt, taki z najwyższej półki, przystojny mężczyzna u boku, z kwiatami zawsze, taaa... Bzdurne te moje mrzonki zdaje się.

- Kochanie? - zagadnęłam. Cisza.

- KOCHANIE?!

- Słyszę przecież, nie krzycz.

- Nie krzyczę. Nie odpowiadasz, więc powtarzam głośniej - tłumaczę. Błąd. Bo znowu zdążył się wyłączyć. - Słyszysz mnie?

- No słyszę.
- Widziałeś, kto niedawno się wprowadził? - Yhm.
- A wiedziałeś, że jest dziennikarzem? - dociekam.
- Yhm - kolejne potwierdzenie. To sobie pogadaliśmy.
- Ciekawe jakiej gazety, bo w telewizji go nie widziałam.

Chociaż nadawałby się... taki piękny.

- Kto znowu taki piękny? - Udało się, resztki świadomości zostawił jednak na tutaj.

- Sąsiad.

- Mamy nowego sąsiada. - Stwierdzenie raczej niż pytanie. W takich wypadkach brakuje mi raczej cierpliwości i daję sobie spokój. Niech tkwi w tym cholernym telewizorze i o bożym świecie nie wie.

Środa

Do ołtarza prowadził mnie Michał, a Łukasz czekał u boku księdza i przyglądał mi się z jawną dezaprobatą w oczach. Rzuciłam paniczne spojrzenie na sukienkę. No tak, nie zdążyłam niczego kupić i na ślubnym kobiercu musiałam wystąpić w jednym ze swoich domowych wdzianek. Najbardziej znoszonym i jakby trochę brudnawym, a do tego moje stopy miały delikatnych pantofelków, ozdobiły jakieś różowe papucie. Nagle rozległy się kościelne dzwony. Dzwoniły i dzwoniły, aż wydzwoniły mnie z tego koszmaru. Brrr. Wygrzebałam telefon.

- Ubieraj się i przyjeżdżaj do mnie. - To Agnieszka.
- Dzień dobry - mruknęłam. - Wiesz, która godzina?
- Wiem, ubieraj się, powtarzam, szybko. A żeby było jeszcze szybciej, możesz wziąć taksówkę.
- Pali się, przepraszam?
- Chyba mam dla ciebie pracę.
- Na „chyba” to nie wyleżę w ciągu najbliższych trzydziestu minut - stwierdziłam rzeczowo.
- Niech będzie. Mam dla ciebie pracę. Zadowolona? Rusz się i przyjeżdżaj. Pa.
- Pa - powiedziałam już do lustra.

Plamki da się zapudrować, już nie takie widoczne, więc nałożenie na twarz mazideł i znalezienie sensownego ciuchu zajęło mi mało czasu. Po drodze doszłam do wniosku, że Aga, jako osoba postronna i bezpośrednio niezaangażowana, doradzi co nieco w sprawie Adonisa. Niech nie płacze się po umyśle świeżo upieczonej narzeczonej... No bo niby dlaczego prowadził mnie do ołtarza? I to jeszcze w lichej sukieneczynie? Pokuśmy się o prymitywną interpretację.

Strój to pewnie wpływ maminego krakania. Może też świadczyć o tym, że niekoniecznie idealnie widzę ten mój wielki dzień. Poza tym, nasz staropolski obyczaj wyraźnie

nakazuje, żeby to pan młody ciągnął oblubienicę do ołtarza, a nie dziennikarz amator, choćby nie wiem jak piękny.

- Będiesz asystentką dyrektora - walnęła Agnieszka z grubej rury, od razu na powitanie. - Cieszysz się?

Zdębiałam.

- Asystentką? Kobieto, rozum straciłaś? Niby jak? Co ja mam robić? Z zadań asystentki, chociaż też nie jestem pewna czy na sto procent, umiem parzyć kawę - zastopowałam.

- Nie przejmuj się. To najzwyczajniejsza w świecie funkcja sekretarki, a że się ładniej nazywa, to mało ważne.

- Hm, a gdzie ta praca? - dociekałam.

- U mnie w biurze.

- Przecież ty nie masz biura. - Coś się nie zgadzało, przecież Aga od wiek wieków siedzi w domu i tworzy, tudzież coś tam komuś projektuje.

- Zrobię kawy. Obudzisz się i wtedy wszystko ci wytłumaczę - zadecydowała, znikając w kuchni.

Powoli poszłam za nią, rejestrując w lustrze w przedpokoju coraz wyraźniejsze odrosty, koloru mego własnego, mysiorudego.

- No i co z tym twoim biurem? - zapytałam mało rezolutnie.

- A jak myślisz? Zlecenia same do mnie przychodzą z ulicy?

- A, przepraszam, zlecenia czego?

- Uch, reklam, materiałów reklamowych, ulotek i innych plakatów.

- Aaaa rozumiem - chociaż niczego nie rozumiałam - no i co?

- Wypij najpierw tę kawę, bo stracę cierpliwość - westchnęła.

Teraz to już ja straciłam wyżej wspomnianą cierpliwość.

- Budzisz mnie w środku nocy, wyciągasz z łóżka, każesz się wlec na drugi koniec miasta i jeszcze nie chcesz powiedzieć, o co chodzi - zezłościłam się.

- Uspokój się! - Dobrze wie, że te słowa działają na mnie jak przysłowiowa płachta. - Już ci tłumaczę. Całą noc siedziałam nad jednym projektem i ni cholery nie rozumiem, że ktoś może być o tej porze zaspany.

- Ano może. - Powoli się uspokajałam, ale bardzo powoli. - Normalny człowiek może.

- Normalny, niepracujący - przelicytowała. - Dobra, koniec. Dotychczasowa sekretarka odeszła na urlop czy tam zwolnienie. Zdaje się, że na długie, bo jest w ciąży. I wczoraj wieczorem dzwoniła do mnie, żebym poleciła dyrekcji kogoś na jej miejsce. Tak więc polecam. Rozmawiałam już dzisiaj z dyrektorem. Zjawimy się na dziesiątą. Ja oddać to, co udało mi się twórczo wypłodzić, ty po pracę. Zadowolona?

- Cholera.

- Też się cieszę. Twoja radość i wdzięczność zwała z nóg - ironizowała, miotając się po kuchni.

Jakoś wszystko tak niespodziewanie spada mi ostatnio na głowę.

- Oj, jestem wdzięczna, wiesz, że jestem. Dostyc mam już siedzenia w domu. Ale...

- Kobieto, przestań. Nie zaczynaj mi tu tylko analizować wszystkiego, bo nie wytrzymam.

Taka właśnie jestem. Analizator pospolity. Homo analisatorus pospolitus. A jest to typ paskudny, dzielący przysłowiowy włos na czworo, szukający dziury w całym czy tam igły w stogu siana. Coś się chyba poplątało. A jeżeli, a gdyby, a może... I tak dalej, bez końca. Typ analizałorusa raczej mało szkodliwy dla otoczenia, chyba że będzie zamęczać analizami otoczenie. Ale sprytna ze mnie persona -

wiem kogo i kiedy, tak więc nabrałam kawy w usta i posłałam Agnieszce niewinne spojrzenie.

Ubrana niezbyt wyjściowo jak na rozmowę kwalifikacyjną stanęłam przed obliczem dyrektora. Okazało się jednak, że nawet gdybym wystąpiła nago, i tak nie zrobiłoby to na nim żadnego wrażenia. Z tego prostego powodu, że nie zaszczycił mnie ani jednym spojrzeniem.

- Zdaję się na panią, pani Agnisiu. - Jako że ona weszła pierwsza, wiedział, do kogo mówi. - Proszę wdrażać koleżankę w obowiązki od jutra. Godzina dziesiąta. Księgowa przygotuje te tam - machnął ręką w nieokreślonym kierunku - papierki. Czekam.

Po czym skrył się za monstrualnych rozmiarów monitorem.

- Bardzo przyjemny ten wasz szef - podsumowałam wrażenia ze spotkania.

- Ale konkretny. Zapamiętaj, takie zjawisko jak przyjemny szef w przyrodzie nie występuje - wyjaśniła Aga. - Trafisz jutro sama? Czy najpierw zajedziesz do mnie?

- Trafię. Nawet chyba jednym tramwajem - dodałam po zastanowieniu.

Mój kompletny brak orientacji w terenie niejednokrotnie dostarczał znajomym tematu do żartów. Gdyby nie miejskie przystanki, opisane jak dla mało rezolutnych, nie raz wyjechałabym nie tam, gdzie powinnam. Nie daj Boże zawieźć mnie na grzybki, albo dać mapę do ręki. I jedno, i drugie może mieć opłakane skutki. Nic nie poradzę. Płec mózgu się chyba kłania.

Po drodze przekonałam samą siebie, że trzeba się cieszyć. Znalazłam nareszcie pracę, chyba nawet dobrze płatną, cholera wie, bo przecież nie było kogo zapytać. Ale dostałam, a dzisiaj przecież z tym ciężko. Cała w uśmiechach dotarłam

na to nasze piąte piętro i zabrałam się do przygotowywania specjalnego posiłku.

Na specjalny posiłek składać się miały grochówka na kiełbasce i zapiekanka z ziemniaków.

- No, no, no, cóż to za zapachy - dobiegł mnie zachwycony głos Łukasza.

A zapachy faktycznie mówiły same za siebie, czosnek mieszał się z wonią smażonych ziemniaków, cebuli, do tego stygnąca już na parapecie grochówka. Wparował do kuchni, jak zwykle z teczkami i rulonami pełnymi projektów. Jak zwykle rzucił to wszystko na stół i zaczął buszować po garnkach. Tak jakby nie dowierzał jednemu ze zmysłów.

- Tak, tak, jest specjalna okazja - mruzczałam zadowolona, przewracając ziemniaczki. - Spróbuj, czy nie za mało słone.

- Delicje... No, powiedz wreszcie.

Odłożyłam drewnianą łopatkę, powoli wytarłam dłonie o jedną z kwiecistych sukieneczek - nawyk nie do wytępienia - i popatrzyłam na niego.

- No móóówww.

- Dostałam pracę - oznajmiłam krótko.

- Lecę chyba po szampana. - I po chwili już go nie było.

A mnie do wtóru skwierczących ziemniaków pomyślało się, że całkiem miło jest dzielić z kimś radość. Małą radostkę czy wielkie radości. Nieważne. Po jakimś czasie uświadomiłam sobie, że głupawy uśmiech nie schodzi mi z twarzy.

I bardzo dobrze.

Czwartek

Jeżu. Zapomniałam, co to korki uliczne. Główna ulica całutka stoi i nie zamierza się ruszyć. Zapakowałam się z trudem do tramwaju. Statystyki podobno mówią, że mamy coraz mniejszy przyrost naturalny. W godzinach szczytu, w centrum miasta, bardzo ciężko uwierzyć statystykom. Ani chybi kłamią.

Dopchałam się do kasownika, przewracając jakimś młodzieńcowi plecak:

- Musi się tak pani pchać? Podałaby bilet, to bym skasował - uprzejmie zaoferował się młodzieniec.

- Pszam.

Dziękuję bardzo, wiadomo, czy odda mi później? Nie wiadomo.

Ha. Jak ufnie pakujemy do tych maszyn swoje pieniądze, niewielkie, ale zawsze pieniądze. Tymczasem złośliwe urządzenie, jakby stając po stronie wyrostka, zeżarło mój bilet. Nie całkiem wprawdzie zeżarło, bo wystawał sobie trochę, ale wyleźć za żadne skarby nie chciał. Oklapłam i rozejrzałam się wokół w poszukiwaniu pomocy. Młodzieniec z przewróconym plecakiem prychnął pogardliwie, a reszta pasażerów najwyraźniej miała głęboko w poważaniu problem na poły poźartego biletu. Hm. Stałam więc sobie blisko kasownika i na każdym przystanku informowałam wsiadających, że zepsuty i lepiej biletu nie pchać. Jakby nie widzieli...

- Ciki do kontroli - dobiegło mnie z drugiego końca wagonu. Pięknie. Spojrzałam na resztki swojego „ciku” i stwierdziłam, że w tym stanie to on raczej do skontrolowania się nie nadaje.

- Pani bilecik? - kontroler spojrzał na mnie.

- Tu - powiedziała bezradnie, wskazując na kasownik.

- Co tu? Co tu? - oburzył się. - Bilety się kasuje, nie czeka, aż wsiądzie kontroler.

- Nie czekałam. To się zacięło... - Rozejrzałam się bezradnie wokół, no przecież nie uwierzy.

- Nic tutaj nie miało prawa się zaciąć. Płaci pani...

- Ale ten kasownik naprawdę się zaciął. - Wsparcie nareszcie nadeszło, o dziwo od młodzieńca.

- A pan co? Adwokat? Pana bilet...? A pani nigdzie nie ucieka. - Pogroził mi palcem.

Bałwan. Skuj, przykuj do poręczy, wtedy na pewno nie ucieknę. Znowu spróbowałam wyciągnąć bilet. Oczywiście, bezskutecznie. Walnęłam więc bezsilnie w kasownik.

- Chce pani zniszczyć mienie państwowe? - warknął. Z jakiej epoki on się urwał, przecież dzisiaj wszystko do społeczeństwa należy.

- Proszę pana, ja widziałam, ta pani chciała skasować bilet, tylko później nie dała rady go wyciągnąć. Czesiu, na którym pani przystanku wsiadła, widziałeś może? - Wąsata niewiasta postanowiła wkroczyć do akcji, szturchnęła siedzącego obok chudego pana.

- A bo ja wiem? - mruknął niechętnie Czesio. - Ale dawno już wsiadła.

- A państwo co, w znowie? - zawarczał kontroler.

- Panie, przestań się pan czepiać niewinnych ludzi - nagle posypały się głosy ze wszystkich stron.

Kontroler rozejrzał się bezradnie, jakby przeczuwał, że za chwilę wyrwą mu ofiarę z rąk. Złapał mnie za łokieć i zaczął ciągnąć na schodki.

- Proszę za mną, proszę wysiadać, no już - padła komenda. Z drugiej strony coś ucapiło mnie z całej siły za kurtkę. Pani

z wąsem, od Czesia, najwyraźniej nie zamierzała poprzestać na słowach.

- Czesiu, rusz się, trzeba pani pomóc - mobilizowała męża. - Pan też, o tu niech pan złapie. Tu, obok kieszeni, albo też za łokieć - radziła jakiemuś młodemu człowiekowi.

- Proszę zostawić tą panią. ONA MA ZAPŁACIĆ MANDAT! - krzyknął kontroler i zdwoił wysiłki.

- Żadnego mandatu płacić nie będzie! - Pani z wąsem nie pozostała dłużna i zmobilizowała swoją stronę. - Mocniej, ciągnijcie mocniej, bo w końcu ją wywlecze.

- Proszę państwa - zaprotestowałam słabo. Szwy w kurtce zdaje się zaczynały pękać, tym bardziej że kontroler wezwał pomoc w postaci barczystego brodacza.

Rozerwają mnie w cholerę i tyle będzie z mojego pierwszego dnia w pracy. Luuudzie, litości. Tymczasem już cały tramwaj wrzeszczał:

- Kurtkę porwiecie!

- Za łokieć, panie, za łokieć, ja tu za kolanko capnę!

- Nie dać się brodaczowi!

- Nie zapłacimy! Choćby nas mieli ćwiartować!!!

Kontrolerzy poddali się w końcu. Po nastu przekleństwach, tyłuż odgrazaniach, kolejnym trzaśnięciu kolejnego szwu - już nie wiedziałam, czy to odzienie wierzchnie tak trzeszczało, czy pozostała garderoba - puścili mnie tak nagle, że z impetem potoczyłam się na trzymających mnie pasażerów. Rozległy się pomruki zadowolenia, ktoś nawet zaklaskał kilka razy.

- Policję na was nasłać!!! Do przestępstwa dochodzi w biały dzień - sarkał kontroler, ale głos dochodził już zza zamkniętych drzwi.

- Bardzo dziękuję za pomoc - oznajmiłam, ledwie zapiąc, wszem i wobec.

A mówią, że znieczulica. Ciekawe.

W jakim stanie dobrnęłam do mojego przyszłego miejsca pracy, wolę nie myśleć. Aga stała już przed wejściem do

budynku i tupąła nogą. Z widocznym zniecierpliwieniem. Popatrzyła na mnie i oniemiała.

- Napadli cię? Okradli na pewno! Dzwoniłaś na policję?! Boże, przecież ty nieszczęścia przyciągasz jak magnes. Na pewno ukradli ci telefon! - Rzuciła się do torebki. - Masz, masz mój i dzwoń. - Podała mi słuchawkę, po czym ją wyrwała. - Nie, ty na pewno za bardzo roztrzęsiona jesteś. Daj, ja zadzwonię. - Już wykręcała numer. - Z czego się śmiejesz? Matko kochana, w szoku jesteś, to na pogotowie też trzeba...

- Uspokój się, Aga! NIKT MNIE NIE NAPADŁ, SŁYSZYSZ?! - Po kilku próbach spokojnego tłumaczenia wreszcie straciłam cierpliwość. - Nie miałam biletu.

- Cooo? - zdębiała.

Oczywiście w swoich ciuchach nie mogłam stanąć przed dyrektorem - a nuż dzisiaj przyjdzie mu do głowy spojrzeć kontrolnie na nowego pracownika...? Agnieszka łaskawie zaoferowała mi swój sweterek, ze spodniami jakoś miałam sobie radzić. Torbę cały czas nosić na wysokości kolan. Duża, to zasłoni. Przynajmniej częściowo.

Przez cały dzień różni ludzie znosili mi różne papiery, segregatory i książki. Zaczęłam się zastanawiać, kiedy rosnąca szybko kupka zasłoni mnie bez reszty. Co chwilę biegałam zresztą do niejakiej pani Joli, która podobno była od zawsze prawą ręką szefa i wiedziała wszystko najlepiej.

Ciekawa osoba, tak zupełnie na marginesie. Pierwszy rzut oka wystarczył, żeby stwierdzić z całą pewnością tanoreksję. Pani Jola miała bowiem karnację zbliżoną do oranżu, a zważywszy na porę roku, nie mogła jej nabyć innym niż solarium sposobem. Poza tym cała wyglądała jakoś tak... no, przesadzona była i tyle. Miru, dziecko - zagrzmiał mi w uszach głos rodzicielski - nigdy nie oceniaj kogoś po

wyglądzie. No dobra, nie będę. Tym bardziej że ta pomarańczowa Jola była mi potrzebna.

- Pani Jolu - jęczałam - ja się chyba w tych papierach nie połapię.

- Co znowu? - pytała na razie uprzejmie. Tłumaczyłam, kodowałam, po czym wracałam na swoje miejsce z jeszcze większym mętlikiem w głowie. Co jakiś czas miałam też stawić się przed obliczem najwyższego i zameldować o dotychczasowych osiągnięciach. Meldowałam się zatem, dyskretnie przytrzymując niezbędną torbę. Oprócz więc objęcia rozumem zasad, na jakich działała firma, bez przerwy zastanawiałam się, czy aby za chwilę nie wychynie z tych moich portek żadna demaskująca dziurka. Nadeszło popołudnie, za chwilę dosłownie wieczór, i mogłam z czystym sumieniem wracać do domu.

W tramwaju rezolutnie poczekałam, aż złośliwe urządzenie przemiele i grzecznie odda kilka biletów, po czym z pewnym niepokojem zaaplikowałam swój. Wrócił. Dzień pełen niespodzianek dobiegł najwyraźniej końca. Zatrzymałam się na swoim piętrze, ale po chwili ruszyłam dalej. Wiem przecież, że jak ugrzęznę w domu, to później do Ulki nie będę miała siły zajrzeć. A chciałam. Tylko po to, żeby poczuć te ich Zabrockie ciepło, pooddychać przyjaznym powietrzem.

Przyjazne powietrze zmaterializowało się, gdy tylko przekroczyłam próg mieszkania Ulki.

- Ciocia!!! - przywitała mnie ciągle jeszcze zakropkowana na różowo gromadka.

- No cześć, dzieciaki. - Przyjrzałam się im wnikliwie. - Jeszcze ta wysypka wam nie zlazła?

- Daj spokój - Ula wyłoniła się z pokoju - wczoraj wysłały Zosię do sklepu, podobno po kredki. Kupiła dodatkowo flamaster. Różowy. Ciężko zmywalny.

Złapała Stasia za kołnierz.

- O, tutaj i tutaj to produkcja własna - wskazywała na plamki. - Zdolne dzieci, co? Do szkoły nie chce im się wracać.

Prychnęłam, ale że zgromiła mnie spojrzeniem, szybko zapewniłam dzieci o niestosowności zachowania.

- To bardzo nieładnie z waszej strony. Mama się denerwuje i martwi... - W połowie zdania żadnej kropki już przy mnie nie było. Rozpierzchły się w ułamku sekundy.

- One tak zawsze - jęknęła Ula i machnęła ręką. - Standardowa reakcja na moralizowanie. I co ja, powiedz, mam z nimi zrobić.

- Kup rozpuszczalnik - podsunęłam. - Ula, ja sobie chyba nie poradzę...

- No tak. Z czym? No i co ja mam niby zrobić z rozpuszczalnikiem?

- Namocz potomstwo, a potem szoruj. Szoruj tak mocno, aż wyszorujesz. Zapiecze, poboli i więcej głupstwa nie zrobią - doradziłam.

- A aspekt moralny? Z czym masz sobie nie poradzić? Mira, nie dramatyzuj i nie wymyślaj, bardzo cię proszę.

Nie dramatyzuj, nie wymyślaj, wszystko będzie dobrze.

Wybyłam więc do swojej samotni, aby dogłębnie wszystko przeanalizować. Inaczej nie byłabym sobą. A tak w ogóle, to chyba nie za bardzo w porządku - zostawili mnie na pastwę losu, zamiast dać kogoś, kto by mi łaskawie pomógł zgłębić tajniki wiedzy o firmie.

Od progu powitała mnie dziwna woń.

- Szlag by to... - dobiegło z głębi mieszkania.

- Cześć, słońce - rzuciłam.

- Cześć. Pomóż! - Nie wyszedł nawet do przedpokoju. To ja wracam zmęczona po całym dniu pełnym wrażeń, a on mnie nawet nie przywita. Weszłam bojowo nastawiona do kuchni. Boże.

Obraz nędzy i rozpaczy. Po kolei. Kuchenka zapaskudzona jakąś czerwoną mazią, w garnku pieni się coś podejrzanie brązowego, a wybranek mego serca stoi nad tym wszystkim z rozwianym nielicznym włosiem i jakąś grubą księgą w błyszczącej, kolorowej okładce.

- Pomóż, Miruś - jęknął, wskazując z obrzydzeniem na garnki.

- Co to?

- Ryż z sosem... Miała być kolacja dla ciebie... - Mój bojowy nastrój ulotnił się i z rozrzewnieniem spojrzałam na Łukasza. Próbował gotować. Dla mnie. Kochany.

- Co to? - zapytałam, wskazując na opadającą pianę.

- To ryż.

- A dlaczego taki brązowy? - dociekałam.

- A bo ja wiem - wzruszył ramionami, wpatrując się na przemian w garnek i książkę - może za długo się gotował. Na chwileczkę wyszedłem z kuchni, bo Adaś skakał...

Jasne. Wyjęłam mu z ręki książkę i wsunęłam się pod ramię.

- Dziękuję.

- Za co? - zachnął się. - Popatrz, co z tego wyszło.

- Nie jestem głodna - skłamałam. - Poza tym są jeszcze zupki chińskie.

Westchnął i ruszył do szafki w poszukiwaniu makaronów.

- A gdzie? - Czy to domena wszystkich mężczyzn? Patrzy na to, czego szuka, i nie widzi. Musi zapytać i koniecznie uzyskać odpowiedź. Teraz ja z kolei westchnęłam.

- Idź. Ja zrobię.

- Kocham cię. Pikantną poproszę. - Cmoknął mnie w czubek głowy i ulotnił się szybko.

A ja, doprowadzając kuchnię do pierwotnego wyglądu, powoli zaczęłam dochodzić do wniosku, że powinnam być bardziej konsekwentna. Się zdenerwowałam i w tym

zdenerwowaniu należało pozostać. Przynajmniej do czasu, kiedy to wybranek posprząta owoce niedoszłej kolacji. Niestety. Do późnej nocy szorowałam kuchenkę, podłogę i wszystkie meble. Ścian nie wyłączając.

Piątek

Kolejny dzień w pracy. Tym razem dotarłam bez problemu.

W tramwaju spotkałam wąsatą panią od Czesia, do której uśmiechnęłam się promiennie.

- Kupi sobie pani miesięczny, dobrze radzę.

- Kupię, kupię. Jeszcze raz dziękuję za wczoraj.

- Musimy sobie pomagać, my, znaczy ludzie - mrugnęła do mnie znacząco. - Bo jak nie, to nas pożrą.

- Tak - żarliwie przytaknęłam. Ale chwila...: - Kto właściwie? - Popatrzyła na mnie tak, jakbym raptem zaczęła mówić w nieznanym jej języku. - No niby kto ma... nas pożreć... - powtórzyłam.

- Jak to kto, kochaniutka, oni wszyscy, te sępy - wyjaśniła, machając głową w nieokreślonym kierunku. - Nie dość, że chapią pieniądze na czym się da, to jeszcze i ludziom chcą zabierać na każdym kroku. Każdy aby dla siebie tylko i nie patrzą, czy człowiek ma co do garnka włożyć. Ciężko - westchnęła.

- Ano ciężko, ale co zrobić - zawtórowałam jej solidarnie wzdychaniem, w dalszym ciągu głęboko wdzięczna. W końcu to ona wczoraj wyciągnęła mnie, dosłownie przecież, z łap kontrolera.

- Jak to co? Trzymać się, pani kochana, razem. I tyle. Nie odwracać głowy w bok, żeby nie patrzeć na cudzą biedę. Nie, nie. Musimy sobie pomagać - zakończyła.

Może i ma trochę racji kobieta. Gdyby mnie nie wciągnęli z powrotem do tego tramwaju, zabuliłabym nie wiadomo ile. I to niesłusznie. Pożegnałam się czule i pognałam do biura. Łukasz wydał mi szczegółowe instrukcje, o co się wypytać, bo nagle okazało się, że sprawa mojego zatrudnienia nie jest jeszcze sfinalizowana żadną umową. Oburzył się, że najprawdopodobniej przyjdzie mu żenić się z jakąś cudowną

instytucją charytatywną. Tylko „cudowną” uratowało nas od sprzeczki. Raptem jeden dzień tam posiedziałam i już mam mieć wszystkie papiery. Ha, najlepiej jeszcze żebym całą pensję przyniosła! No dobrze. Powinnam chociaż zapytać, ile będę zarabiała, ale jakoś w tym całym zamieszaniu...

- Pani... - Dyrektor spojrział na mnie bezradnie, po czym pstryknął palcami, jakby to miało mu przypomnieć, jak dali mi na chrzcie.

- Mira - podsunęłam usłudźnie.

- Pani Miruu... osławo. - Najwyraźniej nie wiedział, jak zdrobnić to moje cholerne imię. Popatrzył na mnie jak na winowajczynię - przecie go sobie nie wybierałam. Gdybym miała na to jakikolwiek wpływ, byłaby Ewa albo Anna, też ładnie i zupełnie bezproblemowo, każdy wiedziałby, jak się do mnie zwracać. - Proszę przejrzeć raporty tygodniowe i podesłać mi streszczenie tak mniej więcej do trzynastej. - Spojrzał na zegarek i dodał z godnością: - Później mam 1 a n c z.

Późny 1 a n c z.

Mój szef wyglądał jak chuda, króciutka łodyżka zwieńczona wielkim kwiatem. Gęstą czuprynę zaczesywał zawzięcie do góry, co - podejrzewam - tuż po dokonaniu porannej toalety dawało zamierzony efekt. Efekt uczesania. Ale czy on później nie patrzył w lustro? Ciężko było zgadnąć. Czarne kudły sterczały pod kątem prostym we wszystkie strony, nieodmiennie przywołując przed oczy rozmówcy obraz Einsteina. No i cały czas któraś część ciała poruszała się rytmicznie. Albo tupał małą stópką, albo machał drobnym paluszkiem, albo zawzięcie kiwał głową. Po jednym dniu obserwacji mogłam z czystym sumieniem powiedzieć, że wiem, jaki nastrój wywołuje tupanie, jaki machanie, a jaki kiwanie. Podzieliłam się z Jolą, już Jolą, swoimi spostrzeżeniami.

- Masz rację - powiedziała, wydmuchując dym. - Łatwo go rozgryźć. A tak między nami, niejednej bury uniknęłam dzięki tym jego... tikom. Chyba tak to można nazwać.

Ale zaraz, zaraz, czego on chciał. Jak zwykle za bardzo skupiam się na tym kto i jak, zamiast co. Aaaa, raporty, ale ki czort, jakie raporty? I co właściwie znaczy przesłać czy tam podesłać? Mailem puścić czy faksem? Zawzięłam się i postanowiłam poradzić sobie z tymi durnymi raportami sama. Nie pobiegnę do Jolki. Niech widzą, że zatrudnili odpowiedniego pracownika. Odpowiedniego, odpowiedzialnego i sumiennego. Skontrolowałam czas i zdeterminowana ruszyłam do swojego biurka. Phi, przez cztery godziny to ja mu mogę przedłożyć, podesłać - czy co on tam sobie chce - nawet roczne raporty.

Realia przedstawiały się odrobinę inaczej. Godzinę zajęło mi przekopanie się przez papiery, następne pół stwierdzenie, że w papierach żadnych raportów nie ma. Nie dając za wygraną, wzięłam się za twarde dyski przydzielonego mi komputera. Na sterty płyt poukładanych równo na półeczce starałam się nie patrzeć. Chyba błąd. Okazało się, że na twarde dyski jest niewiele plików pod nazwą „raport”. Sztuk trzy, z czego żaden nie odpowiadał przedstawionym wymaganiom.

- Jolu - zapakowałam resztki dumy głęboko w kieszeń - raporty tygodniowe...?

- Proszę. - Bezbłędnie wyciągnęła jedną płytę. - Wypełnij na podstawie danych z pliku, wydrukuj, wyślij faksem albo mailem pod adres załączony w formularzu.

- Dzięki - sapnęłam z wdzięcznością.

Należy zredukować nieprzyjemne uczucie, więc - wzruszając ramionami - wytłumaczyłam sobie - sama do tego bym nie doszła, bo za krótko pracuję. O. Zabrałam się skrupulatnie za wypełnianie. Nazwiska, cyferki, nazwy

projektów. Poszło. Drukuj. Jakiś komunikat. Zignorowałam, bo przecież czas goni. Znowu. Cholera. Kilka razy wcisnęłam „enter” i poszło. Ha, to nie takie trudne. Jeszcze tylko druknąć papierową wersję.

- Co się dzieje? - dobiegło mnie z korytarza. - Kto grzebał w systemie???

- Mój projekt!!! Cholera! - wrzasnął ktoś inny.

Co za ludzie, matko kochana. Obsługi komputera się nauczyć, a nie psioczyć na system. Dobrze, wyszło się ładnie. Dołączyłam potwierdzenie i ruszyłam z plikiem kartek i poczuciem należycie wypełnionego obowiązku do szefa. Mało mnie nie stratował w przejściu, szturchnął z takim impetem, że okręciłam się wokół własnej osi. Nie jestem znowu taka mała, żeby mnie nie zauważyć - prychnęłam cicho za nim - przepraszać nie ma potrzeby. Wróciłam do swojego azylu. Zechce raportów to sam przylezie. Życiem ryzykować nie będę. Siedziałam i z bezpiecznej odległości obserwowałam swojego poważnego pracodawcę.

A on się miotał. Krótkie rączki poruszały się z prędkością - nie przymierzając - skrzydeł kolibra, a słowa wyrzucał jak kałach naboje:

- Gdzie jest Sebol??? Gdzie jest Sebastian, do cholery, i dlaczego cały system padł?!

- Panie dyrektorze... raporty - odważyłam się wtrącić mało rezolutnie.

- Jakie raporty? Co mi pani teraz raportami głowę zawraca? - I wybiegł na korytarz.

No i wyszło. Mam uważniej czytać pojawiające się na monitorze komunikaty. Poza tym Jola od dzisiaj do nie wiadomo kiedy ma mnie uważnie obserwować. Do odwołania.

Przy okazji wyszła pewna przykra sprawa. Dlaczego do tej pory tego nie robiła? Przecież to było wyraźne polecenie najwyższego - pomarańczowa Jola plus nowa Miruooosława

mają stanowić nieodłączny duet, dopóki ta druga nie pojmie podstawowych zasad funkcjonowania firmy.

- To niesubordynacja, Jolu, daleko idąca. Dobrze, że nie stało się nic gorszego. W każdym razie i tak cała odpowiedzialność spada na ciebie - grzmiał.

- I tak jest nieźle - podsumował Łukasz moją opowieść - mogli cię zwolnić. Czy te buraczki to dobre jeszcze? Popatrz?

To właśnie w ramach zainteresowania. Buraczki. Zaczęłam miotać się po kuchni.

- Nie wiem - burknęłam ze złością. - Spróbuj. Może nie zemrzesz.

- A po co się tak od razu denerwować. Wiesz przecież, że czego nie dotkniesz... - spojrzał kontrolnie - to popsujesz. I to bez znaczenia jakiego typu. Dobrze, że mieli na miejscu informatyka.

Niech mu będzie. Stara się nawiązać rozmowę, więc zamiast się miotać, przysiadłam na brzegu taboretu.

Ale pufać nie przestałam. Czasami tego nie zauważam, nigdy zaś nie potrafię opanować. Przechodzi razem ze złością. I był to niezawodny sygnał do wszczęcia awantury.

- No, ale żadnych konsekwencji nie wyciągną? - Łukasz rezolutnie starał się ten konflikt zażegnać.

- Nie. - Puf, puf.

- No to chyba dobrze, prawda?

- Prawda - puf. Co on taki wnikliwy? Puf.

- A co dzisiaj zjesz na kolację? Bo ja mam ochotę na zapiekanki. Skoczę po bagietki. - Zakręcił się żywo przy lodówce.

- Nie ma sera.

- To kupię.

- I pieczarek. - Czy to nie jest jednoznaczne z tym, że nie mam ochoty na zapiekanki? A może mam? Cholera, sama nie wiem. Chyba i mnie dopadła zimowa chandra.

Tak.

Wiem jedno, na pewno definitywnie mam już dosyć ciemna i paskudnej pluchy. A teraz jeszcze trzeba dzień w dzień wstawać i lecieć na złamanie karku do tej cholernej agencji. A tam? Proszę bardzo. Czyha na mnie masa wrednych urządzeń - faksy, kopiarki, złośliwe komputery. Westchnęłam ciężko.

- Wiesz co? - przerwałam Łukaszowi lekturę etykiety na buraczkach. - Ja sobie nie dam rady. Tam, w tej agencji.

Dalej studiując te buraczki, poklepał mnie pokrzepiająco po głowie - chciał pewnie po ramieniu - po czym stwierdził:

- Dasz, dasz na pewno. Ja w ciebie wierzę. Ile zjesz tych zapiekaneek? - pytanie dobiegło już z korytarza.

- Dwie - powiedziałam płacząco.

Zaledwie drzwi się zamknęły za Łukaszem, już leciałam piętro wyżej.

- Buuu...

- Oj, oj, co tam? - Ula w kuchni wprawdzie, ale wyjątkowo nie przy garnkach, tylko przy krzyżówce. - Opowiadaj. Herbatki się napijesz?

- Nie mów do mnie takim tonem, bo się rozplaczę - zagroziłam.

- A płacz, na zdrowie. Jeżeli tylko ma ci pomóc, służę ramieniem. - Ula postawiła na stole dwa kubki. - A może melisy... Tak - utwierdziła się w przekonaniu - melisa będzie dobra. No co tam?

- Właśnie, ty służysz ramieniem, a Łukasz nie może. Buuu... Dlaczego pytam? Mam problemy, kasowniki mi zżerają bilety, ludzie rozrywają mnie na strzępy w tramwajach, w co tylko łap nie wsadzę, na pewno popsuję, choruję na różyczkę, ogólnie jestem słaba, malutka i biedna... Buuu... A on nic. A jemu buraczki ważniejsze, czy aby na pewno niezepsute - lamentowałam.

- Hm, niedobrze. Czyżby huśtawka hormonów? - zgadywała Ula.

- A co to ma do rzeczy...? - spytałam, wzruszając ramionami.

Pytanie zbyła machnięciem ręki i przysiadła się bliżej.

- Aż tak źle? - Sięgnęła po papierowy ręcznik.

- Gorzej. Robię z siebie idiotkę w oczach poważnych ludzi. Aj, szkoda gadać. Jakie, na przykład, ten nasz sąsiad wyrobił sobie zdanie o mnie, wolę nie myśleć. Raz łamię mu rękę w drzwiach, za chwilę chlastam mu prawie po twarzy kiszoną kapustą, następnego dnia wylatuję na ulicę z gębą całą w plackach różyczkowych... No, sama powiedz. - Siorbnęłam melisy.

- Miruś, kochanie, a dlaczego właściwie tak bardzo zależy ci na zdaniu sąsiada? - zapytała podejrzliwie.

- Dlaczego, dlaczego... Bo... Bo... A skąd ja mam wiedzieć dlaczego?! Sama się nad tym zastanawiam - wypaliłam.

- Głupoty gadasz, wiesz? - W zamyśle reprimenda miała zabrzmieć delikatnie. Nie zabrzmiała. - Jak, nie przymierzając, moja Zośka, tyle że drobna różnica wieku do czegoś cię powinna zobligować.

- Nic mnie do niczego nie obliguje - odparowałam. - Ty mi lepiej daj dokończyć. Gdzieś tu jest sens. Łukasz mnie w ogóle nie zauważa. Potrzebna mu jestem na przykład do przetestowania terminu ważności buraczków.

Teraz westchnęła Ula.

- Co ostatnio było powodem twoich łez? Czy czasami nie to, że żaden z niego Makłowicz i nie potrafi niczego ugotować?

- Tu poważne rzeczy się dzieją, a ty sobie ze mnie żarty stroisz - oburzyłam się, odstawiając z hukiem kubek.

- Oj, nie robię, nie robię. Wypij meliski. Może jeszcze zaparzyć? - Podniosła się z kolejnym westchnieniem. Już na tyle głośnym, że udało mi się przebić przez własne żale i je zarejestrować.

- A tobie co? - zainteresowałam się łaskawie.

- Pawła ciągle nie ma. - Ula wyjrzała przez okno. - Miał być. I nie ma. Ostatnio strasznie dużo pracuje, mówiłam ci. Martwię się, czy aby za dużo na głowę sobie nie bierze.

- Nie martw się - rzuciłam. W końcu Paweł jako główny żywiciel licznej rodziny powinien brać na głowę, ile tylko na nią wlezie.

- Aj, łatwo ci mówić. Prawie go nie widuję - westchnęła.

- No, kochana, coś za coś. Ustroju nie mamy prorodzinnego, niestety.

Ula znowu westchnęła. Odstawiła ostatni umyty kubek na suszarkę, wytarła mokre ręce i stanęła przy oknie. Niewiele było widać. Zima sobie przypominała o swoich powinnościach i śnieg sypał teraz tak, jakby chciał nadrobić zaległości. Ula, nie zwracając na mnie kompletnie uwagi, zatopiła się w rozmyślaniach. Uciekłam więc chyłkiem do siebie.

Żołądek zaczął dopominać się kolacji. Już na półpiętrze uświadomiłam sobie jednak, że żadnej kolacji nie będzie. Jak szalona popędziłam do drzwi. Śwąd spalenizny najwyraźniej nie przeszkadzał Łukaszowi podziwiać sztukę dziennikarską w wykonaniu sprytnej blondynki. Wzięła w krzyżowy ogień pytań znienawidzonych przez niego polityków i nic nie mogło mu przerwać oglądania transmisji programu. Nawet podłużne węgielki tłące się smrodliwie w rozgrzanym piekarniku. Przez chwilę korciło mnie, żeby zostawić to wszystko w cholerę i pójść na spacer. A po drodze, z jakiejś budki telefonicznej poinformować straż pożarną o płomieniach trawiących piąte piętro wieżowca przy ulicy takiej to a takiej, podać adres.

Rozsądek jednak wziął górę. Wyłączyłam kuchenkę, przebiłam się przez opary dymu do okna, otworzyłam je na oścież i spojrzałam na Łukasza. No tak. Kiwnął głową, ani na chwilę nie odrywając wzroku od ekranu telewizora. Dobięło mnie tylko ciche mamrotanie:

- Świnie... Kradnij dalej... A co myślisz, że nie wyjdzie? Dobrze, dobrze, zapytaj, gdzie był, jak się zaczynała kolejna rozprawa... Chamy jedne.

Punkt pierwszy dnia jutrzejszego. Sprawić dwa potężne zamki i zainstalować w kuchennych drzwiach. Jedyne komplety kluczy będzie w moim posiadaniu.

Klapnęłam na podłogę i zamyśliłam się.

Ciekawe, czy Paweł już wrócił. Biedna Ula, wszystko ma na swoich małych ramionkach. Ze strony męża może liczyć tylko i wyłącznie na wsparcie finansowe. A czy to wszystko, czego kobieta potrzebuje od faceta? Kasa? Czy u nas też tak będzie?

Prychnęłam na tę całą męską ignorancję. Kobieta w domu od rana do późnej nocy biega, gotuje obiady, zajmuje się dziećmi, sprząta, krząta, klepie, zmiata, pierze. I tak na okrągło. A jak już się ze wszystkim wyrobi, zaczyna wydeptywać ścieżkę od okna do kuchenki i stara się utrzymać optymalną temperaturę podgrzewanego po raz drugi obiadu. I gdzie on to najwyraźniej ma? Ej, szkoda gadać. Zajrzałam do pokoju.

Proszę bardzo, następny. Sytuacja zmieniła się o tyle, że Łukasz - poczuwszy rzeński powiew - naciągnął na siebie koc.

Czemu oni wszyscy są tacy? Powinni się żenić, dajmy na to, z odbiornikami telewizyjnymi.

Te niewiele potrzeb mają. Dostarczyć odpowiednią dawkę prądu i gada przez okrągłą dobę. Przytulać go nie trzeba, kwiatów kupować tym bardziej. Tanie to w eksploatacji - żadnych cieni, pudrów, lakierów, bluzeczek. A w krytycznym

momencie wystarczy nacisnąć czerwony guzik i zamyka dziób. O. A nam z kolei po co zupełnie nieprzydatny mebel w mieszkaniu? Wpatrywałam się w „swój” mebel, siedzący centralnie w przeciagu, owinięty kocem od stóp do głów z sinoniebieskim odbiciem na twarzy. Niby to żywe, bo czasami coś tam bąknie, coś zje, czymś zaszura, ale na tym się kończy. No prawie. Jakieś to wszystko nie takie jak być powinno.

Zdjęła mnie w końcu litość, weźmie i jeszcze coś sobie odmrozi. Zamknęłam okno i postawiłam przed Łukaszem talerz z kanapkami. Automatycznie wziął jedną i zaczął jeść.

- Miruś, przecież ja wstawiłem zapiekanki!!! - ocknął się nagle, odrzucił koc i ruszył w kierunku kuchni.

- Zdążyły się już spalić - poinformowałam łaskawie.

- Ojej. A kiedy, przecież ja przed chwilką usiadłem - zrobił skruszoną minę.

- No nie tak całkiem przed chwilką - sprostowałam - jakieś dwie godziny temu usiadłeś. Jutro wstawiam zamki w kuchennych drzwiach, a ty masz zakaz dotykania kuchenki.

- Dobrze, dobrze. Ale popatrz, całkiem dobre te kanapki. A herbatkę dostanę? - I już go nie było.

Adonis pewnie zupełnie inny. Rozmarzyłam się. Piękny taki, pieseczka można wykasować, jakiś znajomy mu dał ani chybi. Sam sobie nie mógł wybrać takiego zwierzaka, do niego pasowałyby doberman. Ha, dziennikarz, artystyczna dusza na pewno. Nie to co zapatrzony w jakieś tam projekty umysł ścisły. Umysł ścisły tymczasem pochłaniał kolejne pajdy chleba i nieświadom niczego śledził losy serialowych policjantów. Matko kochana. Polazłam do szafy. Jakoś w tej pracy trzeba wyglądać. No i gdybym przy tej szafie w przedpokoju nie stała, na pewno nie usłyszałabym cichego pukania do drzwi. Ki czort. O tej porze. W uchylonych drzwiach ukazała się jakaś taka szara twarz Uli. Tknęło mnie. Tym bardziej że od razu, bez słowa, udała się do kuchni.

Usiadła, schowała twarz w dłoniach i drobnymi ramionami wstrząsnął szloch.

Rzuciłam się do niej.

- Nie wrócił??? Paweł? Co się stało? Ula, mów szybko.

- Wrócił... - wydukała spomiędzy palców - koszulę... do pralki... brudna... kartce... list... Kocham, Myszka... Dlaczego?
- Rozpląkała się na dobre.

Dało się wywnioskować co nieco z tych strzępków informacji. Nikczemnik Pawełek niekoniecznie zacharowywał się na śmierć. Zaczęłam głaskać Ulę po opuszczonej prawie na stół głowie. Jakie słowa można znaleźć w takiej sytuacji? Jakie pocieszenie? Cholernik. Uch, żebyś ty mi teraz, Kochasiu, wpadł w ręce.

- Uluś, może to nie jego? - Idiotyzm, pierwszy, jaki przyszedł mi do głowy.

- Nie jego? A czyje? W jego koszuli...

- No to może nie do niego - kolejny.

- A do kogo? - Ula oprzytomniała. - A do kogo, pytam, w jego koszuli, tej którą dostał ode mnie na gwiazdkę, obok kartki na zakupy. Rozumiesz? Na jednym karteluszkę moje bazgroły, ziemniaki, kapusta kiszona, pieprz ziołowy, Boże, jakie to przyziemne, a na drugim... Kocham, Myszka... Za co? Dlaczego? - Z powrotem padła na stół. - Co ja mam teraz robić? Powiedz mi.

- Dzieci śpią? - spytałam rzeczowo.

- Śpią.

- Rozmawiałaś z nim czy od razu przybiegłaś do mnie?

- Przybiegłam. Powiedziałam tylko, że wychodzę. - Tak swoją drogą o ciekawej godzinie ta kobieta robi pranie...

- Musisz z nim pogadać. Zapytać co to znaczy. Niech się wytłumaczy - poradziłam, biegając od drzwi do okna. Za cholere nie mogłam usiedzieć. Chwast cholerny! - Pokaż to i

niech ci powie, skąd to ma. Od kogo i czy to jego. A sama się nie martw.

Jakby co, przychodź do mnie spać. A on niech sobie radzi z dziećmi, jak taki mądry.

- Nie mam bwyśś... - siapnęła.

- Czego nie masz? Pytam, czego nie masz???

- Papierka nie mam. Wyrzuciłam. Do śmieci.

- To wygrzebiesz i pokażesz czarno na białym. Ula pokręciła przecząco głową.

- Podarłam - dodała wyjaśniająco.

- Oszalałaś?! Dowody rzeczowe drzeć! No już, już, nie płacz. Przecież nic nie mówię. - Błyskawicznie musiałam zmienić ton głosu, bo oczy Uli znowu zaczęły produkować zwiększoną ilość płynów. - Zapytasz go po prostu. Ula, no nie płacz.

Ta jednak rozpaczała i rozpaczała, a jak już jej oczy wystarczająco zapuchły i nos zbordowiał, wstała, poprawiła bluzę i z determinacją ruszyła do drzwi. Bez słowa.

Nijak nie mogłam zasnąć, a może zasnęłam, bo gdzieś mignął mi dziennikarz w niebieskiej piżamie. Ganiał Pawła boso po schodach i czymś wymachiwał nad głową. Jakby siekierą... Jawa to pewnikiem nie była. W każdym razie miałam wrażenie i tyle piachu w oczach jakbym nie spała całą noc.

Dzień uparcie nie chciał wstawać, nie dziwne, bo zegar wskazywał dopiero trzecią nad ranem. Ja z kolei nie miałam już ochoty leżeć. Zakutałam się w szlafrok, sprawdziłam grzejniki, bo jakoś powiało chłodem po gołych stopach, i ruszyłam do kuchni. Łukasz przewrócił się na drugi bok, pochrapując donośnie. Nie dziwota, że nie mogłam spać. Oprócz tego chrapania dom spowijała względna cisza. I dobrze. Ulokowałam się pod kuchennym oknem, na podłodze, stawiając w pobliżu popielniczkę i kubek z kawą. Guzik.

Żadne chrapanie, tylko głębokie - chwilami trochę płytsze - przemyślenia nie dawały mi spokojnie pospać. Co temu Pawłowi odbiło? Mało mu, cholera? Śliczna żona, która na zawołanie wypieka cudowności, gotuje pyszne obiady, każdego dnia inne, dba o dzieci. Mój Boże, przecież ta Ula wiecznie uśmiechnięta i zadowolona z życia. Nigdy o nic pretensji nie ma. Może skubaniec miał za dobrze? Z nimi nigdy nie wiadomo. I żeby chociaż sam miał co ofiarować w zamian, phi, też mi, posada jakiegoś tam analityka systemów. Prychnęłam pogardliwie i zaraz tego prychnięcia się przestraszyłam, bo w domowej ciszy zabrzmiało jakoś tak złowrogo. Pojęcia nie mam, co mogę jako przyjaciółka w takiej sytuacji zrobić. Bo chyba powinnam. Pocieszanie swoją drogą, ale że ze mnie raczej człowiek czynu zaczęłam pod kuchennym parapetem i w oparach dymu - niczym złowroga wiedźma - knuć chytry plan. Na razie, prawdę powiedziawszy, nie miałam najzwyklejszego pojęcia, jak ten plan ma konkretnie wyglądać. Ale miał być. Miał być i basta.

Poniedziałek

Ha! Powiedzieć łatwo, postanowić sobie, proszę bardzo. I na tym na razie musiałam poprzestać. Praca. Wypadałoby, żeby pochłonęła mnie bez reszty, bo chwila nieuwagi i wylatuję z hukiem. I tak patrzą na mnie wszyscy z pewnym niepokojem. Szlag mnie trafia, jak usuwają dokumenty z brzegów biurka, jak zerkają kontrolnie na monitory. Czy aby czasami żadnego projektu lichy nie wzięło. A patrzajta, na zdrowie. Strzeżonego Pan Bóg i tak dalej. Jednym słowem, warunków do knucia chytrego planu - żadnych. A jeszcze Jola, chcąc najwyraźniej zatrzeć złe wrażenie, znalazła sobie we mnie powiernicę i nękała opowieściami, jakby trochę wyssanymi z palca.

- I wyobraź sobie, on mnie najwyraźniej śledził! - Ale kto? Nie mogłam nadażyć za akcją w tych opowieściach. Śledził...

- Śledził - powtórzyłam odkrywczo. Śledził!!! Oczywiście, będę łązić za Pawłem, zobaczę, kto, z kim i dlaczego, a jak już tego Pawłowego gryzonia dorwę, to miejcie ją, bo pewnie nie jego, w opiece niebiososa.

- No tak, śledził. - Jola spojrzała na mnie nieco skonsternowana. Biedaczka, przecież musi widzieć, że słucham jej jednym albo i połową ucha, a tu raptem - ni z tego, ni z owego - ogromne zainteresowanie. Niezrażona ciągnęła dalej cykl opowieści najdziwniejszej treści. - Na pewno i gdyby nie...

Wyłączyłam się bez skrpułów. Jak przystąpić do realizacji i kiedy? Ha, skończę pracę i w te pędy pojedę pod ten jego zamaszty biurowiec.

Samochód. Detektywom zawsze przydaje się samochód. Bezwzględnie. Łukasz w obliczu zaistniałej sytuacji będzie się musiał zmagać z kasownikami w tramwajach. I niech tylko

spróbuje zaprotestować. Wszelkie protesty wybiję, zduszę w zarodku. Tak.

Gdzieś w korytarzu mignęła mi znajoma peleryna. Rzuciłam się czym prędzej w pogoni za jaskrawożółtą opończą.

- No co tam? - Agnieszce wystarczył jeden rzut oka, żeby zorientować się, że mam sensację.

- Cześć - szepnęłam konspiracyjnie.

- No, gadaj. Albo nie tu. Możesz zrobić sobie przerwę?

- Aaaaa - rozejrzałam się - chyba mogę.

- Czyżby niezbyt dobrze ci się pracowało? - zagadnęła, gdy już usadowiłyśmy się w firmowych fotelach.

- Co...? Pracowało? A nie, jest w porządku. Ciekawe tylko, ile czasu im jeszcze zajmie stwierdzenie, że jestem chyba zbyt wielkim zagrożeniem dla tych wszystkich paskudnych maszyn i papiórków. Ale ja nie o tym. - Opowiedziałam jej wczorajsze zajścia.

- Szlag by to, a ja załatwiłam bilety dla naszej szóstki na wystawę... - zaczęła Aga, w porę się jednak zmitygowała. - Ale jak to?

- Normalnie. O żadnej wystawie mi nawet nie wspominaj, bo mnie trzęsie, jak tylko sobie pomyślę o tym bydlaku. Normalnie... Znaczą kartkę czy tam liścik Ula znalazła w koszuli - wyjaśniłam, pukając bez przerwy nogą w jej fotel.

- Przestań pukać. Może to nieprawda?

- Ano właśnie. Ja się wszystkiego dowiem. - Zaznajomiłam ją z moim chytrym planem. - Ja tego chwasta zdemaskuję i... i jeszcze do końca nie wiem co, ale zamierzam go śledzić. Jestem coś winna Uleńce - znowu się rozczuliłam. - Problem tylko z samochodem, cholera.

- Hm, zamierzasz go śledzić autem? - Agnieszka wyraziła powątpiewanie.

Wyraziła powątpiewanie z bardzo prostej przyczyny. Po pierwsze, udało mi się uzyskać prawo jazdy zaledwie pół roku wcześniej, po drugie, uzyskałam je za, bagatela, szóstym podejściem do egzaminu, po trzecie, za kierownicą własnego samochodu siedziałam cztery razy. No może pięć. Z czego większość na rodzinnym podjeździe. Można było więc wyrażać jawne obawy co do powodzenia mojej akcji.

- A co - zjeżyłam się - myślisz, że nie dam rady??? Dam, stanę na rżęsach, a dam.

Heroiczne postanowienie to jedno, a realizacja to zdecydowanie coś innego. Po powrocie z pracy stwierdziłam, że Łukasz samochodem nigdzie nie wyjeżdżał, o czym ewidentnie świadczyła cienka warstwa zamarznętego śniegu na masce.

Szkolenie przecież, puknęłam się w czoło. I dobrze, nie będzie mi w niczym przeszkadzał, oby tylko kluczyki znaleźć. Podeszłam do fiata i w zadumie zaczęłam zdrapywać paznokciem nalot. Jakby nad tobą zapanować, śliczniutki? Po chwili się zreflektowałam i rzuciłam krótkie spojrzenie w stronę okien. Łukasz zdenerwowałby się okrutnie za to drapanie. Ale przecież go nie ma, kobieto!

Hm. Trzeba będzie odśnieżyć.

Hm. Narysować plan. Jak najmniej skrętów w lewo.

Hm. I ubranie sobie odpowiednie znaleźć.

Nie zdążyłam włożyć klucza w zamek, kiedy drzwi się otworzyły.

- A ty co tu robisz? A szkolenie? - spytałam rozczarowana.

- Na drugą turę się załapię, pojutrze jadę, a na razie mam wolne - oznajmił zadowolony.

Zadowolenie szybko przerodziło się w niepokój, gdy poinformowałam go o planach wyjazdu. Zaoferował się z odśnieżaniem, nawet zaproponował, że mnie podwiezie, ale

bez namysłu odrzuciłam jego propozycję. Był niepokieszony. W końcu panda, nowy nabytek. Poszedł skrobać. Tymczasem ja rzuciłam się do szafy.

Po pierwsze, odpowiedni strój. Najlepiej byłoby wdziac kominiarkę. Nie, tak to zdaje się występują terroryści albo bandyci. W co ubierają się detektywi? Taki na przykład nasz rodzimy, najślawniejszy ze sławnych? Jakoś nie brałam pod uwagę tego, że strój jest najmniej istotny, bo przecież z samochodu nie będę wysiadać, i to raczej samochód może zostać zapamiętany. No i, rzecz jasna, sposób jego prowadzenia. Wybrałam w końcu czarny golf i także spodnie.

Z jednej strony zdawałam sobie sprawę, że wyprawa zaczyna nabierać znamion farsy, z drugiej trzeba było koloryzować, żeby skierować uwagę na wszystko, tylko nie na środek transportu.

Wyrysowałam skrupulatnie plan dojazdu i ruszyłam na dół.

- Kochanie, może cię jednak podrzucę. Poczekam nawet...

- Nie! - ucięłam stanowczo. - Daj kluczyki.

Z ociąganiem położył mi na wyciągniętej dłoni pęk kluczy.

- Ten od stacyjki, ten od...

- Nie denerwuj mnie. Pokaż jeszcze, który od drzwi wejściowych naszego mieszkania, który od skrzynki pocztowej, a który od klatki - przerwałam mu znowu, wsiadając już do samochodu. Machnęłam zza szyby ręką. Idź już wreszcie, sama sobie poradzę.

Kątem oka dostrzegłam amatora wieczornego biegania. No, oczywiście. Jak już mam się zbłaźnić, to przy pełnym audytorium. Ludzie, weźcie megafon czy inną tubę i ryknijcie w to ustrojstwo - zaczyna się przedstawienie, stanąć w oknach i oglądać!

No i czemuż akurat ten cholerny dziennikarz ze swoim czworonogim paskudztwem? Tymczasem cholerny dziennikarz, nieświadom zupełnie moich pomstowań, pomachał przyjaźnie ręką, uśmiechając się pięknie spod dzierganej czapeczki.

Durna jestem i tyle. Taki uśmiech wcale nie jest powodem do roztapiania się jak masełko i machania mu szaleńczo w odpowiedzi.

Uch! Skup się, moja droga. Skup się.

Uch! Położyłam ręce na kierownicy, od tego - zdaje się - powinnam zacząć. Dobrze. Najpierw kluczyki do stacyjki. Pamiętaj, Miruś, że w szczytnym celu jedziesz. Pamiętaj. Samochód zapalił, o dziwo, prawie od razu. Coś tylko zarzęziło, ale nieważne. Zignorowałam pełne lęku spojrzenie Łukasza i ruszyłam z finezją spod bloku. Trochę poszarpało, rzuciło kilka razy do przodu i do tyłu, ale ruszyłam. Ha, nie taki diabeł straszny.

Zupełnie nieistotne, że na każdym skrzyżowaniu samochód uparcie gasł, nieistotne też, że w pewnym momencie musiałam zaparkować w jakiejś zatoczce, żeby zapiąć pasy. Manewr ten zdecydowanie nie wchodził w grę w trakcie jazdy.

Tak czy inaczej, dotarłam. Szczęśliwie, odrobinę przed czasem.

Paweł miał jeszcze kilka minut do zakończenia pracy. Te kilka minut poświęciłam bez reszty na wycieranie spoconych dłoni i doprowadzenie oddechu do ładu. Zapalić. Oj, natychmiast.

O, jest.

Bez trudu wyłuskałam pokaźną sylwetkę Pawła z tłumu. Przyjrzałam się. No tak. Wychodził roześmiany w towarzystwie wysokiego, długowłosego gryzonia.

Szlag by go. Z trudem powstrzymałam się, żeby nie wybiec z samochodu i nie wytarosić brunety za kudły. Bębniłam palcami w kierownicę, niepomna, że popiół z papierosa spada prosto na nowusieńką tapicerkę. Dym zaczął zbyt mocno ograniczać widoczność, więc uchyliłam lekko okno. Gdzież on ją prowadzi? Odprowadzał brunetkę do samochodu. Srebrzystej vectry. Rozmawiał z nią jeszcze przez chwilę, po czym przytulił i cmoknął na pożegnanie w policzek. I o ile w tym jeszcze od biedy można by było się dopatrzeć tylko przyjacielskich gestów, o tyle we wzorowym tańcu godowym i pełnych żaru spojrzeniach, którymi Paweł obrzucał przedmiot swoich uniesień, obserwowałam ewidentne przekroczenie granic niewinnej przyjaźni. A więc tak się sprawy mają. Bardzo dobrze. Jutro mam wolne, przyjadę tu, o Boże, w dzień. Spotkać się z Pawłem, a co tam. Zobaczę przy okazji, kim jest piękna bruneta. Tam od razu piękna. Zadbana, cholera, i tyle. Wnioskując z samochodu, którym jeździ, stać ją na to zadbanie. Ciekawe, czy po domu spaceruje w rozciągniętych dresach? Pewnie nie. Westchnęłam ciężko. Trzeba wrócić.

- Jesteś nareszcie - odetchnął z widoczną ulgą Łukasz. - Bez problemów dojechałaś?

W domyśle - czy samochód nadaje się jeszcze do użytku.

- Bez - zełgałam na oczekaniu i poleciałam natychmiast pod prysznic.

- A może powiesz mi, co było takie ważne? I kto to był ten facet pod blokiem? - doleciało mnie już w łazience. Proszę, proszę. Odrobinę odbiec od rutyny i jakie zainteresowanie można wzbudzić.

Trzeba częściej odbiegać.

Opowiedziałam mu o wszystkim, dziękując niebiosom za jego wolne dni i wyjątkową ochotę do rozmowy.

Wywaliwszy z siebie żale, postanowiłam udać się do Uli.

podtrzymać ją na duchu czy cokolwiek. Drzwi otworzył Paweł. Cholera.

- Uli nie ma - poinformował, próbując wyswobodzić się z oplatających go ramionek Stasia. - Wejdz, zaczekaj.

- Hm, dawno wyszła? - Nijak nie mogłam spojrzeć mu w oczy, więc rozglądałam się po zaśmieconym jak nigdy mieszkaniu przyjaciółki.

- Jak tylko przyszedłem, czyli jakąś godzinę temu. Wchodź - zapraszał. Znaczący się Ula strusią metodą schowała głowę i nie rozmawiała z nim jeszcze. Bardzo sprytnie, bardzo.

- Niecee, przekaż jej tylko, że byłam.

W domu nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Wzięłam książkę tylko po to, żeby ją po chwili odłożyć. Zaczęłam robić kanapki, ale stwierdziłam, że nie jestem głodna. Więc jednak spacer.

- Pa. Ubierz się ciepło, bo mróz siarczysty - mruknął Łukasz z ołówkiem w zębach.

Mróz faktycznie był siarczysty. Zima kontynuowała odrabianie spóźnienia. Śnieg błyszczał, odbijając pomarańczowe światło latarni. Sapnęłam, wydmuchując obłoczki dymu. Gdzie się ta Ula podziewa?

- Hej - dobiegło mnie z tyłu.

Odwróciłam się. Michał też najwyraźniej serwował sobie wieczorny spacer. Sobie i oczywiście wylupiastookiemu czworonogowi. Łaskawie czekałam.

- Serdecznie witam, panie dziennikarzu... Michał się roześmiał.

- Humor dopisuje?

- Ano średnio, ale...

Nie zwrócił uwagi na niedopowiedzenie.

- Mnie też. Ślicznie się ta zima skrzy dzisiaj - odetchnął głęboko mroźnym powietrzem.

- Szukasz tematu? Czy dostarczasz spragnionym płucom tlenu?

- I jedno, i drugie. Lubię pozaglądać ludziom w okna, czasami ciekawe rzeczy można zaobserwować.

- Podglądacz - wyrwało mi się.

- Od razu podglądacz. Jak nie chcą, żeby ich oglądać, to instalują żaluzje albo rolety - wytłumaczył, odpinając Zibiemu smycz.

- Ciekawe podejście.

- Moje własne. Jak tam Ula? - zagadnął nagle. Niemożliwe. To po prostu niemożliwe, żeby wiedział, co wydarzyło się u Zabrockich. Chociaż, z Ulą nigdy nie wiadomo.

- Chyba dobrze - na wszelki wypadek nie wnikałam w szczegóły. - A dlaczego pytasz?

- No bo mi jej szkoda, mówiła o mężu - rozwiął wątpliwości. Przez chwilę szliśmy w milczeniu, rozkopując czubkami butów śnieg.

- Dziwnie się dzieje... - Michał zaczął się głośno zastanawiać. - Ten, kto ma dużo, chciałby jeszcze więcej i, prawdę powiedziawszy, zupełnie nie docenia tego, co ma. A ten, który nie ma niczego, jest w stanie docenić najdrobniejsze błahostki.

- Nie zawsze - sprostowałam automatycznie.

- Niech będzie, ale przeważnie. Wyjątki tylko potwierdzają regułę.

- Dlaczego właściwie o tym nie napiszesz? - zapytałam nagle. - A może już napisałeś?

- O czym? - Spojrzał na mnie ze swoich wysokości.

- No o tym wszystkim - machnęłam ręką w nieokreślonym kierunku. - O tym, że tak nagle, zupełnie bez przyczyny powszedniejemy sobie nawzajem. Czy kiedyś też tak było?

- Jak? Czy ludzie się oszukiwali...

- Ładnie ujęte - przerwałam mu z przekąsem.

- Wydaje mi się, że tak - ciągnął niezrażony - tylko nie mówili o tym głośno. Hańba czy jak, nie wiem sam. Ale teraz na pewno zdarza się częściej...

- No właśnie. Dlaczego? - Ciekawe, tym bardziej że jakby nie było stałam właśnie przed życiową decyzją i jak pewnie każda kobieta chciałam wstąpić w związek idealny. Oni się kłóca, zdradzają, ale my? My będziemy żyć wiecznie, wiecznie razem w obopólnej harmonii. Prychnęłam.

Michał spojrział pytająco.

- Znasz może jakąś parę z długoletnim stażem, szczęśliwą, wierną i tym podobne? - zainteresowałam się. Tak swoją drogą, o czym ja rozmawiam z tym obcym facetem, matko kochana...

- Chyba nie, ale ze mnie właściwie żaden specjalista...

- To o co w tym wszystkim chodzi?

Kolejne kroki przerywane tylko skrzypieniem śniegu i szczekaniem Zibiego.

- Oj, Mira, zdajesz sobie sprawę, że twoje pytania brzmią ciut naiwnie? - niezrażony jednak moim oburzeniem ciągnął dalej: - Może o to, żeby czasami móc się wtulić nosem w czyjeś ciepłe plecy, może o to, żeby zobaczyć uśmiech wdzięczności za przyniesioną herbatę i, odwrotnie, poczuć znajomy zapach wśród kurtek w przedpokoju, nie swój, tylko ten drugi. Może też o to, żeby zamykać wspomnienia w zdjęciach, kartkach, ale tylko te szczęśliwe, i otwierać, kiedy pojawia się zbyt dużo złych słów. Żeby mieć kogo wyglądać i na czyj widok się cieszyć. Żeby razem się złościć, czekać, cierpieć...

- Tak, teorie są piękne - wzruszyłam się, ale obnażać przed nim mimo wszystko nie miałam ochoty.

- Czy ja wiem czy teorie? To powiedz mi, na czym opiera się literatura czy kino?

- Ano na wielkiej miłości... Ale zauważ, że większość z nich kończy się w momencie, kiedy to oblubieńcy po licznych niedopowiedzeniach i perypetiach padają sobie wreszcie w ramiona. Ciągu dalszego brak.

- Producenci zostawiają pole do popisu wyobraźni.

- Duże to pole.

- Duże, fakt... Ja też piszę o czymś takim, tylko poszedłem trochę dalej. Ciekawi cię to w ogóle?

- No mów.

- Szczęśliwe małżeństwo, wiesz, te wszystkie detale, ale ona ma wypadek.

Michał posmutniał, - No i?

- No i umiera.

Gwizdnął przeciągle na Zibiego.

- Trzeba wracać, robi się zimno - Zapiął psu smycz, pogłaskał po małym łebku i dodał, nie podnosząc się ciągle: - Szkoda.

W głowie zadzwonił mi alarmowy gong. Dlaczego tak nagle posmutniał? Czyżby to opowieść oparta na faktach? Przyjrzałam mu się.

Możliwe.

Pytać, nie pytać... Chyba nie wypada, ale odczułam przemożną potrzebę wzięcia go w ramiona i pocieszenia. Chociaż po głowie pogłaskać. Nie wiem dlaczego ubzdurało mi się, że Michał właśnie tego potrzebuje i czeka na to, siedząc ciągle w kucki. Pochyliłam się więc nad nim z czułym uśmiechem i łzą wzruszenia w oku. W tym samym momencie obiekt mojego wzruszenia zdecydował się w końcu wstać. A że był człowiekiem energicznym, zrobił to w ułamku sekundy, dosyć gwałtownie. Zderzył się - oczywiście - najpierw z moją

ręką, później głową. Aż mnie zamroczyło i siadłam w kupkę śniegu.

- Kobieto, w twoim towarzystwie trzeba zwiększyć czujność. Wstań, bo się przeziębisz! - Podał rękę, po czym odsunął się na bezpieczną odległość i pochylił, biorąc garść śniegu.

- Uj, uj, uj - stęknęłam, trzymając się oburącz za głowę.

- Gdzie boli? - spytał, przyglądając mi się uważnie w świetle latarni.

Palcem wskazałam środek czoła, bo tam - zdaje się - przygrzmocił najmocniej.

- Zimno - stwierdziłam.

- Ma być zimno. Jutro pewnie piękny siniak ci wylezie. - Drugą ręką masował sobie tył głowy.

Weszłam, zamknęłam drzwi i z głośnym westchnieniem oparłam się o nie. Pawełkowe zdrady odeszły w niepamięć, bo oto przyszło mi stanąć w obliczu dużo większej tragedii. Zginęła. Mój Boże. W wypadku. Przecież to dramat, prawdziwy, najprawdziwszy. Piękne małżeństwo, dobrana para - szczegóły sama sobie dopowiedziałam - on ją kocha, gdyby nie kochał, nie opowiadałby tak cudownie o tym, jak na nią czekał, jak wtulał nos w jej plecy. A ona ginie. I takie właśnie to życie. Jak już się pięknie zaczyna układać...

Z rozmyślań wyrwało mnie natrętne tupanie. Podniosłam wzrok i zlokalizowałam jego źródło. Łukasz stał oparty o framugę drzwi i wpatrywał się we mnie z czystą dezaprobatą.

- No co? - zapytałam wojowniczo, odwieszając kurtkę.

- To ja się pytam no co. Wychodzisz, nie ma cię, nie wiadomo jak długo, wyglądam przez okno, a ty się obściskujesz z jakimś facetem... - Zdwoił częstotliwość tupania. - Jak to, pytam, rokuje naszemu związkowi na przyszłość???

- Skończyłeś projekt? - Nie dam się sprowokować.

- Sko... Ty nie zmieniaj tematu. Lepiej wytłumacz mi, co to wszystko ma znaczyć! - zapienił się w oczekiwaniu ataku zwrotnego.

Nic takiego nie nastąpiło. Przytuliłam się do niego i pozwoliłam sobie na czułości i wyznania. Najwyraźniej zbaraniał, ale miałam to głęboko gdzieś. To za dużo jak dla mnie. Nie miałam ochoty już niczego więcej na głowę przyjmować. Nie, żeby ludzkie tragedie mnie nie obchodziły, ale coś ostatnio obrodziły za bardzo. Musiałam się wesprzeć na czyimś ramieniu. Może to o tym Michał mówił...

Równy o północy ktoś zastukał cicho do naszych drzwi. Otworzyłam Pawłowi nieco zaniepokojona. Nie za bardzo jednak, bo powoli zaczynałam się już przyzwyczajać do nocnych odwiedzin. Paweł zadreptał w miejscu i splótł niezdarnie palce.

- Co się stało??? Mów! - rozkazałam, zawiązując szlafrok.

- Ula wróciła.

- Dopiero teraz? - Spojrzałam pytająco. Po co przylazł?

- Nooo, ale ona wróciła... Jakby to powiedzieć... zupełnie... - Paweł najwyraźniej dobierał słowa - zupełnie nietrzeźwa - wydusił wreszcie.

- Cooo? - Ula stroniła od alkoholu od momentu, kiedy zaczęły pojawiać się dzieci, i tak na dobrą sprawę zdarzyło mi się kilka razy wypić z nią lampkę wina. Nic więcej. Na pewno nie tyle, żeby jej w głowie zaszumiało.

- No i ja nie mam pojęcia, co o tym myśleć. Może ona ci się zwierzała? Może ma jakiś problem czy co? Bo ja nic z tego nie rozumiem. Znika na cały wieczór, zostawia wszystko i upija się na umór...

- No i co według ciebie mam teraz zrobić? - zapytałam z przekąsem. - Wstawić ją pod zimny prysznic czy jak?

- Niecee. Porozmawiaj z nią jutro, dobrze? Zapytaj, o co chodzi, bo ja kompletnie nie mam pojęcia.

Ty z nią porozmawiaj, idioto, a w rozmowie nie zapomnij przedstawić swojej znajomej z opła.

Usiadłam na swoim stałym miejscu - na kuchennej podłodze obok kaloryfera.

Opatuliłam się szlafrokiem i ściągnęłam ze stołu popielniczkę.

Dym z papierosa tworzył wdzięczne esy - floresy w świetle latarni.

Nie zasnę.

Znowu.

Wtorek

Rano bałam się podejść do lustra. W końcu jednak trzeba było zerknąć na odbicie wczorajszych wydarzeń, choćby po to, żeby wysmarować je kremem. Okrągłutki, niebieski siniak zdobił sam środek czoła, a oczy podkreślały sporych rozmiarów cienie.

Łukasz spojrzął z jawną uciechą.

- Malowałaś się już, kochanie?

- Wrrr. Nie wyspałam się. Całą noc myślałam - poinformowałam go wściekła. No przecież tego żadnym makijażem się nie zatuszuje. Dobrze, że dzisiaj wolne. Przyglądałam się swojej i jakby nie swojej twarzy, rozciągając worki pod oczami.

- Dam ci dobrą radę, słoneczko. Myśl w dzień i nie pochylaj się nad raptusami. - Zrobił mądrą minę i uniósłszy wskazujący palec, wyszedł z łazienki.

Pozwoliłam sobie na krótkie przedstawienie, teatr jednego widza. Przedrzeźniałam go krótką chwilę, a gdy nastrój już mi się poprawił, zabrałam się za drobny retusz. Rozsmarowany podkład i podwójna ilość cienia na powiekach zrobiły swoje. Cerę miałam teraz lekko pomarańczową, z ciemniejszym śladem na czole, a oczy ogromne i okolone szarymi balkonami. Fuj!

Na górze tym ogromnym oczom odmalował się obraz nędzy i rozpacz. Gromada dzieci biegała jeszcze w piżamach, mieszkanie wyglądało jak po trzęsieniu ziemi albo po tornadzie, a w tym wszystkim Ula trzymająca się za głowę. Wzięłam ster w swoje ręce.

- Zośka, ubieraj się. A później wszystkich po kolei. Do łazienki ze Stasiem i Damianem. Raz! - zarządziłam. Stękającej Uli zaaplikowałam tabletki przeciwbólowe i witaminki, po czym zrzuciłam polar i zaczęłam zmagania ze stertą naczyń.

- Oj, oj, oj - dobiegły mnie jęki gospodyni.

- Nie stękaj, za chwilę powinno ci przejść. Dzieci zaprowadzę do przedszkola i szkoły.

Czwórka dzieci to dużo. To baaardzo dużo. Wyprawić je wszystkie graniczyło niemalże z cudem. Jedno ubrane, drugie wrzeszczy, że zgubiło gdzieś rękawiczki, okazuje się, że są w rękawie tego pierwszego, które już notabene spocić zdążyło się okrutnie, trzecie lata po całym domu i szuka książeczki, którą akurat dzisiaj m u s i ze sobą wziąć.

Porażka. W końcu - sama opływając potem - wygoniłam je wszystkie z mieszkania, przykazując Uli, żeby wzięła długie, na przemian gorący i zimny, prysznic. Po drodze wpadłam na to, żeby zabrać kluczyki od samochodu, bo jeszcze Łukasz z przyzwyczajenia zapakuje je sobie do kieszeni.

- Stać i się nie ruszać! Za chwilę wracam - przykazałam małym i ruszyłam z powrotem do klatki.

Mało rezolutnie, bo zastałam gromadkę nie dosyć, że uszczuploną, to jeszcze w opłakanym stanie. Staś bał się przeraźliwie Zibiego - nie dziwota, takie toto paskudne - więc wrzeszczał wniebogłosy. Damian, zbliżony wiekiem i najbardziej solidarny z bratem, darł się równie głośno, chociaż psa się nie bał. Wiola, korzystając z mojej nieobecności, udała się jednak po książeczkę, a Zosia stała z rozłożonymi rękami, patrząc bezradnie na płaczących braci.

Szlag by to.

Wszystkiemu przyglądał się z zainteresowaniem Michał.

- Próbujesz wcielić się w rolę mamusi? - spytał, zdawało mi się szyderczo.

- Albo idziesz po Wiolę, albo próbujesz uspokoić tych dwóch - wskazałam zasmarkanych.

W końcu - z pomocą Bożą i, nie ukrywam, Michała - udało mi się porozstawiać dzieci po odpowiednich grupach i

klasach. Jeden taki poranek, a mnie już pewnie siwych włosów przybyło.

Sytuację u Zabrockich zastałam niezmienną. Ula najwyraźniej nie ruszyła się jeszcze ze swego miejsca.

- Mam moralniaka - wystękała - i łeb mi pęka.

- Nie dziwię się. Co ci odbiło? - dopytywałam, zabierając się ponownie za zmywanie.

- No mówiłaś... - Ja???

- No przecież powiedziałaś: zostaw wszystko w cholere, niech sobie sam radzi.

- Ale upijać się na umór nie kazałam. Gdzie ty w ogóle byłaś? - zainteresowałam się w końcu. - Kawy zrobię, chcesz?

- Nie. U Agnieszki. A później nie za bardzo pamiętam.

- Brawo. I ciągle z nim nie rozmawiałaś?

- A po co? Albo daj tej kawy.

- Po to, kobieto, że on nie wie, o co chodzi, a wrażenie sprawia jakby był niewinny.

Do biura Pawła wparowałam zdecydowanie i natychmiast zażądałam rozmowy w cztery oczy.

- Co się dzieje? - zapytałam bez wstępów. Trochę głupio - bo cholera - włączę z bucioremami w czyjeś życie. Ale... w końcu sam chciał, żebym porozmawiała z Ulą.

- To ja się raczej pytam. - Spojrzał na mnie zdziwiony. - Ja o niczym nie wiem.

Westchnęłam i rozejrzałam się, czy aby do nikogo nie docierają choćby strzępki naszej rozmowy. Sekretarka siedziała niedaleko, zarejestrowałam, że nie bruneta i jakaś taka nijaka, ale sprawiała wrażenie zaczytanej bez reszty w jakiś papierach. Na wszelki wypadek zniżyłam głos.

- Do kogo się zwracasz per Myszka? Zdębiał.

- Do nikogo, do Uli mówię raczej kotku. A co to w ogóle za pytanie? - zdenerwował się.

Aaa, pięknie. Od razu do ataku, znaczy coś tam na sumieniu ma.

- A to, że Ula znalazła w twojej koszuli liścik miłosny, czy jak to nazwać, i do tej pory dojsć do siebie, biedaczyna, nie może.

Czy mi się tylko wydało, czy on się nieznacznie rozluźnił? No tak, wyszło szydło z worka, nie ma czego ukrywać. Cham jeden.

- To nie moje.

Mętnie zaczął coś tłumaczyć o koledze, jego dwóch kobietach, z których żadna nie wchodziła w zalegalizowany związek z nikim. Klasyczna mijanka jednym słowem. Jedna nie może się dowiedzieć o drugiej, a Paweł w tym wszystkim robi za rodzaj bufora i skrytki na listy. Miał wszystko wyjaśnić Uli, ale nie było okazji, poza tym dorwał dodatkową robotę i najprawdopodobniej ma szansę na awans. Ale o tym też na razie jeszcze szacownej małżonki nie poinformował. Jakoś mało wiarygodnie mi to wszystko brzmiało.

- A ta wysoka brunetka? - dociekałam dalej.

- Jaka brunetka? - spytał i spojrzał zdziwiony.

- Ta od opla. - Trudno, wyda się, że za nim łąziłam. Ale robota śledcza nie poszła na marne. Byłam z siebie dumna.

- Kontrwywiad widzę działa całkiem sprawnie, ale... nie dziwię się. To kierowniczką nowego działu, od niej zależy mój ewentualny awans.

Westchnęliśmy sobie razem jak na komendę. I tym westchnięciem zakończyliśmy rozmowę. Drogę powrotną odbyłam, poruszając się powolutku śladami autobusu. Bezpiecznie, pewnie i w miarę bezkolizyjnie. Nie zwracałam uwagi na miotane bezgłośnie przekleństwa i pukanie się w czoło innych kierowców. W nosie was mam.

- Nie wierzę! - Do Uli nijak nie przemawiała opowiedziana przeze mnie historia. Mnie jakby też ciężko dać wiarę w to wszystko, ale...

Siedziała w dalszym ciągu przy kuchennym stole, naciągając bluzę dresową na podciągnięte kolana.

- Ja już teraz niczego innego nie będę widziała tylko tę cholerną kartkę.

- Przecież wyrzuciłaś - zaproponowałam.

- W wyobraźni - burknęła tonem wyjaśnienia.

- Jak tam sobie chcesz, ale porozmawiaj z nim wreszcie. Proszę cię. Niech tobie wyjaśnia, nie mnie, bo cała ta sytuacja powoli zaczyna robić się chora.

Zawróciła mnie od drzwi cichym:

- Miruś... dziękuję. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. Machnęłam tylko ręką, ale do siebie wróciłam w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Widok w lustrze już mnie nie odstraszał, bo przecież w głębi duszy dobra ze mnie persona.

Prawa, pomocna i w ogóle. Padłam na kanapę zadowolona i zasnęłam.

Należało zostawić sąsiedzkie troski - chociaż tragedia Michała cały czas tkwiła w zakamarkach mojej świadomości - i wziąć się za powinności przyszłej małżonki. Przecież to huk roboty. Od czego mam zacząć? Jakieś nauki przedmałżeńskie się pobiera, to pewne. Pewne też, że Łukasz na ten temat najzwyklejszego pojęcia nie ma. Poza tym należałoby zacząć objeżdżanie całej rodziny i wręczanie zaproszeń.

Taki jest chyba zwyczaj. Westchnęłam. Matko kochana, umawiane obiady, kolacje... Doszłam do wniosku, że sama sobie z tym wszystkim zdecydowanie nie poradzę i muszę poczekać, aż u Zabrockich sytuacja jako tako wróci do normy, a że wróci, tego byłam raczej pewna. Wtedy Ulę o wszystko wypytam.

Poniedziałek

Z każdym dniem robi się coraz cieplej i bardziej wiosennie.

Wiatr codziennie wyczynia z moimi kudłami, co mu się żywnie podoba. Wykrusza całkiem skutecznie lakier i piankę, pozostawiając ten właśnie cudowny zapach najwcześniejszej wiosny. Nieważne, że po wejściu do biura przez dobre paręnaście minut muszę te kudły doprowadzać do ładu, rozczesywać kołtuny i moczyć, żeby jakoś ułożyć znieawidzone do reszty loczki. Najważniejsze, że pachną. Chodzę więc i macham zawzięcie łepetyną, żeby o tej wiosnie nie zapomnieć. I okna otwieram.

- Oszalałaś? - Jola nie podzielała mojego wiosennego entuzjazmu. - Zamarznąć można, a przez te przeciągi pogubimy wszystkie dokumenty. Klima wystarczy.

Łaziła i konsekwentnie zamykała okna, jedno po drugim.

- Klima - prychnęłam - czy ty nie czujesz, jak pachnie? Pociągnęła nosem kilka razy.

- Masz rację, coś jakby pączki.

Beznadziejni ci ludzie. Wrażliwości całkowicie pozbawieni. Zupełnie. Wzruszyłam ramionami i po wyjściu Jolki otworzyłam mały lufcik pod sufitem. Dobięło mnie donośne pociągnięcie nosem. Odwróciłam się z niesmakiem, gotowa zbesztać intruza za nieużywanie chusteczek do nosa, i zamarłam z reprimendą na ustach.

- Pani Biruuuooosławo... - Dlaczego on tak strasznie się katował, wymawiając moje imię? Wystarczyło zwykłe Miru i miałyby święty spokój. Ponownie pociągnął nosem. Nie wytrzymałam i podsunęłam mu pudełko z jednorazówkami. - Zzzziękuję. - Wyszedł i po chwili wrócił.

- Czy to pani jest odpowiedzialna za te przeciągi? - Spojrzał na mnie spod gęstej czupryny.

Co miałam zrobić? Podwładny winien mieć przed obliczem przełożonego wygląd lichy i durnowaty, aby swym pojmowaniem istoty sprawy nie peszyć przełożonego... Takie było rozporządzenie któregoś z carów, chyba Piotra. Dostosowałam się do carskich zaleceń i pochyliwszy nisko głowę, przytaknęłam.

- Żeby bi to było po raz ostatni.

Coraz więcej zbiera się tych rzeczy, które mam robić po raz ostatni. Chwila nieuwagi i wylatuję na zbity pysk na przykład za to, że otworzyłam okno. Uch! Nie wytrzymałam:

- Panie dyrektorze, przepraszam, ale już wiosna... - zaczęłam.

- Wiosna, taaa, przez te hałdy śniegu jakoś nie zauważyłeb... - Ale spojrzał chyba na mnie nieco przychylniej.

- Pani Biruuuuoo...

- Proszę mi mówić po imieniu - weszłam mu w słowo - będzie prościej.

- Tak więc, Biru, przynieś bi proszę coś gorącego do picia i listę dzisiejszych spotkań. Część będę busiał odwołać przez tę wiosnę - Uśmiechnął się!!! O, do licha! Pierwszy raz, odkąd tu pracuję, zobaczyłam oblicze naszego Pana Tadeusza bez groźnego marsa na czole. Brawo. Wiosna ani chybi. Uśmiechnęłam się sama do siebie i obiecałam kupić jutro żonkile. Żółte, w doniczce. Postawię mu na biurku i niech ma. Żółte drobne promyczki.

Łukasz popukał się delikatnie w czoło.

- Oszalałaś chyba. Kto dzisiaj daje swojemu pracodawcy kwiaty tak zupełnie bez okazji?

- Ja. A co? Nikt więcej? - zapytałam, buszując po garnkach.

- A przepraszam, że jeszcze zapytam. Skąd pieniądze na te kwiaty? - dociekał. - W tym małym rondelku masz rosół.

- Z mojej osobistej, prywatnej kieszeni - odparowałam, podpalając gaz pod rosółem. - A skąd on, ten rosół?

- Ula przyniosła. A tobie do kieszeni nakapało specjalnie na kwiatki dla szefa?

- O co ci chodzi? - zdenerwowałam się w końcu.

- O to, że dzisiaj się takich rzeczy nie robi.

- Jakich, do groma? Jakich??? To, że chcę kupić swojemu pracodawcy żonkile i postawić mu na biurku, żeby przyjemniej było? Takich rzeczy się nie robi?

Podrapał się w głowę.

- No nie za bardzo.

- Wytłumacz - rzuciłam, zatykając sobie usta makaronem.

- On może sobie Bóg wie co pomyśleć, że na przykład się w nim zadurzyłaś...

Dobrze, że makaron mięciutki, bo ani chybi bym się udusiła. Stałoby mi kołkiem w gardle i śmierć na miejscu.

- Nie rozumiem - wykrztusiłam w końcu. Z mego szefa taki obiekt uniesień jak - nie przymierzając - z naszej paprotki z przedpokoju. A może i mniejszy nawet.

- No normalnie. Takich rzeczy się w dzisiejszych czasach nie robi. Chyba że są na to przeznaczone fundusze firmowe.

- To ja nieco pozmieniam pewne przyzwyczajenia. Pozmywasz? - Spojrzałam na niego słodko, ucinając dyskusję.

- Ja się dzisiaj tak nabiegałam. Kolację zrobię pyszną - dodałam kartę przetargową i wyszłam z kuchni.

Jedno trzeba Łukaszowi przyznać. Potrafi bardzo dokładnie i skrupulatnie zmywać, że nachlapie przy tym w całej kuchni, to mniejsza. Z dwojga złego wolę wytrzeć podłogę, niż babrać się ze stertą naczyń.

Rosółek od Uli. Zawróciłam w miejscu i udałam się do Zabrockich. Trzeba zobaczyć, jak wygląda sytuacja.

Najwyraźniej wszystko zaczynało wracać do normy. Z jednej strony karteluszek był puszczonej w niepamięć, z

drugiej zaś nocna eskapada Uli, bo państwo Zabroccy gruchali do siebie nad głowami potomków jak para gołąbków. Poza tym wróciły zapachy bułeczek drożdżowych, bez których zbyt długo nie mogłam się obejść.

Stop. Marchewka zamiast bułeczek.

Bezą nie będę. Przypomnieć sobie postanowienia noworoczne!

- Miruś - Ula na mój widok rozpromieniła się wyraźnie. Jakie to miłe, jakie budujące. - Chodź, chodź, były przed chwilą wyciągnęłam z piekarnika.

Postanowienia!!!

Posłusznie weszłam i rozsiadłam się na kuchennej ławie. Mrugnęłam do Pawła. Ula uśmiechnęła się niepewnie.

- No, porozmawialiśmy sobie. Prawdę powiedziawszy, nie całkiem mi przeszło, ale zdradliwe wizje nawiedzają mnie coraz rzadziej - wyznała cicho. - Dostał awans.

- No widzisz. Mówiłam, że wszystko się jakoś ułoży.

- Tak, samo by się nie ułożyło. Nie wiem, jak ci dziękować.

Proszę bardzo, zawsze do usług. Za cenę spokoju ducha tej złotej kobiety jestem w stanie przełamać moją samochodową fobię i jeździć dzień w dzień za Pawłem bodaj na drugi koniec miasta.

- Gdzie byłaś? Aga dobija się do ciebie już od godziny - poinformował mnie Łukasz od progu.

- U Uli byłam. - Chwyciłam za telefon: - No co tam?

- Mira, chyba wyjdę za mąż wcześniej od ciebie - poinformowała mnie z miejsca. - W takim jestem amoku.

- Ooo... - tylko na tyle było mnie stać.

- Nooo. Cudny facet.

- Lekarz stomatolog?

- Yhm. Wiesz, właściwie to ja go zbyt dobrze nie znam...

- No to, kochana, czym prędzej wychodź za niego, bo jak odrobinę lepiej go poznasz, to możesz się rozmyślić - doradziłam, siadając na podłodze. - Łukaszku, przynieś mi papierosyyyyy - rzuciłam.

- Przemieść się gdzieś. Głupio mi z tobą gadać, jak wiem, że Łukasz wszystko słyszy.

- Nie bój, ciebie nie słyszy. Dzięki - Zapaliłam. - No, opowiadaj.

- A co tu do opowiadania. Wpadłam po uszy, a moje dzieła mają teraz przewagę kolorystyczną czerwieni. Wiesz, od serca i w ogóle. Na walentynki zabiera mnie do Egiptu, rozumiesz?

- Taaa, no to pięknie.

- Pięknie, żebyś wiedziała. Jest cudowny, właściwie to już się do mnie wprowadził. A ty wiesz, że ja teraz prawie codziennie mam śniadanie do łóżka?

- Czary mary jakieś... - Hm, no ja miałam raz, jak się Łukasz deklarował, chamstwo.

- Tak, to prawdziwa magia. Matko kochana, jaka jestem szczęśliwa - zapiszczała tak głośno, że musiałam odsunąć słuchawkę od ucha.

- Uli też wszystko powiedziałam, tylko ona wtedy nie podchodziła do tego tak entuzjastycznie, jak powinna.

- Zaraz, zaraz, to ty ją, bidulę, wyciągnęłaś z domu po to, żeby opowiadać o swoim szczęściu? Aga, na litość, przecież wiedziałaś, jaka jest sytuacja. Przecież przez ciebie spiła się na umór.

- Na jaki umór? Ona jedno piwko wypła i lampkę wina chyba - tłumaczyła się Aga. - Skąd mogłam wiedzieć, że jej tak uderzy? Poza tym ja czysto terapeutycznie to zrobiłam... Ale, słuchaj dalej!

- Słucham, słucham.

Przesiedziałam na podłodze równiutkie pół godziny, wysłuchując peanów na cześć znajomego skądinąd lekarza stomatologa. To ten jeden jedyny. Tego Aga była już nawet w stu procentach pewna. Zakochała się na amen. Serduszka w oczach i zaćmienie umysłu ogólne.

Nie da się ukryć, tymi swoimi zachwykami przywiała chmurę niepewności. Znowu. Przecież ja na widok Łukasza nigdy nie miałam miękkich kolan. Nigdy nie wyrażałam się o nim w ten sposób.

Jesteśmy ze sobą i tyle.

Ale żeby miłość od pierwszego wejrzenia, padanie plackiem, gruchanie bezustanne w samych superlatywach o wybranku...? Chyba niekoniecznie. Razem z chmurą niepewności nadleciała kolejna ślubna wizja.

A jak w cholere się rozmyślę? Uciekająca panna młoda, pięknie. To dobre raczej dla szerokoustej Julii Roberts, ale nie dla poczciwej Miry Drybat. Ona na stanie miała zdaje się jakiegoś wierzchowca, ja tylko, hm, pandą dysponuję.

Aga gadała, nie wymagając właściwie żadnego odbioru, najwyraźniej w pełni usatysfakcjonowana rzadkim „hm” albo „aha”, kontynuowała, nabierając tylko oddechu. Nie będę o tym myśleć. A może... to miłość dojrzała, poważna i w ogóle? Bez sensu. Poważna miłość. Burknęłam jej na pożegnanie i odłożyłam słuchawkę.

- Kochanie - dobiegło mnie z pokoju - kiedy jedziemy do twoich rodziców?

- Może w tę niedzielę? - rzuciłam. - Zadzwoń do mamy. Pukanie. Czego?

Czego pytam?

Stałam w drzwiach z marszem na czole. Michał... Zadreptał jakoś niepewnie. Zibi pętał mu się koło nóg.

- Cześć! Może wieczorny spacer?

O tej porze? A może biedaczyna chce porozmawiać, znowu go naszły wspomnienia. Ruszyłam po kurtkę.

- Gdzie? - Łukasz zmaterializował się w drzwiach. - Gdzie idziesz, kochanie? Dobry wieczór, panu. - Położył nacisk na wieczór, a żeby tego było mało, zerknął ostentacyjnie na zegarek.

- Dobry wieczór.

- Idę na spacer. Pa! - ucięłam wszelkie pytania, cmoknęłam Łukasza w policzek i wypchnęłam zdezorientowanego Michała za drzwi.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

- No co?

- Ty z mężem mieszkasz? - wydusił w końcu.

- Od razu z mężem! - Przez chwilę korciło mnie, żeby odrobinę nagiąć fakty i Łukasza przemianować na rodzzonego brata... Uśmiechnęłam się mimo woli i pokręciłam głową nad własną głupotą. - Z narzeczonym.

- Ooo.

Szliśmy przez chwilę w milczeniu, widocznie musiał przetrwać informację. Czyżby mu Ula tak swoją drogą nie naświetliła mojej sytuacji? Z drugiej strony co to kogo.

- Nie wiedziałem - powiedział w końcu.

- No to już wiesz - stwierdziłam beztrąsko z nutką satysfakcji. Ha, myślał może, że stara panna ze mnie, ani chybi do wzięcia. Pochlebiam sobie, nieważne.

- Powiedz mi... - zaczęłam niepewnie - bo mnie to trochę nurtuje.

- Pytaj.

- Czy piszesz książkę opartą na faktach?

- To znaczy?

- No, znaczy czy na własnym doświadczeniu? - Przecież nie zapytam wprost, czy zginęła ci żona. Delikatności trochę.

- Aaaaa - w jego oczach dostrzegłam błysk zrozumienia -
myślałaś, że to moja historia?

- Tak jakoś przez chwilę mi się pomyślało.

- Nieee, czyściuteńka fikcja.

Muszę założyć krótkie cugle swojej wyobraźni, czym
prędzej, tym lepiej, bo cholera wie, gdzie mnie może
doprowadzić. Na razie tylko nieprzespane noce i guzy na
czole, ale w przyszłości... kto wie?

Wtorek

Do pracy wyszłam dużo wcześniej, ze zdecydowanym zamiarem odwiedzenia pobliskiej hali targowej. Trzeba było nabyć żonkile.

- Do pracy? - dobiegło mnie niezbyt mądre pytanie jeszcze na klatce. Nie, na samolot.

- Na spacer? - zdobyłam się na niewiele mądrzejsze. Odpowiedział mi wyłupiastooki.

- To może ci potowarzyszemy. - Michał raczej stwierdził, niż zapytał i ruszył ze mną na przystanek.

Zibiemu podróż zdecydowanie nie przypadła do gustu, bo piszczał i jazgotał, dopóki nie wysiedliśmy z tramwaju. Tłumy przy hali też go nie zachwyciły. Zaparł się małymi łapami i Michał musiał go ciągnąć, co - zważywszy na miękkie błotko - nie było zbyt trudne.

- Po co ci te żonkile? - dopytywał.

- Chcę postawić na biurku mojego szefa - oznajmiłam ciekawa reakcji.

- Ooo. To miłe.

- Ale...? - dopytywałam.

- Nie było żadnego ale. To po prostu bardzo miły gest. Na pewno będzie zadowolony.

Przetestujemy Pana Tadeusza. Kto miał rację - ja i Michał czy Łukasz? Przyszłam jak zwykle pierwsza, wstawiłam ekspres, sprawdziłam kwiaty, wpuściłam odrobinę świeżego powietrza i ustawiłam żonkile na biurku. Z boku, za lampką, tak żeby za bardzo nie rzucały się w oczy.

- Bry - rzucił najwyższy i, jak zwykle nie zaszczycając mnie nawet spojrzeniem, ruszył do siebie. Wszedł bardzo szybko, niosąc w małej dłoni doniczkę.

- Co to? - Wyciągnął kwiatka w moim kierunku.

- Hm, żonkil, panie dyrektorze - wyjaśniłam i już zaczynało mi świtać, że to jednak Łukasz znał się na obowiązujących obecnie zasadach.

- Widzę przecież, że nie róża - zirytował się. - Pytam, skąd się wziął i co robi na moim biurku?

No i nie da się ukryć. Zrobiło mi się głupio. Zacisnęłam palce. Spokojnie, kochana, spokojnie. Zaraz znowu zaczniesz wyjeżdżać z „ostatnim razem”...

- Pomyślałam, że skoro te hałdy śniegu zasłaniają panu dyrektorowi wiosnę, to może taki mały żonkilek...

Popatrzył na mnie z niedowierzaniem i chyba zaczął się rumienić. Chyba, bo bardzo szybko się odwrócił i nie zdążyłam stwierdzić z pewnością. Równie szybko ruszył z powrotem do siebie, mamrocząc coś pod nosem. Ręki sobie nie dam uciąć, ale brzmiało to jak „dziękuję”. Niech mu będzie. Przyjdę do domu i powiem wyraźnie, że miał rację. Westchnęłam. Co, do groma, jest złego w takim gościu? Chyba coś jest. W sprawach praktycznych obiecałam sobie solennie słuchać Łukasza, a nie instynktu.

Środa

Złożoną obietnicę mogę z czystym sumieniem puścić w niepamięć. Z bardzo prostego powodu. Moje biurko zdołał bukiet białych stokrotek, upchniętych w żółty mikroskopijny wazon, z niebieską wstążeczką. A Pan Tadeusz wychylił się ze swoich włości i z uśmiechem stwierdził:

- Ciąg dalszy wiosennych niespodzianek. Dzień dobry, Miru. Skamieniałam i nim zdążyłam cokolwiek z siebie wydobyć, już schował kudłatą czuprynę z powrotem.

- Twoja wyobraźnia jest po prostu nieoceniona. - Michał zajrzał mi w oczy z dziękczynnym wyrazem twarzy. - Skąd u ciebie takie pomysły?

- Hi, hi, z życia. A co, nie pasują?

Kolejny wieczór z rzędu, a ja zaczynałam się wczuwać w sytuację i losy Michałowych bohaterów. Przyjemne, zwłaszcza że mówiłam, co tylko mi przyszło do głowy, a na ogół i tak spotykało się to z jego jawną aprobatą. Dziwne swoją drogą.

- Wystawię rachuneczek, dajmy na to poproszę o drobną dedykację - uśmiechnęłam się ładnie.

- Masz jak w banku - odpowiedział uśmiechem. - Nie wiem, co z nimi wszystkimi dalej robić... - westchnął. - Ileż można się wściekać za zdrady, ile można tołkować o czyimś paskudnym charakterze.

- No oświeć mnie - zachęciłam go, rzucając Zibiemu mały patyczek. To bydlę najwyraźniej zaczynało się powoli przekonywać do mojej skromnej osoby. Na tyle, że łaskawie ruszał po patyk, nie mając bynajmniej w zamiarze oddawania go komukolwiek. Pokręciłam głową.

- Tylko się nie śmiej, ale tego jest już ponad sto stron.

- Hm. To masz dar. Prawdziwy dar. Pytanie, czy ktoś zechce to czytać. - Kolejny patyk poleciał ze świstem.

- No właśnie. Chciałbym cię o coś prosić.

- Tiaa? - mruknęłam, oczekując najgorszego.

- Żebyś... w... wolnej chwili może rzuciła na to okiem? - wydukał i spojrział pytająco.

Przytachał maszynopis czy raczej komputeropis jeszcze tego samego dnia.

- Co to? - Łukasz podszedł do mnie z palcem wycelowanym w kartki.

- Książka - poinformowałam go, nie podnosząc głowy.

- Jakaś dziwna ta książka - stwierdził z przekąsem. - Mira, musimy porozmawiać. Odłóż to, proszę.

Posłusznie, acz z westchnieniem odłożyłam. No i dostało mi się. Wychodzę nie wiadomo gdzie i nie wiadomo z kim. Dzień w dzień. Jemu, jako mojemu narzeczonemu, zdecydowanie to nie odpowiada. Wytrzymał, owszem. Tydzień, dwa, ale to już przesada.

- W końcu z kim chcesz spędzić resztę życia? - zapytał z pretensją.

W ostatniej chwili ugryzłam się w język. Przecież nie powiem mu, że jeszcze tak na dobrą sprawę nie wiem.

- No z tobą - burknęłam wreszcie.

- Ze mną? A jesteś pewna, że ze mną, a nie z tym dziennikarzyną od siedmiu boleści? Bo ja już nic z tego nie rozumiem. Wychodzi na to, że z nim spędzasz więcej czasu.

- A z kim mam spędzać?! - nie wytrzymałam. - Z tobą? I z telewizorem? Albo projektami? Albo jeszcze lepiej z gazetą? Człowieku, ja czasami muszę mieć do kogo usta otworzyć. A tak się składa, że on potrafi i chce słuchać, co mam do powiedzenia.

- Aaaa...

- No właśnie, aaa... - niepotrzebnie to wszystko mówiłam.

- To ja wracam do domu zmęczony, muszę odpocząć... - I się zaczęło... On tyra, zarabia na nasze przyszłe życie. Nawet nie zdążyłam wtrącić, że ja do tych zarobków też dorzucam

niezgorszą cegielkę. Rozbijał się w swoim żalu i ogólnym niezrozumieniu tak, że nie sposób było do niego dotrzeć żadnymi racjonalnymi argumentami. - Siedź sobie i czytaj te jego... nie wiadomo co. Wychodzę! - rzucił już od drzwi.

Dlaczego mam nieodparte wrażenie, że trochę w tym mojej winy? Odłożyłam Michałowe dzieło i podeszłam do okna. Łukasz już wsiadał do samochodu. Gdzie jedzie? Po co? Spojrzałam na kuchenny zegar. Dochodziła dwudziesta druga.

Oj, Michał, Michał, czemu żeś się przyplątał. Ze swoimi ciemnymi oczami, z tym spojrzeniem, uśmiechem, a przede wszystkim z czasem, którego dla mnie miałeś coraz więcej. Pod takim dostatkiem, jakiego nigdy nie miał mój własny, najwłaśniejszy narzeczony.

Pojechał.

Sięgnęłam do szafki po kubek i wstawiłam wodę. Dotarło do mnie nagle, że cały ten ambaras był zupełnie niepotrzebny. Uświadomiłam sobie jasno i wyraźnie, że Michała nie postrzegałam w kategoriach faceta do wzięcia. Był zbyt... zbyt idealny, cholera. Tacy w przyrodzie nie występują. Nie. Nie, nie i jeszcze raz nie. Nawet mi przez myśl nie przeszło, żeby traktować spotkania z nim...

No dobra, przeszło, przeszło, OK? Ale tylko przelotnie. Cudnie było znowu poczuć, że ktoś słucha, odpowiada na pytania, na mnie skupia całą swoją uwagę. Jestem winna? Ha! Ukażcie mnie więc.

Girls just want to have fun...

Według Łukasza przyjaźń między kobietą a mężczyzną nie istnieje. Dlatego tak bardzo podejrzane były moje spacery z dziennikarzem - cytuję - od siedmiu boleści. Usiadłam na podłodze. Wyjęłam kolejnego papierosa. Herbata całkiem już wystygła, a nie uśmiechało mi się pić zimnej. Odstawiłam kubek tylko po to, żeby po chwili trącić go ręką i całą zimną zawartość wylać sobie na wyciągnięte nogi. Szlag. Narobiłam

sobie bigosu czy nie narobiłam? Nijak nie dało się zignorować zimnej kałuży na podłodze. Chcąc nie chcąc, musiałam się podnieść. A jak już się podniosłam, rzuciłam obowiązkowe spojrzenie na parking. Pandy brak. Kątem oka dostrzegłam jednak znajomą sylwetkę na chodniku, tuż pod blokiem. Rozpłaszczyłam nos na szybie. Z piątego piętra widok na chodnik raczej mizerny, ale tej sylwetki z niczyją pomylić się nie dało. Charakterystyczny krok, postać wysoka, no i paskudztwo na czterech łapach płaczące się między nogami właściciela.

Michał szedł tak, jak zazwyczaj ze mną, nieznacznie pochylony w stronę rozmówcy, którego już zobaczyć nie mogłam, bo szedł bliżej bloku. Nie wytrzymałam. Wyjrzałam. Z dołu nie powinni usłyszeć otwieranego okna. No i cóż ujrzały moje piękne oczy? Szedł sobie powolutku, obejmując jakąś niewiastę. Co do tego nie było żadnych wątpliwości, bo co chwilę, błyskały zgrabne łydki i rozlegał się rytmiczny stukot butów na wysokim obcasie. A już tam zaraz zgrabne, z naszych wysokości jedyne co można stwierdzić z pewnością, to to, że niewiasta w spódnicy. I tyle. Dobrze, że w porę się zreflektowałam, bo jeszcze chwilę, dosłownie parę centymetrów i podziwiałabym jej łydki ze znacznie bliższej odległości.

Wróciłam na swoje miejsce pod parapetem. Najwyraźniej Michał lubi mieć przyjaciół. A wiadomo, im większa liczba przyjaciół, tym człowiekowi lepiej na tym łożu padole. Wracaj Łukasz.

Poprawię się.

Nie będę już spacerować z Michałem. Tylko książkę jego przeczytam. Ale wracaj.

Albo książki też nie będę czytać. Zgarnęłam maszynopis ze stolika i ruszyłam do drzwi. Równie zdecydowanie spod nich wróciłam i wpakowałam stos tachanych kartek głęboko,

głęboko, na pewno spoza zasięgu wzroku, pod stertę książek. No dobra, może, w wolnej chwili, nie narażając nikogo na nieprzyjemności.

Zazgrzytał klucz. Odruchowo zerknęłam na zegarek, niedługo go w sumie nie było. Łukasz spojrział na mnie i rozłożył ręce.

- Nic nie poradzę - stwierdził - jestem, jaki jestem. Spróbuję się zmienić, ale na pewno nie nastąpi to z dnia na dzień. Proszę cię o cierpliwość.

Ruszyłam w jego kierunku.

- Aha. I jeszcze jedno. Nienawidzę, po prostu choruję, jak wychodzisz z tym cholernym dziennikarzyną - wydusił.

- Kochany... - rozczuliłam się bez zastanowienia.

Pół nocy przesiedzieliśmy blisko siebie, w ogólnej harmonii, dzierżąc w dłoniach kieliszki z winem, cały czas skrzętnie napełniane przez Łukasza, i rozmawialiśmy o wielu rzeczach. Trzeba nadmienić, że przy wyłączonym odbiorniku telewizyjnym. Sukces? Czy jeszcze za wcześnie o tym myśleć? Na razie więc postanowiłam nie poddawać niczego analizie, a Michała zepchnęłam na dno świadomości. Prawie tak samo głęboko, jak jego pisanie. Tylko że siedział tam, nie jako osoba, ale jako fakt... i, cholera, z niewiadomych przyczyn czułam niesmak. Niewielki, ale jednak.

Czwartek

Śniłam znowu. Pięknie. O pocałunkach, ciepłe i innych romantycznych bzdetach. Nic na to nie poradzę. Może i potrafiłabym, ale niekoniecznie wiem jak, a z drugiej strony, na pewno nie mam ochoty. Snów się pozbywać nie mam ochoty. A śni mi się coś bez przerwy, nawet podczas popołudniowej, krótkiej drzemki.

Moja pierwsza miłość, niejaki Krzysio, z uporem twierdził, że mam bogate życie wewnętrzne. Krzysio nigdy nie zadał sobie trudu, żeby wytłumaczyć mi, co to w jego pojęciu właściwie znaczy. Jednak do końca naszej długiej znajomości... właśnie.

Zawieram tylko znajomości, które ciągną się później latami. Związki, które cementują się nieskończenie długo.

Z różnym efektem. Niekoniecznie scementowania... A przy tym wszystkim za cholerę nie ma w nich żadnej iskry, żadnego zapomnienia. Do dupy ze wszystkimi przeczytanymi romansidłami. Tyle w nich prawdy, ile w przedwyborczych obietnicach. Popatrzyłam na Łukasza. Słodko wygląda, jak śpi. Jasne kłaczki wokół oczu rzucają delikatny cień na policzki, coraz więcej zmarszczek pojawia się na twarzy. Rozczuliłam się i pogłaskałam go leciutko. Mruknął coś niewyraźnie i przygarnął mnie do siebie. Uch, gorąco i oddychać za bardzo nie ma czym. Odsunęłam się więc i podniosłam z łóżka.

- Jak się spało mojemu kochaniu? - dobiegło mnie już rzeńskie pytanie.

- Jak zwykle, marzycielsko. - Cmoknęłam go w policzek.

- To dobrze. A co zjesz na śniadanie? - Podparł się na łokciu i odgarniał mi włosy z ramion.

- A może kanapki z warzywami, dużą ilością warzyw? Uśmiechnął się.

- Zaraz zrobię ze sobą porządek i pójdę do sklepu. Wystarczyło, że słońce zaczęło mocniej przygrzewać i śniegi topniały, mnie nachodziło na nowalijki. Nieistotne, że marcowe warzywa niewiele miały wspólnego z witaminami i smakiem świeżych, letnich warzyw.

Ja po prostu musiałam już zacząć jeść swoje piętrowe kanapki. Łukasz zdążył się przyzwycząić do moich zachcianek. Przeciągnęłam się.

- Zrobię kawy. - Ruszyłam do kuchni, uchylając jeszcze w pokoju lufcik i wpuszczając odrobinę porannego słońca.

Aj, jak miło. Przykręciłam grzejnik w kuchni i wyciągnęłam dwa kubki. Dzisiaj będzie dobry dzień... Zaczęłam nucić.

W słodkiej harmonii pochłonęliśmy zgodnie po trzy pajdy chleba z piętrowo ułożonymi warzywami. Wyprodukowałam też kilka kanapek do pracy. I sobie, i jemu. Za co obdarował mnie długim całusem. Gdyby nie goniący czas, całus skończyłby się pewnie dużo przyjemniej, w nieposłanym jeszcze łóżku, ale to należało przełożyć na wieczór. Dołożyłam szczypiorku, nie chciało mi się go drobno kroić, więc wepchnęłam byle jak między kromki kilka długich gałązek. Będę wonieć, ale co tam.

Michał, jakby nigdy nic, zaczepił mnie na schodach. Kretynko, a niby co?

- Co tak pędzisz? - dogonił mnie już na dole.

- Do pracy pędzę.

- No wiem przecież, ale tramwaj masz dopiero za dziesięć minut - zauważył, zaglądając mi swoim zwyczajem prosto w oczy.

Czego? Czego, pytam. Gap się, ile wlezie, w tę swoją pannę, a mnie daj święty spokój. Nie zwalniam tempa, parłam dalej na przystanek.

- Ładnie dzisiaj wyglądasz - zauważył beztrąsko i zupełnie mimochodem.

- Dzięki - wymamrotałam.

- Oho, nie w sosiku widzę - stwierdził wesoło.

- Nie, dlaczego, o co ci chodzi? - zapytałam na pozór spokojnie.

- Oj, o nic. - Podniósł ręce w obronnym geście.

- Ech, Michale, niepoprawny człowieku. - Ruszyłam dalej. A on, oczywiście, za mną.

W milczeniu doszliśmy na przystanek. Zdążyłam już kilka razy zwymyślać sobie od najgorszych. Dojście do ulicy zajmuje mi, z zamknięciem drzwi i sprawdzeniem skrzynki na listy, dokładnie osiem minut. Nijak nie potrafię wyjaśnić, po co, do licha, wychodzę piętnaście minut wcześniej. A efekty tego - proszę bardzo. Stoję teraz w towarzystwie tego Adonisa i zawzięcie odliczam minuty. Rozmawiać z nim nie miałam najmniejszej ochoty.

- Miłego dnia - powiedział i wzruszył ramionami. Wepchałam się do tramwaju. Złość na samą siebie nieco już mi przeszła, do głosu zaczynały powoli dochodzić wyrzuty sumienia.

Gdzieś widziałam, chyba w jakiejś bajce. Sumienie bohatera przybierało postać sędziwego, dobrotliwego staruszka z długą siwą brodą. Gdy osobnik zrobił coś wbrew sumieniu, staruszek kiwał głową czy tam palcem... nie pamiętam. Pamiętam, że kiwał, i to tak jakoś z pożałowaniem. Mój staruszek na razie cmokał tylko z niezadowolenia, ale zaczynał zabierać się już do wygłoszenia tyrady na temat złego wychowania i nadwrażliwości. Nie zdążył, bo weszła mu w paradę pani od Czesia.

- Witam, kochaniutka! - Uśmiechnęła się szeroko znad bukietu tulipanów i zaczęła zbierać jakieś manele z krzeselka przed sobą. - Ja pod halę jadę. Siada, siada.

Siadłam więc.

- Dzień dobry - odpowiedziałam jej uśmiechem. - Wiosna nareszcie, ciepło...

- A jakże, na kwiatkach się zarobi dodatkowo - mrugnęła porozumiewawczo. - Teraz sezon. Dzień kobiet i imienin kupa. A ten, no, ten ładny, to pani narzeczony? - zmieniła nieoczekiwanie temat.

Tak nieoczekiwanie, że w pierwszej chwili nie miałam bladego pojęcia, o czym mówi. Patrzyłam na nią ze zmarszczonymi brwiami. Skąd ona, do licha, wie o Łukaszu? Chwila. Ładny? Łukasz mógł w ostateczności uchodzić za przystojnego, postawnego, ale na pewno nie ładnego.

- No ten na przystanku. - Szturchnęła mnie łokciem tak delikatnie, że niewiele brakowało, a spadłabym w cholerę z siedzenia.

- Aaa... - Dotarło do mnie, że mówi o Michale. Staruszek sumienie znowu się pojawił i zaczął kiwać palcem ze zdwojoną szybkością. Oklapłam.

- Śliczniutki. Takiego, kochana, to trzymać trzeba blisko przy sobie, bo każda na niego poleci. A z chłopem wiadomo, krótko za łeb, żeby wiedział, do kogo należy. Już ja tam swoje wiem - dodała.

- Tak - mruknęłam. Nie miałam ochoty wyprowadzać jej z błędu. Widocznie nasz widok nie pozostawia żadnych wątpliwości. Zaczęłam rozumieć Łukasza i jego pretensje. Tymczasem pani od Czesia kontynuowała swój monolog.

- Ja też takiego ślicznego miałam, narzeczonego znaczy się. I co? I najlepsza przyjaciółka mi go sprzed nosa sprzątnęła. Ot, tak - pstryknęła palcami. - Babom też niczego nie brakuje. Ale to się później mści. Gdzie się pan pchasz? Kwiatki połamiesz!!! - ryknęła nagle na jakiegoś współpasażera. - No, wysiadam. Powodzenia kochaniutka i pamiętaj, pilnuj jak oka w głowie.

- Tak, tak. Dobrze. Do widzenia - zdążyłam ją pożegnać, zanim się wytaszczyła z licznymi pakunkami.

Wsadziłam nos w szybę. A weź i upilnuj.

W pracy atmosfera bardziej niż rozluźniona. A to z tego prostego powodu, że Pan Tadeusz - bezskutecznie próbowałam myśleć o nim inaczej - wyjechał w jakąś delegację i miał wrócić dopiero jutro. Jolka uczepiła się Sebastiana, szefa projektu i informatyka w jednym. Wywaliwszy długie nogi centralnie na jego biurko, zagadywała i zaglądała mu w oczy. Jeszcze chwila, a rzuci się na biedaczynę niepomna wścibskich spojrzeń. Biedaczynie najwyraźniej zaloty nie przeszkadzały, bo siedział wpatrzony w monitor i od czasu do czasu tylko zdawkowo się uśmiechał. Jola - niezrażona - dwoiła się i troiła. Zająłam stanowisko obserwacyjne w biurowej kuchni, nalałam świeżo zaparzonej kawy z ekspresu i usiadłam przy jednym ze stolików. No po prostu jest bezkonkurencyjna. Sebastian już prawie wtykał nos, poprawka, już prawie wtykała mu dekolt pod nos. Ciut chyba za duże te wycięcie jak na strój do pracy. Zlustrowałam swój golf. A może to ja chodzę ubrana jak mniszka? Wzruszyłam ramionami.

Ej, jak przyjemnie. Po raz pierwszy chyba, od początku jak tu pracuję, mogłam się spokojnie rozejrzeć po biurze, przyjrzeć się pracownikom. Pominęłam wzrokiem biurko z rozwaloną Jolą i spojrzałam dalej. O zgrozo, przy następnym mniej więcej taka sama sytuacja. Z tą różnicą, że rozwalony był Marek, na stanowisku pracy Moniki. Reszta też jakaś rozchichana, rozszczypana i przytulająca się nawzajem. Wiosna. Zgarnęłam ze stolika kubek z kawą i sięgnęłam do torebki po papierosy. Nareszcie mogę zacząć dzień pracy jak należy. Kawunia, papieros, może za chwilę drugi.

- Uch, uch - Jolka dopadła mnie w palarni.

- No witam - uśmiechnęłam się i aż zmrużyłam oczy, z takim impetem padła na fotel.

- Cześć, cham jeden! - Zaciągnęła się głęboko.

- Hm, hm, któż taki? Czyżby Sebolek? - zgadywałam.

- Sebolek, phi, nieczuły drań, nie Sebolek - przedrzeźniała mnie.

- O, a czemuż to? Nie reaguje na twoje zaloty?

- Wyobraź sobie, nie.

- Hm, może cię nie zauważył...

- Zauważył - stwierdziła zaciekle - przed chwilą właśnie mnie poinformował, że siedzę na jego zestawieniach i nie chciałby, żeby się coś tam w nich pomieszało.

Prychnęłam.

- Bardzo śmieszne.

- Opuść go sobie. Świetny facet, ale najwyraźniej jego jedyna miłość to komputery.

- No właśnie - podchwyciła - świetny, po prostu super. On wysoki, ja też postawna kobieta. On umysł ścisły, ja też - wyliczała. - Pasujemy do siebie. Pasujemy, jak cholera. Czy on tego nie widzi? Ślepy czy jak?

- A może kogoś ma? - podsunęłam.

- Guzik. Nawet gdyby miał, to bardzo przepraszam, czy nie może na mnie chociaż na chwilę oka zawiesić? Co by mu szkodziło? Poza tym żonaty nie jest, wiem, bo w papiery mu zaglądałam, a gdyby nawet... drobny flirt nikomu jeszcze nie zaszkodził. No, sama powiedz.

Nie powiedziałam, nabrałam kawy w usta. Jolka miała rację. Było na czym zawiesić oko. Ja ze swoich nizin metra sześćdziesięciu musiałam nieźle zadzierać głowę, żeby spojrzeć choćby na jej brodę. Długie nogi, szczupła i pociągła twarz. Ładna była, to trzeba przyznać. Przesadzona, ale ładna. Tyle że kawał z niej cholery.

Spojrzałam na nią w zamyśleniu, wydmuchując dym. Drobnym flirt jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodził, taaaak. Z rozmysłem skreśliłam Jolę z listy zapraszanych do nas gości. Żadne takie. Pani od Czesia dobrze mówiła. Dowiedzieć się w końcu może, jak jej na imię, bo zostanie panią od Czesia, aż wreszcie się do niej tak zwrócę któregoś pięknego dnia. Bardzo nawet dobrze mówiła. Trzymać krótko, bo babom też niczego nie brakuje. Taka Jola nie miałaby najmniejszych skrupułów, żeby przypiąć się do czyjegoś męża. Zastanowiłam się przez chwilę. Czy mnie, dajmy na to, byłoby stać na coś takiego. Pomyślałam o Pawle i Uli. Wzdrygnęłam się. Nigdy w życiu. Ale gdyby Adonis był żonaty, gdybym się zakochała, gdyby...

- No i nad czym dumasz tak zawzięcie? - Jola wyprostowała się w fotelu.

- Jakby ci tu powiedzieć... - a co tam - zastanawiam się właśnie, czy byłabym w stanie flirtować z mężem mojej najlepszej przyjaciółki.

- A czemu? Co ci do głowy... Aj - machnęła ręką - nieżyciowa jesteś Mira.

Poklepała mnie po ręce, spojrzała pobłaźliwie i doradziła, zakończywszy zabiegi pocieszające na biednej nieznającej życia koleżance z pracy:

- Musisz bardziej realnie patrzeć na wszystko. Bez zbytnich ideałów. Bo cię zeżrą.

Co to dzisiaj za dzień durnowaty. Bez udzielania rad nikt w moim towarzystwie nie może się nijak obejść. Jeszcze żeby chociaż sensowne, ale Jolka...? Za kogo ona się ma, do groma? Biurowa miss, w tyłek swój wysoki kopana. Uch! Zadekowałam się przy swoim biurku, zagrzebałam w papiery i przysięgłam, że nie wyściubię z nich nosa aż do osiemnastej. No może z wyjątkiem przerwy na papierosa. Jolka jeszcze

jakiś czas nie dawała za wygraną i próbowała wyciągnąć ze mnie jakiegokolwiek dodatkowe informacje na temat Sebastiana.

A skąd, u licha ciężkiego, miałabym je mieć? Nie znam go tak długo jak ona, za często nie rozmawiam. Tym bardziej że po aferze, cytuję „rozwalenia systemu”, omijał mnie szerokim łukiem, patrząc jak na największe zagrożenie dla jego jedynej, chyba jedynej, miłości. Jolce na wszelkie sposoby próbowałam dać do zrozumienia, że jej towarzystwo - najdelikatniej rzecz ujmując - jest mi niekoniecznie miłe. I proszę, co jeszcze wyszło? Że na subtelności jest zdecydowanie odporna. Wreszcie nie wytrzymałam:

- Wiesz Jolu, ja do powrotu Tadeusza muszę się wyrobić z kilkoma rzeczami... - I po co jeszcze robię przepraszającą minę? Bo tak mnie wychowano.

Spojrzała nieprzytomnie.

- Nic nie szkodzi - machnęła ręką. - Pogadamy na papierosku.

Oddaliła się, zabierając ze sobą ciężki, obrzydliwie słodki zapach. Proszę, pogadamy na papierosku. Po to właśnie potrzebny mi na gębie przepraszający uśmiech, żeby, broń Boże, nikogo nie urazić. Ludzie, ludzie, czy na drodze ewolucji gubicie delikatność i wyczucie? Od dzisiaj modlić się będę gorąco, żeby chociaż śladowe ilości nam tego pozostały. Pokręciłam głową i zagłębiłam się z powrotem w karteluszkach. Zadowolona, bo udało mi się uporać z nimi dość szybko, odpaliłam komputer i zaczęłam wprowadzać dane. Powoli, skrupulatnie, parokrotnie czytając pojawiające się komentarze. W rogu mignęła koperta. Wiadomość od Sebastiana: „możemy pogadać?”. Spojrzałam zdziwiona w stronę jego stanowiska. Machał ręką, wskazując Jolkę, po czym tajemniczo przykładał palec do ust. „Czego?” - napisałam w końcu grzecznie, bo nijak nie dało się rozszyfrować jego sygnalizacji. Wyciągnęłam palec w

kierunku monitora. Może znowu udało mi się coś wyrzucić z systemu? Ciężko wyczuć. Odpowiedź nie nadchodziła, nadszedł wreszcie sam zainteresowany rozmową. Rozejrzył się. - Hm.

- No co tam? - zainteresowałam się.

- Słuchaj, Mira, ty się przyjaźnisz z Jolką... - zaczął.

- Poprawka. Rozmawiam z nią, a zanoszi się na to, że niedługo przestanę - uznałam za stosowne sprostować.

- Ooo... Myślałem, że mi pomożesz - najwidoczniej się zmartwił.

- W czym?

- Widzisz, ona...

- Proszę, proszę, kto tu sobie słodko grucha - dobiegło nas trajkotanie.

- Nie grucha, tylko rozmawia. Joluś, skarbie, wychwytyj subtelności - doradziłam. Nawet na mnie nie spojrziała.

- Sebolku, pomóż - złożyła w teatralnym geście wypielęgnowane dłonie - komputer mi się zawiesił, no i bez ciebie nijak sobie nie poradzę. Po prostu.

Gdyby miała przyklejone rzęsy, na pewno by jej odpadły. Sto procent. Tak machać toż to sztuka przecie. Westchnęłam. Sebastian mi zawtórował.

- Napiszę ci za chwilę - rzucił do mnie.

- Co napiszesz? Co napiszesz? No powiedz. Mailujecie sobie? A ze mną? Oj, niedobry Sebol, niedobry. - Pokiwała mu palcem, odciągając od mojego biurka z determinacją samicy broniącej swego samca.

Złowieszco zaburczało mi w brzuchu.

Aaaa, moje kanapeczki drogie, jakże mogłam o was zapomnieć. Dobrze, że żołądek wiecznie w stanie gotowości.

Wyciągnęłam aromatyczne, wiosenne kanapki. Skoro najwyższego nie ma, nie ma też widoków na to, żeby się jeszcze dzisiaj pojawił. Darowałam sobie jedzenie w kuchni.

Takie drobne odstępstwo od zasad. Mniemam. Przy drugim kęsie zarejestrowałam jakieś zamieszanie na korytarzu, ale zamiast wyjrzeć i sprawdzić, co się dzieje, postanowiłam w spokoju delektować się nowalijkami. Błąd. Gdybym raczyła podnieść tyłek chociaż odrobinę i zajrzeć za drzwi, zobaczyłabym całą delegację z Panem Tadeuszem na czele.

Za późno. Gdy przekraczali próg, ja byłam akurat w trakcie kolejnego kęsa.

Kęsa były ze szczypiorkiem.

Niepokrojonym.

Nie trzeba zdaje się dodawać, że wyciągnięty w pośpiechu z kanapki zadyndał radośnie na mojej brodzie, a właściwie zadyndały. Dwie świeżutkie, zieloniutkie gałązki szczypiorku.

- To... - zawahał się mój pracodawca, po czym dodał ciszej, widocznie wściekły: - Moja asystentka, panowie.

Asystentka spłonęła natychmiast rumieńcem i zaczęła się zastanawiać, czy w takich momentach ziemia nie powinna się pod człowiekiem rozstąpić. Nawet rzuciła kontrolne spojrzenie na podłogę pod biurkiem. Niestety, na wyszorowanej wykładzinie nie było najmniejszej rysy.

- Nie ma to jak zdrowa żywność, witam panią - podsumował jeden z panów. Bardzo dowcipne. Zerknęłam znowu pod biurko. Może jednak jakąś łaskawością niebios ziemia raczyła się rozstąpić? Guzik.

- Taaa - sapnął Tadeusz.

Wolałam nie zastanawiać się, co mnie czeka podczas późniejszego sam na sam z najwyższym. Pozbyłam się gałązek - dokładnie rzecz biorąc, połknęłam je w całości - i wymamrotałam:

- Dzień dobry.

Znowu mi powie: „żeby mi to było po raz ostatni”? Czy od razu wywali z hukiem? Może zacząć zbierać papiery? Aga od początku powtarzała mi zawzięcie, przynajmniej raz na

tydzień, że Tadeusz dba o wizerunek firmy aż do bólu. Wiele rzeczy robi na pokaz i wszelkie uchybienia podlegają surowym restrykcjom. Tak więc nijak darować sobie nie mogłam dwóch rzeczy. Przede wszystkim lenistwa, bo jakby się Mira nie leniła, to ten cholerny szczypiorek by posiekała, po drugie lenistwa, bo mogłam ruszyć swoje cztery litery i pochłonąć kanapki w pomieszczeniu do tego przeznaczonym.

- Posiłki jemy w kuchni, nie przy stanowisku pracy - rzucił, wystawiając głowę z gabinetu najwyższy. - Cztery kawy z ekspresu, dwie po turecku i jedną herbatę poprosimy.

Było trochę zamieszania przy tej delegacji. Strasznie dużo pili, później musiałam im naznosić całą masę ubiegłorocznych projektów i do poczty zasiadłam dopiero przed końcem pracy. Oprócz wiadomości zewnętrznych dwie wewnętrzne. Rzecz jasna, od Sebastiana. Matko kochana, on chce się spotkać, bo w biurze nie ma warunków. Na co? Druga, to propozycja podwiezienia mnie po pracy do domu. „OK” - wystukałam bez zastanowienia.

- Pomóż mi, kobieto, bo cholery dostanę. - Pierwsza rzecz, jaką zrobił w samochodzie, to zapalił.

- Bardzo chętnie. Chyba. Ale w czym? Mogę? - Wskazałam na popielniczkę.

- Pal. Przecież ja całkiem poważnie zastanawiam się nad zmianą miejsca pracy. Ona żyć mi nie daje. Dzisiaj też czekałaby na mnie, gdybym nie powiedział, że dokończenie roboty zajmie mi jeszcze jakieś dwie godziny. Obraziła się i poszła. Obraziła!!! Rozumiesz? Na co, bardzo przepraszam?! - zasypał mnie potokiem słów.

- No co ja ci mogę powiedzieć? Z tego, co wiem, zagięła na ciebie parol... - Nie było trudno się domyśleć, o kim mowa.

- Co? - Spojrzał na mnie, najwyraźniej nie rozumiejąc.

- Patrz, gdzie jedziesz. No normalnie. Haka zagięła. Chce cię złapać, poderwać.

- A dlaczego mnie? Przecież ja jej niczego nie dawałem do zrozumienia - zdziwił się. Poczciwina.

- Nie musiałeś.

- Posłuchaj, sytuacja zaczyna się robić naprawdę nieciekawa.

Mieszkam z narzeczoną... Zaręczyłem się, wiesz? - oznajmił nieoczekiwanie.

- Ja też - rzuciłam bez zastanowienia.

Spojrzał na mnie z lekką pretensją. No tak, to przecież jego nowina, z jego zaręczyn trzeba się cieszyć, jego podziwiać za podjęcie życiowej decyzji.

- To cudownie! - poprawiłam się więc bardzo energicznie.

- Nooo, chyba - moja poprzednia gafa poszła w zapomnienie - no, a ona cały czas do mnie do domu wydzwania. Jolka, znaczy się. Nie wiadomo, po jaką cholere. I przede wszystkim skąd numer wzięła?

- To akurat nie jest żadna tajemnica. Dzisiaj się przyznała, że grzebała w twoich dokumentach. W księgowości - wyjaśniłam.

- Cooo? - oburzył się znowu, wpatrując we mnie.

- Patrz na ulicę, bardzo cię proszę. Cel uświęca środki.

- Świnia.

Nie mogłam się oprzeć, żeby nie dodać:

- Ale ładna świnia.

- Ładna, phi. Zrobiona i tyle.

Spojrzałam na Sebastiana z zainteresowaniem. Proszę, proszę. Panom zazwyczaj umykają takie drobnostki, jak fryzura, paznokcie, poszczególne detale odzieży. Całość widzą zazwyczaj. A tu miła odmiana.

- I też nie do końca, nigdy nie pamięta o odrostach.

Obrzuciwszy Sebastiana uważnym spojrzeniem, zaczęłam się zastanawiać, czy jego narzeczoną nie jest czasami przedstawicielem płci brzydkiej.

- Ale mniejsza o to. Chciałbym cię prosić o mały cyrk. Odegranie małego cyrku. Bo inaczej to ja widzę nie da rady.

- Jakiego znowu cyrku? - spojrzałam podejrzliwie.

- No, jakby to powiedzieć, w pracy będziemy udawać, że jesteśmy parą. Albo chociaż, no, dajmy na to, że jestem tobą zainteresowany. Abyś tylko nie odrzucała moich awansów przy niej, co? - Spojrzał na mnie, korzystając z czerwonego światła.

- Sebol, oszalałeś - stwierdziłam raczej, niż zapytałam.

- To jedyny pomysł, jaki mi przyszedł do głowy. Jedyny, jaki może zniechęcić tę heterę do dalszych zalotów. Sam nie wiem.

Pomysł, tylko w pracy. Od czasu do czasu się do mnie uśmiechniesz, ja do ciebie. Kilka maili wyślemy sobie codziennie, obejmiemy ze dwa razy. I tyle. Przecież nie można się zanadto afiszować przy szefie. A później ja się nieoczekiwanie ożenię, ty wyjdiesz za żonę i wszystko będzie OK.

- No niekoniecznie - zaproponowałam. - Akurat Jola nie ma najmniejszych skrupułów, żeby rozwalać związki.

- Ale to już będzie inaczej. Na pewno znajdzie sobie następną ofiarę - wzdrygnął się. - Pomysł! - rzucił, otwierając mi drzwi.

- Pomyślę, skonsultuję z kim trzeba i dam ci znać jutro. Na razie.

Decyzję podjęłam, zanim propozycja zdążyła przebrzmieć w powietrzu. Nie mam zamiaru komplikować sobie życia, tłumaczyć się Łukaszowi, udawać, a już najmniejszą ochotę mam na to, żeby bruździć sobie w pracy. Nieźle mi tam. Sympatycznie. Wsadzam nos w monitor i mam święty spokój. Wyjąwszy Tadeusza. Jęknęłam. Widmo szczypiorku stanęło mi na nowo przed oczami. Niewykluczone, że wszelkie rozterki związane z Sebolem odejdą w niepamięć. Jeżeli mnie

zwolnią, nie będzie się nad czym zastanawiać. Dowlokłam się do domu. Zaduch i oczywiście resztki po kawie ustawione w strategicznych miejscach całego mieszkania. Rzuciłam torbę. Ciężko wziąć w te swoje architektove łapy brudne naczynia? Sam z siebie nigdy się nie domyśli. Machnęłam ręką na bajzel i zająrzałam do lodówki.

Pusto. Resztki jogurtu, podśmierdujący ser, kiedyś chyba biały, i masło, jakieś podejrzenie żółte.

Nastrój dzisiejszego poranka prysnął jak bańka mydlana. Łukaszowi nie przyszło bowiem do głowy, żeby wykroczyć chociaż odrobinę poza ramy aktualnego zapotrzebowania. Wykalkulował, ile potrzebujemy pieczywa na śniadanie, policzył plasterki wędliny i voila. Wieczorem trzeba skombinować już coś innego.

Tylko co?

Walnęłam z całej siły ręką w stół. Dużo najwyraźniej siły we mnie było, bo spadła filiżanka, rozbryzgując fantazyjne fusowe szlaczki po wszystkich szafkach i szufladach, że o podłodze nie wspomnę.

- Idę się przebrać - oznajmiłam głośno, żeby bajzel czasami nie pomyślał, że za chwilę się nim zajmę. Wychodząc z kuchni, łomotnęłam dla odmiany drzwiami, uprzednio jednak sprawdziłam, czy aby żadnego na poły wypróżnionego naczynia nie ma w pobliżu.

Do jasnej, niespodziewanej cholery.

W łazience, na samym jej środku, spoczywała finezyjnie uformowana kupka brudnych ciuchów.

Zapewne w życiu każdego człowieka nadchodzi moment, kiedy to uświadamia sobie z przeraźliwą jasnością popełniane przez siebie błędy. Taki moment najwyraźniej nadszedł w życiu Mirosławy Drybat. Aż usiadłam. Na tej stercie śmierdzących skarpetek, męskich bodajże. Czy proces następował długo, czy w ciągu jednego dnia, miesiąca?

Cholera wie. Wygrzebałam z torebki papierosy i z powrotem usiadłam w łazience. Zdegradowana zostałam do pozycji personelu sprzątającego - gotującego - pracującego. Do kompletu brakuje tylko gromadki pociech do wychowania. Ewolucja mojego mężczyzny następowała najwyraźniej bardzo wolno, ledwie dostrzegalnie. Najpierw, no właśnie, co najpierw zaczęło mu przyrastać i do czego - ręce do kadłuba czy tyłek do fotela?

Bez sensu się nad tym zastanawiać, ważny efekt końcowy. A nie był on, nie oszukujmy się, zadowolający. Prychnęłam ze złością i strzepnęłam popiół z papierosa centralnie na jego brudne łachy. Coś tam się zaczęło tlić, więc przydepnęłam łaskawie i ruszyłam do telefonu.

- Sebol? To ja, no Mira mówi. Ja tobie, chłopie, pomogę - poinformowałam wielkodusznie kolegę, po czym dodałam, już po wciśnięciu czerwonej słuchawki: - A na złość cholernikowi.

Zostawiłam wszystko w stanie zgoła niewybaczalnym i powlokłam się do Uli.

- Ciągłe jeszcze się na mnie boczysz? - dobiegło mnie na schodach. Co to w ogóle za słowo? I czy czasami nie wypadło już z obiegu, ha, pan dziennikarz stosuje, to pewnikiem nie. Wojowniczo wsparłam ręce na biodrach. Zibi - obrzydliwiec - warknął nieprzyjaźnie.

- Wrrr - odpowiedziałam automatycznie.

- Hm, zdaje się, że tak. - Michał uśmiechał się bezczelnie.

- Rozmawiasz już tylko z moim pieseczkiem. Spokój, Zibusz.

Poklepał psa po głowie, jednocześnie wyłączając warczenie.

Nie wytrzymałam, nagle zebrało mi się na wyjaśnianie niewyjaśnionego. Miałam serdecznie dość niedopowiedzeń, znaków zapytania i domysłów.

- Powiedz ty mi, człowieku, czego ty właściwie ode mnie chcesz? - rzuciłam z pretensją. Spojrzał na mnie z autentycznym zdziwieniem. Matko kochana, dlaczego on taki przystojny, niezależnie od tego, czy zły, smutny czy zdziwiony. Przecież to niehumanitarne, człowiek nawet porządnie wściec się nie może, no bo jak? Skoro w jednej sekundzie gotów się na amen zakochać w tych jego oczyskach. Przekląłam sobie w duchu soczyście i skontrolowałam wyraz twarzy, bo przecież wbrew najszczerzszym chęciom wszystkie uczucia malują się na niej zaraz jak na przysłowiowej dłoni. Czy tam tacy.

- Ja?! A o cóż tobie, kobieto, chodzi?

- Nnno tak, w ogóle... Dlaczego chadzasz ze mną na spacer?

- Bo lubię - padła obrzydliwie lakoniczna odpowiedź.

- Ale dlaczego? - nie dawałam za wygraną.

- Hm, jakby to powiedzieć... - Poskrobał się po podbródku. - Lubię z tobą rozmawiać. To tak jakbym miał siostrę, wiesz?

- Puf, no, na razie.

- Co na razie, co na razie? Mira, co się z tobą dzieje?

- A nic, stres przedmałżeński - wypaliłam. - Muszę do Uli.

Kątem oka zobaczyłam, jak wzruszył ramionami, kręcąc jednocześnie głową. Pewnie wydedukował tam sobie, że kobiety to dziwne istoty, i utwierdził się w przekonaniu, że dobrze czyni, egzystując samotnie. Przepraszam, do spółki z pseudopsem.

Ula trzaskała z pasją garnkami.

- A tobie co? - zainteresowałam się grzecznie, podciągając nogi pod siebie na kuchennym taborecie.

- Aj, Mira - łomot patelni w zlewie - dosyć mam.

- Ty też? Gdzie dzieci? - Rozejrzałam się. W pokoju obok podejrzanie cicho. Tylko kuchenne radio konkurowało z brzękiem naczyń. - Czego?

- Wszystkiego po kolei. Poszły z Pawłem na spacer.

- O, to miłe. To, że je zabrał - poprawiłam się szybko.

- No, chociaż tyle. - Klapła naprzeciw mnie.

Oj, Ula, Ula, kiedy ty o sobie pomyślisz. Kosmyk włosów bezlitośnie spadał jej na czoło, kolejne siwe włosy wypadaloby pokryć farbą, bluza utyłana. Obraz nędzy i rozpaczy. Spojrzała na mnie.

- Dosyć mam, wiesz? Od świtu do nocy sterczę przy garach, pralce, desce do prasowania, a w czasie wolnym mogę polecieć po kilogramy przeróżnych wiktuałów. Później zmywam, znowu gotuję, lecę po dzieciaki i tak w kółko. Powiedz mi, ileż można? Czy mnie się już nic od życia nie należy? Czy ja nie chciałabym, myślisz, się ubrać ładnie i wyjść sobie do pracy? Posiedzieć tam osiem albo i nawet dziesięć godzin, ale między ludźmi. Porozmawiać, poplotkować, pośmiać się z byle czego. Nie, ja muszę tu sterczeć dniami, a ostatnio nawet nocami - wypluwała z siebie żale z prędkością karabinu maszynowego - Popatrz, jak ja wyglądam?

- No jak? - zdążyłam uprzejmie wtrącić. Ale ona machnęła tylko ręką.

- Od lat już chyba nigdzie nie wychodziliśmy z Pawłem. I wcale mu się nie dziwię. Musiałabym spędzić co najmniej tydzień w przeróżnych salonach piękności, żeby się jakoś do tych jego odprasowanych pięknie koszul i krawatów, za nie wiadomo jakie pieniądze, dopasować. Mira, on się mnie najzwyczajniej w świecie wstydzi. A ja przecież czasu na nic nie mam. O Boże...

- rozplakała się na dobre.

Podsunięłam się z taboretem bliżej, położyłam jej rękę na ramieniu. Oj, idiotka ze mnie. Zawsze wchodziłam do tego domu i zachwycałam się zapachem bułeczek albo innych pyszności, później obżerałam się bezwstydnie i jakoś tak przez głowę mi nie przeszło, że to jednak wymaga dużego poświęcenia.

- Czemu tutaj przyszedłaś? - rzuciła mi zażwawione spojrzenie.

- Dlaczego w ogóle tutaj przychodzisz? No powiedz.

- Nie... - zbaraniałam, ale nie dała mi nawet dokończyć.

- Powinnaś teraz siedzieć sobie w jakiejś knajpce, popijać schłodzone piwo albo wino, spotykać się z przyjaciółmi. Ale nie tutaj! - Zamachnęła się ręką, pokazując najwyraźniej rzeczony „tutaj”.

Dobrze, że się uchyliłam w porę, bo zajęchałaby mnie centralnie między oczy.

- Co ty gadasz? - Wyjęłam z kieszeni chusteczki i podałam jej. - Co ty za idiotyzmy wygadujesz?

- Żadne idiotyzmy. Mnie nikt by nie zagonił do chaty pełnej wiecznego rozgardiaszu, smrodu i bajzlu. Chodziłabym na spacer...

- Zamilcz - teraz ja weszłam jej w słowo - zamilcz, bo słuchać już nie mogę. Po pierwsze - kontynuowałam, nie zwracając najmniejszej uwagi na jej pełne dezaprobaty furknienia - ten dom to nie chata, a prawdziwy dom, o jakim zawsze marzyłam, poczynając od wczesnych szczenięcych lat. Dom z atmosferą, miłością i swoistym ciepłem...

- Dupa tam! - skorzystała z chwili, w której moje płuca domagały się głębokiego wdechu. Ale spojrzała na mnie wyczekująco. Dobra droga, Miruś, dawaj dalej.

- Żadna dupa, a raczej twoja dupa się przy tym wszystkim krząta, nadaje życia, atmosfery i w ogóle.

- A propos, moja dupa robi się coraz bardziej rozlazła - zauważyła.

- Zamilcz, powiadam, o tym za chwilę.

- No i jawnie przyznajesz, że przytyłam.

- Ulka, bo stracę resztki cierpliwości - w celu podkreślenia swoich słów stuknęłam pięścią w stół - właśnie usiłuję ci powiedzieć, że stwarzasz w tym domu niepowtarzalny klimat, że jesteś wzorową żoną, matką i w ogóle kobietą. Ja ciebie przed wszystkimi pod niebiosa niemalże wynoszę. A ty pytasz, po co tutaj przychodzę? Bo nigdzie mi nie jest tak dobrze, jak na twoim kuchennym taborecie, bo niewielu jest ludzi, którzy potrafią poświęcić innym swój czas mimo nawału własnych zmartwień i obowiązków.

- Dobra, przestań już, bo jeszcze w samozachwyty wpadnę. A co z moim wyglądem? - Spojrzała na mnie wyczekująco.

- To zupełnie inna kwestia - wzruszyłam ramionami.

- No niby jaka? - zaperzyła się na nowo. - Ni cholery nie znajdę czasu dla siebie. Nawet teraz. Paweł zabrał dzieciaki, więc co mogłam zrobić? Posprzątać dokładniej. Szlag by to trafił.

- Machnij ręką na sprzątanie - poradziłam.

- Taaa, ciekawe jak w ciągu kilku dni wyglądałoby to mieszkanie. Nie żartuj sobie, Mira. Codziennie kilka razy przebiega przez nie tajfun w postaci czwórki rozkosznego rodzeństwa. Roznoszą, przenoszą, przyklejają, mażą, co tylko chcesz.

Westchnęłyśmy sobie głęboko. Faktycznie. Ula, jakby nie patrzeć, skazana jest na krzątanie, dopóki nie pozbędzie się z domu potomstwa. A nie jest wykluczone, że wtedy zaczną podrzucać jej własne latorośle.

Jeżu, a przecież tych będzie najprawdopodobniej dwa razy więcej. Spojrzałam na Ulkę ze współczuciem.

- A nie możecie kogoś wynająć do sprzątnia? - palnęłam.
- Chociaż na jeden, dwa dni w tygodniu. Żebyś mogła wyjść do fryzjera czy kosmetyczki. Gdziekolwiek, byle dla siebie.

- Żarty się ciebie trzymają. - Ula wzruszyła ramionami, zaglądając do pustego już kubka. - Niby za co? Paweł twierdzi, że ledwo wiążemy koniec z końcem.

- Jak to Paweł twierdzi?

- No normalnie. Ja finansową stroną się nie interesuję, dopóki mam na ziemniaki. O zgrozo - parsknęła.

- Zadam ci niedyskretne pytanie, dobra? - Przecież to niemożliwe, żeby tak zupełnie nie miała pojęcia o budżecie domowym.

- Wal.

- Ile Paweł zarabia?

- Aaaaa... Tego to ci nie powiem, bo, prawdę powiedziawszy, nie wiem. Jakieś dodatki, jakieś delegacje, jakieś kolejne zlecenia... Zawsze coś tam mu wpadnie i... - Spojrzała na mnie. - Niech ci będzie. Nie wiem. Po prostu, najzwyczajniej w świecie nie wiem.

- Brawo, kochana.

- Oj, Mira, nie nudź. Na pewno nie zarabia tyle, żebyśmy mogli pozwolić sobie na pomoc domową. Chcesz jeszcze herbaty? - Ewidentnie zakończyła temat, więc nie drażyłam. Pokiwałam przecząco głową.

- Nie chcę. Muszę do domu. - Uśmiechnęłam się złowieszczo na wspomnienie kupki popiołu na stercie brudów. Może już wrócił ten nikczemnik.

- Nawet słowem nie wspomniałaś, co tam u ciebie - zauważyła, ale bez cienia zainteresowania.

- A nic. Lecę, Uluś. A w sobotę biegniemy do fryzjera. Żadnych protestów! - Cmoknęłam powietrze i poleciałam do siebie.

Omijaliśmy łazienkę szerokim łukiem przez cały wieczór.
Rano Łukasz nie wytrzymał.

Piątek

- Miraaaa - dobiegło mnie jeszcze przez półsen.

- Czego - burknęłam do siebie, po czym dodałam głośniejsze: - Słucham? - Koniec spania. Nawet jeżeli zdążę jeszcze wleźć na chwilę do łóżka, i tak nie zdołam zasnąć. Zdenerwuję się obrzydliwie, będę się przewracać, więc... zrzuciłam kołdrę i ruszyłam do łazienki. - No co chcesz. Dzień dobry.

- Dobry? Wytłumacz mi, czy od dzisiaj tak właśnie będzie wyglądać nasza łazienka? Czy ty wiesz, że te na wierzchu - oskarżycielskim gestem wskazał szarobury gałganik - to, pod popiołem...

- Taaa? - spojrzałam ciekawie, po czym zerknęłam w lustro, rejestrując z zadowoleniem rześki stan oblicza.

- To najdroższe i najnowsze skarpetki! - Wziął się pod boki, nasuwając mi skojarzenie z jarmarczną, krzepką kobitą.

- To trzeba o nie dbać, prawda? Jak się ubrudzą, to nie rzucać ich, jak popadnie, na podłogę łazienki, bo tam na pewno nie staną się czyste!

Ruszyłam zrobić sobie kawy. Nie denerwuj się, spokojnie. W co by się dzisiaj ubrać? Wyjrzałam przez okno. Chyba ciepło. Nawet bardzo. Łukasz niezmordowanie podążał za mną.

- Ja chodzę do pracy. Wydawało mi się, że porządki w tym domu należą do twoich obowiązków! - Wycelował we mnie paluchem.

Odetchnęłam głęboko. Przypaliłam papierosa.

- Po pierwsze - ja też chodzę do pracy. Jakbyś nie zauważył, już prawie od trzech miesięcy.

- Dobrze, ale...

- Nie. Daj mi dokończyć. Pracuję niewiele krócej od ciebie. Po drugie, do moich obowiązków na pewno nie należy odwieczne sprzątanie po tobie, kochany. Dzień w dzień

wracam do domu i najpierw muszę sobie utorować drogę przez brudne ciuchy, kubki, okruszki i Bóg wie co jeszcze. Ciężko było wrzucić te skarpety do kosza z brudną bielizną?

- Mogło się zapalić i pożar gotowy. Jesteś nieodpowiedzialna! - Znowu zamachał mi tym swoim palcem przed nosem.

- Uch! Czy ty w ogóle słyszysz, co do ciebie mówię???

- Słyszę, zwłaszcza że krzyczysz. W domu były moje projekty. Nader cenne, bo jedyny ich egzemplarz. Poszłyby z dymem jak nic.

Popatrzyłam na niego po raz nie wiadomo który, uświadamiając sobie, że mężczyźni są na pewno z Marsa albo i planety bardziej oddalonej od Wenus. Na przykład gdzieś w innej galaktyce. Przecież on mnie w ogóle nie rozumie. Zabrałam kubek z kawą i ruszyłam do małego pokoju. Poczekam, aż pójdzie sobie w czorty. Niedługo później drzwi wejściowe zamknęły się z trzaskiem. Głośniejszym niż zazwyczaj.

- Tak, wywal z futryny - mruknęłam sama do siebie. Wyjrzałam przez otwarte na oścież okno. Chyba muszę sobie kupić jakiegoś zwierza. Michał na przykład, a propos, drałował gdzieś ze swoim potworkiem. Ma z kim, czy raczej z czym, spacerować, ma do kogo usta otworzyć. I, co najcudowniejsze, to coś wcale mu nie odpowiada, ino się łąsi i okazuje różne dowody wdzięczności za, dajmy na to, michę z jedzeniem. Tak maluczko. A ten mój Łukasz... Boże kochany, nieubłaganie zbliża się chwila, kiedy to mamy przysiąc sobie miłość, wierność i uczciwość małżeńską. I to aż do śmierci. Co się z nami tak właściwie dzieje? Nie rozmawiamy prawie ze sobą. Fakt, nie ma na to zbyt wiele czasu, ale wieczory? Wieczory każde z nas spędza w swoim świecie. Ja po uszy zakopana w książkach albo w laptopie, on tkwi w całości w telewizorze albo w projektach.

Zawieruszyło się chyba nasze uskrzydlające uczucie, a może leży gdzieś jeszcze w kącie i czeka na lepsze czasy? Pytanie tylko, czy takie nadejdą, czy czasami coś nam nie przepadło bezpowrotnie.

W tramwaju przyglądałam się ludziom.

Większość zaobrączkowana, ale jakaś taka zadufana, zamknięta i na pewno nietryskająca radością życia. O ta, zawsze radosna. Pani od Czesia energicznie machała mi z drugiego końca wagonu. Odmachałam impulsywnie. Serdeczność tak chyba zawsze działa, wzbudza odruchy niekontrolowane rozumem.

Łukasz tego nigdy nie pojmie. U niego wszystko musi być racjonalne aż do bólu. Dosyć. Od samego rana, a prawdę powiedziawszy, już od wczoraj, wyszukuję różnice. Bez przesady. W tym, co powiedziałam Michałowi o stresie przedmałżeńskim, musiało jednak tkwić maluczkie ziarenko prawdy. No bo jak wytłumaczyć fakt, że wcześniej mi się to nie zdarzało? Złapałam się na bezwiednym wzruszaniu ramion i grymasach twarzy. Jakieś dziecię ciekawie mi się przyglądało, więc utkwiałam spojrzenie w słonecznych ulicach za oknem, uprzednio doprowadziwszy twarz do jako takiego porządku.

Piątek to zawsze gorący dzień w pracy. Chciał nie chciał, musiałam rozterki przedmałżeńskie odłożyć na później. Moje biurko zaśmiecała sterta papierzysek, a - o zgrozo - drzwi do gabinetu Pana Tadeusza były otwarte na oścież. Spojrzałam na zegarek. Do dziesiątej brakowało jeszcze dwudziestu minut, więc o moim spóźnieniu nie mogło być mowy. Energia najwyraźniej rozpierała dowództwo od samego rana, bo kartki furkotały, a segregatory i słuchawki stukały, z łomotem odkładane na swoje, chociaż niekoniecznie, miejsce. Pan Tadeusz wystawił kudłatą głowę, gdy tylko weszłam. Telepatia czy co?

- O jesteś już, Miru - skonstatował z zadowoleniem, zerkając na zegar. - Tak wcześnie do pracy? Zajrzyj do mnie, jak już się uporasz z tym tutaj - wskazał na moje włosy.

- Dzień dobry - zdążyłam tylko powiedzieć do jego drobniotkich pleców.

- Dobry, dobry, zwłaszcza że ostatni w tym tygodniu - dobiegło mnie już zza drzwi. - Ha, ha, ha!!!

Co w niego dzisiaj wstąpiło? Poczułam się trochę niepewnie, bo bać się tradycyjnie nachmurzonego i rozłatanego Tadeusza, to jedno, do tego się człek już przyzwyczał, ale taki podejrzanie radosny... Nie wiadomo, czego się spodziewać. Nie zwracając więc sobie głowy kawa, zasiadłam do biurka. I bardzo słusznie, bo najwyższy krzątał się jeszcze tu i ówdzie przez kilka minut, po czym, życząc wszystkim udanego weekendu, niepomny wydanych poleceń, ulotnił się bez zbędnych ceregieli.

Zakochany czy jak? Ze spokojnym sumieniem odłożyłam cholerne stosy papierzysk i ruszyłam do kuchni. Nie dane mi było jednak dojść dalej niż do drzwi. Wpakowałam się centralnie na wielgachny bukiet kwiatów.

- Szam - dobiegło mnie zza kupy zielska. Szam, szam, zęby sobie wybiję, a wtedy żadne „szam” cię nie uratuje, kimkolwiek jesteś. Sapnęłam ze złości, próbując przez gałązki i okazałe głowy gerber, dostrzec głowę właściciela. A dojrzawszy, cofnęłam się parę kroków, wpadając tyłkiem na biurko.

- Oszalałeś czy co? - zapytałam, dyskretnie rozglądając się po korytarzu. Informacja o wyjściu Tadeusza jeszcze nie dotarła za daleko, bo panowały cisza i spokój. Prawie jak pod okiem nadzorcy.

- Cześć - sapnął cicho Sebastian. - Przywitaj mnie jakoś entuzjastycznie, bo słyszę stukot obcasów. Nie pytaj, skąd wiem, że to Jolka.

- Oj, kochany jesteś, nie trzeba było!!! - wrzasnęłam na konto obcasów.

Sebastian parsknął. Odwrócił się ostentacyjnie w stronę korytarza i niewiele ciszej odpowiedział:

- Dla ciebie wszystko, słoneczko.

- Właż! - Spojrzałam na niego. - Ciii, słyszysz?

- Co słyszę? - nadstawił ucha. - Niczego nie słyszę.

- No właśnie - szepnęłam. - Nic chwilowo nie stuka. Zakład, że zaraz się tu zmaterializuje?

Miałam rację. Nie minęła minuta, a w drzwiach ukazała się seksownie odziana w czerwienie postać Jolanty. Zastała nas w pozie zostawiającej już niewiele pola wyobraźni - Sebastian siedział na moim biurku, a ja wdzięcznie pochylona patrzyłam mu prosto w oczy, machając przy tym rękami jak szalona. Starłam się z całej siły nie wybuchnąć śmiechem i kontrolować wyraz twarzy. Widziałam, że Sebastian nieudolnie stara się o to samo.

Jolka stanęła jak wryta.

- To tak się sprawy mają - sapnęła ze złością. - Cicha woda, narzeczony. Więcej proszę mi nie opowiadać podobnych banialuków.

- Dzień dobry, Joleczko! - Z ulgą oderwałam wzrok od oddalonej zaledwie kilka centymetrów twarzy Sebastiana.

- Dobry? Komu dobry? Gdzie Tadzio? - warknęła.

- Wyszedł. I najprawdopodobniej już nie wróci. Znaczący, wróci dopiero w poniedziałek. Weekend się już zaczął... - Nie zdążyłam dokończyć, bo Jola wyparowała w błyskawicznym tempie.

Spojrzelśmy na siebie i niczym para spiskowców ryknęliśmy gromkim śmiechem.

- Przestań, bo pękne - sapnęłam, trzymając się za brzuch.

I nagle, tak samo gwałtownie jak wybuchł śmiech, zaległa cisza. Sebastian chrząknął.

- Tak, jeszcze nie miałem okazji ci podziękować...

- Daj spokój, tylko co z tym - machnęłam ręką w kierunku imponującego bukietu - przecież nie będę się dokładać.

- A kto ci każe? To mój interes, nie przejmuj się. Poza tym lubię kwiaty - oznajmił niespodziewanie, przebierając palcami po płatkach gerber. - A tu ich ewidentnie brak. Przynieść ci kawy?

- Nie, pójdę sama - ruszyłam z westchnieniem. - Czy to aby nie była zbyt pochopnie podjęta decyzja...

- Co? Farsa?

- Ha, tak. Bo ja, widzisz, z natury jestem obrzydliwie prawdomówna.

Oczywiście. W kuchni zapadła wiele mówiąca cisza, gdy tylko przekroczyliśmy próg. Niby udają zajętych parzeniem kawy, rozwijaniem setek tysięcy kanapek z upartych folii, ale jednocześnie poczułam się bombardowana. Jolka jawnie rzucała we mnie spojrzeniami o mocy zdolnej obalić z kolan rosnącego chłopca. Więc ja, drobna istotka jakby nie było, osunęłam się wdzięcznie w ramiona stojącego z tyłu Sebastiana. Dolanie oliwy do ognia, tak to się właśnie nazywa. Ten z kolei objął mnie bardzo zgrabnie, czego już biednej Joli, bo w tej chwili autentycznie jej pożałowałam, w zupełności wystarczyło. Wskoczyła z kuchni jak oparzona, upuszczając kubek z gorącą kawą. Może to i zamierzone było, żeby oparzyć jeszcze kogoś? Najlepiej mnie. Cholera ją wie, w każdym razie po chwili temperatura w pomieszczeniu zdecydowanie wzrosła. Zaczęło się chłopskie poklepywanie po plecach i porozumiewawcze spojrzenia. Jakby co najmniej gratulowali Sebastianowi potomka.

- Mira, a tobie rozum do reszty odebrało???

- Też się cieszę, że cię widzę - odcięłam się Agnieszce. Kilka minut po południu pojawiła się w moim pokoju.

- Zerwałaś zaręczyny z Łukaszem??? - darła się nieprzerwanie.

- Zamilcz, wejdź jak człowiek i zamknij za sobą drzwi - nakazałam. Coś w moim głosie widocznie dało jej do myślenia, bo faktycznie zastygła na chwilę z protestem na ustach, po czym trzasnęła drzwiami i stanęła przede mną, podpierając się pod boki.

- No?

- Co no? - wzruszyłam ramionami.

- Gadaj, do jasnej cholery, co tu się dzieje? Albo ludzie nie wiedzą już, co wymyślać, albo masz kwiecisty romans z Sebastianem, tak?

- Nie - ucięłam krótko. Prawdę powiedziawszy, miałam już serdecznie dosyć tej całej komedii, a przecież dopiero się zaczęła. Spojrzałam na zegarek i na równy stosik papierów na biurku. Na dobrą sprawę wszystko pozałatwiałam, Tadeusza nie ma, niczego mi nie dorzuci...

- Co to w ogóle za określenie, kwiecisty - mruknęłam do siebie. - Kwiecista może być mowa, bukiet, jak nie przymierzając ten tutaj, też może być kwiecisty... Nie, bukiet kwiatów nie może być kwiecisty, bo to jak masło maś...

- Mira!!! - Spojrzałam na Agę, już niewiele brakowało, a zaczęłyby toczyć pianę. He, he.

- A tak. Pozałatwiałam tutaj już wszystko. Może na piwko skoczymy? Wcześniej trochę się stąd wyrwę, tylko Sebolowi szepnę. A romans, kochana, zdaje się nie może być kwiecisty. Mowa tak, ale nie romans - sprostowałam po dogłębnych analizach.

Agnieszka zdębiała do reszty i nie odezwała się do mnie ani słowem, dopóki nie łyknęła solidnie zimnego piwa i nie zaciągnęła się papierosem.

- Dowiem się wreszcie?

- Oj, no cyrk odstawiamy z Sebastianem.

- Jaki znowu cyrk??? Marek mówił mi wyraźnie, że chodźcie za rączkę po całym biurze i gruchacie do siebie tak słodko, że go obrzydzenie bierze. To był cytat. Więc nie pleć mi o cyrku...

- A dasz mi powiedzieć wszystko po kolei, od początku do końca? - zatrzymałam kolejne pytania.

Z każdą minutą oczy robiły jej się coraz większe, a gdy dobrnęłam do końca opowieści, broda Agnieszki niemal stykała się ze stołem.

- Strzepnij popiół - poradziłam ze stoickim spokojem.

- Ty nie jesteś, Mira, normalna - wydukała wreszcie. - Masz narzeczonego, masz w miarę ustabilizowane życie, po kiego grzyba płatać ci się w nie wiadomo jakie historie?

- Ale jakie, Aguniu, jakie? Pomagam tylko koledze z pracy.

- Szczęście, a wiadomo, jak to się może skończyć? Westchnęłam ciężko, a ona uniosła ręce w geście poddania.

- OK, twoja sprawa. Rób sobie, jak chcesz. Tylko uważaj, bo mnie takie sprawy zazwyczaj śmierdzą na odległość. I to paskudnie. - Spojrzała w opróżniony do połowy kufel i nieoczekiwanie wybuchnęła śmiechem. - I dobrze jej tak. Heterze jednej. A co tam u przyszłego małżeństwa słyhać?

- Hm, hm, u nas? - spojrzałam pytająco. - No, jakby to powiedzieć, bierzemy się na przetrzymanie.

Streściłam jej pokrótce historię lekko zwęglonych skarpetek i mojej w tym roli.

- Myślisz, że odniesie skutek?

- Nie wiem - wzruszyłam ramionami. - Ale się dowiem.

Dowiedziałam się, rzecz jasna, od razu po powrocie do domu. Wprawdzie szlaczki na szafkach zmieniły się w ciemne smugi - nie podejrzewałam, żeby samoistnie - ale na tym ingerencja ludzkiej ręki poprzestała. Sapnęłam kilka razy donośnie i ruszyłam do swojego, podkreślam, swojego pokoju.

Bo od dzisiejszego dnia miał on być li i jedynie mój. Żadna obca noga w nim nie postanie. Wpojono mi bardzo głęboko zamiłowanie do porządku, więc muszę sobie zagospodarować jeden kąt. Na resztę trzeba będzie przymrużyć, jeżeli nie zamknąć, oczy. Westchnęłam.

Łukasz przytelepał się kilka minut po mnie. Jakby echo, rozległo się donośne westchnięcie. Po chwili zajrzał do mnie.

- Na obiad mam nie liczyć...

- Wróciłam przed sekundą...

- Twoja mama dzwoniła, kategorycznie zażądała rozmowy z tobą. I wiesz - spojrzał na mnie taksująco - jeżeli staniesz się za kilka lat do niej podobna...

Brawo, panie idealny, brawissimo, szlag najjaśniejszy niech cię trafi razem z twoimi opiniami i guzik wartymi prorocत्वami. Oczywiście, nie powiedziałam ani słowa z tego, co mi się na usta cisnęło. A szkoda. Mogłabym dać sobie wreszcie spokój z filtrowaniem wszystkiego, co mi przyjdzie do głowy.

Ludzie patrzą sobie prosto w oczy i mówią słodkim tonem najczystsze kłamstwa, hipokryzja leje się nieprzerwanym potokiem, wartko, przyjemnie i bezboleśnie. Czyżbym więc była hipokrytką i kłamcą? Kłamcą to może zbyt wiele. Obłudnicą. Ha. I to niby dlaczego? Bo staram się nie urazić tego mniej cywilizowanego człowieka wpatrującego się teraz we mnie znad wybijającego zarostu? Mniej, bo on nie miał żadnych skrupułów, żeby wbić mi szpilę. Małą, bo małą, ale nie zmienia to faktu, że kłującą.

- Czy ty wiesz, jak zachowują się cywilizowani ludzie? - walnęłam raczej do swoich myśli niż do czekającego na odwet narzeczonego.

- Na pewno ich mieszkania nie zalega tygodniowy kurz - odparował prawie bez namysłu.

Dlaczego mnie nigdy takie celne riposty nie przychodzą na zawołanie do głowy? Oświecenie przychodzi z kilku albo kilkunastogodzinnym opóźnieniem. W takich sytuacjach pozostaje tylko jedno. Dumnie unieść głowę i iść precz, gdzie oczy poniosą. Żadne z nas nie powiedziało słowa więcej. I tak już wystarczy. Przynajmniej dla mnie. Nie mam najmniejszej ochoty wysłuchiwać jego uszczypliwości, a najwyraźniej na to był dzisiejszego popołudnia nastawiony. Wystawiłam twarz do słońca i odetchnęłam głęboko. Czyżby tak miało wyglądać moje życie już po sam kres? Nie chcę. Zdecydowanie nie. Chcę, żeby było pięknie, romantycznie, słodko i w ogóle. Parsknęłam głośnym śmiechem do swojej głupoty, nieco rozpaczliwym trzeba przyznać. Jakieś małe, kudłate stworzonko przypałało mi się pod nogi i poczęło bezwstydnie łąsić. Ładne, puchate i takie cholernie ufne. Przykucnęłam i niepomma odwiecznych rad rodzicielki zaczęłam głaskać psinę. Psina natomiast, jak na zawołanie, przewróciła się na plecy i wystawiła pękaty brzusek do drapania. Uśmiechnęłam się pod nosem. Oj, nieboraku, tyle w tobie ufności, że czasami możesz z nią niedaleko dojechać. Wystarczyłoby, gdybyś trafił na jakiegoś znerwicowanego młodziana i już po tobie. A może wcale byś do niego nie podszedł? Na rozważaniach typu zaufanie, czułość, wyrozumiałość i innych mniej lub bardziej realnych zszedł mi cały wieczorny spacer. Rozpaczliwie rozglądałam się za Michałem, bo rozważania to jedno, a skonsultowanie ich z kimkolwiek to zdecydowanie drugie. Poprzestać musiałam na mruczeniu pod nosem i powrocie do domu, w stanie nieznacznie tylko odmienionym. Nic na to nie poradzę. Jedyne znany mi sposób na poprawę nastroju to wyrzucenie z siebie wszelkich smutków i rozterek. Dobrze byłoby jeszcze znaleźć wdzięcznego słuchacza.

Po powrocie mieszkanie zastałam rzęsiście oświetlone, a po chwili między kuchnią a dużym pokojem przeleciała z furkotem odkurzacza jakaś mała postać. Jeżeli alarmowy dzwonek w mojej głowie tylko delikatnie zabrzączał na zapalone wszędzie światła, to teraz rozdzwonił się wściekle. Po pierwsze, ta postać nie była zdecydowanie kalibru Łukasza, po drugie, poleciała z odkurzaczem! A on przecież nigdy jeszcze nie trzymał w rękach odkurzacza! Przez chwilę zaświtała mi szalona myśl, że najprawdopodobniej pomyliłam mieszkania, ale jeden rzut oka na zabałaganiony przedpokój - tu jeszcze zjawa z odkurzaczem najwyraźniej nie dotarła - wystarczył, żeby wyprowadzić mnie z błędu. Ruszyłam do kuchni i o mały włos nie zostałam staranowana w drzwiach. Zjawa okazała się niewielką kobietką o króciutko ściętych włosach. Tyle tylko zdążyłam zarejestrować, gdy minęła mnie w przelocie. Łukasza znalazłam w swoim pokoju.

- Co to ma znaczyć? - zapytałam.

- Sprzątam, jeśli o to ci chodzi - uśmiechnął się szyderczo, wskazując przymknięte drzwi.

- Nie rozumiem.

- Oj, kochanie, wszystko muszę ci tak dokładnie tłumaczyć. Zaczęło brakować kubków, to po pierwsze, podobnie moich czystych koszul...

- Czy ona robi pranie???!!!

- A kto miał zrobić? Poza tym doszedłem do wniosku, że mam uczulenie na kurz.

Nie, nie dam się wyprowadzić z równowagi. Bez słowa ruszyłam po telefon. Oczywiście, szansa na to, że porozmawiam sobie spokojnie w dużym pokoju równała się raczej zeru. Tam szalał istny tajfun. Dodać trzeba, że ten tajfun miał całkiem zgrabnie uformowany tyłek i na domiar złego eksponował swe wdzięki, zakładając króciutkie szorty i koszulkę niesięgającą pępka. Przystanąłam na chwilę,

przyglądając się jej bezwstydnie. Skąd on wytrzasnął tę dziewczynę? Czyżby... Kolejna myśl właściwie zbiła mnie z nóg.

Ona była młodziutka. Młoda. Baaardzo młoda. Bardzo energiczna. Jasna cholera, kobieto, otrząśnij się, tak jakbyś t y b y ł a stara. Wyniosłam się cichcem, choć zupełnie niepotrzebnie, bo przez słuchawki, zdaje się MP3, dobiegały mnie wyraźnie dźwięki techno.

Zadzwonię do mamy, muszę. Jasna cholera by to wzięła, ale muszę też stanąć na rżęsach i zachowywać pozory normalności. Najlepiej, żeby połała się w kierunku rodzinnych stron długa i szeroka rzeka ciepłych, spokojnych słów. Zmełłam przekleństwo w ustach i wystukałam numer do domu, jednocześnie wyganiając Łukasza z mojego fotela.

- Halouu? - Mama bardzo charakterystycznie odbierała telefon. Czasami odnosiłam niejasne wrażenie, że korzenie tego typu zachowań sięgały epoki, kiedy to telewizję polską opanowały seriale ciągutkowe, a zwłaszcza pewien opisujący losy przebogatej rodziny. Mama nawet postarała się o fryzurę do złudzenia przypominającą uczesanie jednej z bohaterek. Oczywiście białego charakteru.

- Cześć, mamuniu - zaświergotałam radośnie.

- No tak. Żeby porozmawiać z własną córką, trzeba ponadtygodniowego wyprzedzenia. Dlaczego ciebie w ogóle w domu nie można zastać? Gdzie ty się całymi dniami podziewasz? Hę?

- Pracuję, a wieczorkami siedzę sobie u sąsiadki, przyjaciółki, mówiłam ci o niej - paplałam dalej.

- Zamiast siedzieć w domu, narzeczonemu obiady gotować. On biedny tak ciężko pracuje.

- Mamuś, ja też ciężko pracuję...

- No to pracuj lżej. Oboje na tym skorzystacie. I w mieszkaniu będzie od razu inna atmosfera. Ale o czym to ja

chciałam... Ach, kochanie, czekamy jutro na was. Na obiad przyjeżdżacie. Z Łukaszkiem już rozmawiałam, mówił mi, że nie ma niczego w planach. Ty też mam nadzieję. Już ciasto nawet wstawiłam. Kokosowe. To pa, słoneczko, pa, pa. Do jutra.

- Pa - powiedziałam, gdy po drugiej stronie przebrzmiewał już kolejny sygnał. Odkładając słuchawkę, zdałam sobie sprawę, że palce mi zdrętwiały. Nieznacznie, bo nieznacznie, ale zawsze.

Do pokoju zajrzała zarumieniona wdzięcznie twarz.

- Łukaszku, skończyłam chyba. Zostało jeszcze pranie rozwiesić, ale - spojrzała na mnie znacząco - może to już ktoś inny zrobi? Bo ja się strasznie spieszę. To jak?

- Leć, Ewa, poradzimy sobie. - Łukasz już grzebał w kieszeniach w poszukiwaniu portfela. - Odezwę się.

- To pa. Do widzenia - rzuciła w naszym kierunku.

- Do widzenia i dziękuję bardzo - zdobyłam się na heroiczny wysiłek i wykrzesalam z siebie uśmiech.

Po czym ruszyłam do łazienki. W pralce zdaje się nie było ani jednej mojej rzeczy, o tyle o ile można było zobaczyć przez okrągły otwór. I bardzo dobrze. Kuchnia lśniła i tak na dobrą sprawę nie mogłam się zdecydować, czy jestem zadowolona z tego porządku, który przecież nie był moim udziałem, czy raczej niekoniecznie. Ale kubeczki stały na suszarce tak jak powinny, równiutko w rzędzie. Poszłam za przykładem Ewy i odcięłam się od świata przy wtórze wdzięcznego głosu pani Chapman. Zakrzętałam się nawet przy lodówce. O, jakaś kiełbasina leży, może nieśmiertelne spaghetti zrobić? A w czasie prac fizycznych najlepiej się myśli, więc pomyślimy. Na złość już chyba zabrakło miejsca. Albo nieoczekiwanie wyparowała, albo nie wiem właściwie co, ale raczej nie zamierzałam pędzić w jej poszukiwaniu.

- If I'm right, If I can be... - Tak sobie właśnie zaczęłam śpiewać do wtóru Tracy i wcale nie cicho.

Wynaleziono urządzenie odcinające fonię, ale niezmierna szkoda, że tylko to. W drzwiach stał Łukasz i gestem pokazywał uszy. Przez chwilę się zastanawiałam, czy chodzi o dźwięki, które z siebie wydaję, a które z pewnością ranią jego subtelne ucho, czy raczej o to, że ma mi coś do zakomunikowania. Chodziło o to drugie, ewidentnie świadczyły o tym komiczne gesty, jakie wykonywał w pobliżu swoich wydatnych małżowin. Przez chwilę korciło mnie, żeby przedłużyć widowisko, ale szlachetna Mira znowuż zwyciężyła i litościwie pstryknęłam walkmana.

- Słucham?

- Zadowolona?

- Z czego?

- No chociażby z kuchni.

- Zawsze byłam. - Wzruszyłam ramionami, wracając do krojenia kiełbasy.

- Wiesz, o czym mówię.

- Łukasz, jeszcze mi nie przeszło, więc z łaski swojej poinformuj mnie, o której jutro wyjeżdżamy, i oddal się. Najlepiej stosunkowo szybko. - Machnęłam nożem w nieokreślonym kierunku.

- Mira, proponuję zawieszenie broni. I powinnaś to docenić, w końcu ponosisz za wszystko mniej więcej taką samą winę jak ja.

- Wiesz co? Ja po prostu już od rana będę gotowa. - Po czym założyłam z powrotem słuchawki na uszy.

Sobota

A o praniu oczywiście zapomniał. Rano dobiegły mnie tylko głośne sapanie i ostre przekleństwa. Jako że ciągle byłam raczej w nastroju antyłukszowym, poleciałam czym prędzej szacować straty.

Z piekielnym uśmiechem satysfakcji na ustach, z szatańskim chichotem w duszy, trzeba dodać. Oparłam się o framugę drzwi i oddałam obserwacji. Tymczasem Łukasz zdążył wyjąć już... Już?! Dwie koszulki, w stanie opłakanym, i kilka swoich slpek jeszcze do odratowania. Spodnie okazały się nie lada wyzwaniem, bo jedna nogawka utknęła gdzieś w otchłaniach pralki i za cholere nie chciała wyleźć. Łukaszowi okulary zjechały na czubek nosa i nie pomagało poprawianie ich co sekunda, bo spocił się już okrutnie. No tak, ciężka praca. Do takiej nie przywykłeś, jedyny.

- Dzień dobry - zaznaczyłam swoją obecność.

- Pomóż mi z tymi pieprzonymi spodniami, bo w cholere coś zaraz wyrwę.

- Proszę bardzo. - Po krótkich zabiegach podałam mu piękne onegdaj firmówki.

- Ty wiedziałaś, że zapomnę. Zrobiłaś to z premedytacją - sarknęła. - Przecież to do niczego się teraz nie nadaje. Lwią część moich ciuchów diabli wzięli.

Złapał pierwszą z brzegu koszulkę i wyciągnął w moją stronę. - I co ja niby mam z tym teraz zrobić??? Pytam?!

- Hm, może zadzwoń do Ewy? - podsunęłam mu chytrze.

- Tak swoją drogą, jestem z ciebie dumna. Wiedziałaś, jak się otwiera pralkę.

Nie pomogłam mu w poszukiwaniach kompletnej garderoby. Zapakowałam się w zacisze swojego pokoju i paliłam sobie spokojnie dopóty, dopóki nie usłyszałam donośnego wrzasku:

- I co?! Długo mam na ciebie jeszcze czekać?!

Słodycz, miód, malina i balsam na znękaną duszę ten jego pseudobarytonik. Zwłaszcza gdy wykrzykuje podobne przyjemności. Zacięłam się w sobie i minęłam go w drzwiach bez słowa. Bez słowa też zaczęłam grzebać w czeluściach przepastnej torby w poszukiwaniu kluczy.

- Może teraz masz zamiar całą drogę jechać obrażona??? - Łukasz nie dawał za wygraną. Obrał sobie widocznie za cel nadrzędny doprowadzić i mnie dzisiejszego dnia do stanu wrzenia. - Tak??? Odpowiesz mi z łaski swojej? Przez twoje zachciewajki, przez ten twój cały feminizm diabli wzięli moje wszystkie ciuchy.

- Szowinista - rzuciłam przez zęby i tym samym wszelkie szanse na zawarcie rozejmu pierzchły bezpowrotnie.

- Sama sobie jedź do tej swojej mamusi - wypalił wreszcie, ale zreflektował się w tej samej chwili, bo zawróciłam na pięcie w kierunku domu.

- Oj, Mira, poczekaj, no gdzie idziesz, ja tak tylko...

- Więc, z łaski swojej, proszę cię na przyszłość używaj rozumu, mózgu czy co tam u ciebie odpowiada za myślenie.

Podparłam się pod boki i spojrzałam na niego. W takich chwilach przeklinam swój wzrost, bo chociaż nie miałabym najmniejszej ochoty górować nad Łukaszem, to jednak byłoby przyjemnie raz na jakiś czas spojrzeć na niego właśnie nie inaczej jak z góry. Dobięło mnie znajome szczekanie i za chwilę ciepły głos:

- Cześć, Miruś. Dzień dobry.

Miruś, Miruś!!! Do jasnej, niespodziewanej cholery. Mój narzeczony wyzywa mnie od wstrętnych feministek, a obcy człowiek pieszczotliwie się wita. Oczywiście paskudną myśl, że wita się tak, a nie inaczej, bo właśnie jest obcy, odsunęłam czym prędzej od siebie. Liczył się w danym momencie fakt. A fakt zaistniał. Nieświadomie podniosłam palec, po czym na

widok zdziwionej miny obu mężczyzn opuściłam go czym prędzej i już całkiem świadomie.

- No cześć, Michale.

- Dobry.

Dokonałam wreszcie nieuniknionej prezentacji, machnęłam na małe bydlę ręką i ruszyłam w stronę samochodu.

- Mira, przecież to nienormalne. Wy się w cholere pozabijacie, zanim przysięga małżeńska zdąży przebrzmieć. - Adam zaobserwował co nieco, pociągnął mnie za język i teraz pukał się zawzięcie w czoło. - Ty się zastanów, co robisz. Kiedyś nawet był taki film, tylko że oni zdaje się byli już dobrych paręnaście lat po ślubie...

- „Wojna państwa Rose”. Co niby robię? - Odepchnęłam się mocno nogami i rozbijałam tatusiową huśtawkę.

- Krzywdę sobie robisz, jemu też, przecież to porządny chłopina.

- Widocznie nie dla mnie... Porządnemu chłopinie zdaje się na niczym nie zależy, chociaż, nie, nie powiem, są chwile, kiedy potrafimy się dogadać, ale jest ich tak strasznie mało, dużo mniej niż tych, kiedy to odziani w przyłbice startujemy do siebie i kruszymy kopie, o co się tylko da...

- No to niedobrze. Tyle to i ja wiem.

Ulę trzeba było siłą wyciągać z domu, gdyż sprawiała wrażenie idącej nie na ścięcie włosów, a wręcz całej głowy.

- Nie, Mira, szkoda czasu, zadzwonię po...

- Nie będziesz dzwonić po żadną panią Anię, pójdiesz do normalnego fryzjera...

- Ale ona jest normalną fryzjerką, tyle że z dostawą do domu - zdążyła wtrącić, nie ruszając się z miejsca.

- Ulka, nie denerwuj mnie. Masz dziesięć minut. Jeżeli się nie przebierzesz, to cię wyciągnę w tym czerwonym dresiku. -

Zerknęłam ostentacyjnie na zegarek, po czym wypchnęłam ją z kuchni.

- Ciocia!!! - Staś zmaterializował się przy moich kolanach i dał wyraz swoim uczuciom, cmokając mnie w udo. Po czym wpatrując się w to udo, a precyzując, w zakończenie uda, z wielkim marsem na czole zapytał: - Ciociu, a ty też jesteś dziewczyną, prawda...?

- Prawda, a dlaczego...

- Niczego, niczego. - Paweł pojawił się nagle znikąd i kategoriycznym gestem wręczył potomkowi wściekle czerwony traktor. - Do pokoju, marsz!

- Ale ja tu sobie z ciocią rozmawiam - próbował oponować czterolatek.

- Porozmawiasz kiedy indziej. Żegnam!

- No co? - zainteresowałam się.

- Hm, no dziecko teraz na etapie wychwytywania różnic między płcią piękną a brzydką. Niewykluczone, że chciałby zajrzeć ci w spodnie, żeby sprawdzić, czy jesteś... Czekał, jak to on mówi - Paweł podrapał się w głowę - wybrakowana. O! W ogóle teraz w nim pełno podziwu dla ludzkiej anatomii...

- Stopa, stopa, niech żyje, żyje nam... Nieeeech żyjjjyjeeee naaaaaaam... - Dobiegł nas z pokoju czyściutki głosik Stasia.

Rozumiem.

Zdążyłyśmy, całkiem nawet na czas, chociaż moja najdroższa przyjaciółka przez całą drogę robiła wszystko, żeby zmienić wypad do fryzjera na wypad do pobliskiego sklepu spożywczego. Bo akurat, Mira, mam ochotę na niedzielę zrobić ciasteczka serowe. .. Nie dałam się.

- Ciebie, Mira, nawet nie tknę. - Alina, niekwestionowana mistrzyni nożyczek i czarodziejka w jednym, za każdym razem, gdy zawitałam w jej magiczne progi, uparcie

odmawiała ścięcia moich loków. - Chyba że... Wycieniujemy trochę, no i kolor jakby się wyprał.

- Ano jakby, ale ja tu tak przy okazji. - Cierpliwie czekałam, aż Alina dokona przeglądu mojej fryzury, po czym wypchnęłam przed siebie wielce skonsternowaną Ulę.

- Aaa, witam. Proszę bardzo, proszę siadać, a tobą - rzuciła w moim kierunku - tobą Becia się zajmie.

Pozwoliłam więc, by Becia, po uprzednim zaparzeniu nam kawy, poddała moje włosy niezbędnym zabiegom upiększającym, jednocześnie obserwując zrezygnowaną Ulę.

- Co robimy? - Alina wzięła się pod boki i lustrowała ją.

- Pojęcia nie mam. Niech pani robi, co chce, mnie już wszystko jedno.

- Na pewno? - Fryzjerce zabłyśły oczy. - Na pewno? Może być na krótko?

- Może - Ula machnęła ręką. - Proszę ciąć, zanim się rozmyślę i dam dyla.

Ścięła więc, a właściwie wyczarowała zupełnie nową Uleńkę.

Młodsza o jakieś dziesięć lat. Uwydatniła jej śliczny kształt twarzy, kości policzkowe i w magiczny sposób powiększyła oczy do nadnaturalnych rozmiarów.

Wszystkie cztery, plus cała klientela salonu, wpatrywałyśmy się w Ulę z zachwytem.

Dosłownie.

A i ona, patrząc na cudowną metamorfozę, zaczęła się uśmiechać. Wyprostowała się nieznacznie, przechylając głowę kokieteryjnie do przodu.

- Pani Alino - szepnęła z wdzięcznością - pani jest wróżką, a ja... ja jestem... piękna.

Ciasteczka serowe nabyłyśmy w osiedlowej garmażerii za całe pięć pięćdziesiąt.

Poniedziałek

Niedobrze się zaczął, bo od niewiarygodnej gonitwy.

Najpierw udało mi się definitywnie wyłączyć budzik. Standardowa „drzemka”, swoją drogą genialny wynalazek, zawsze można sobie uszczknąć choćby kilka minut dodatkowego snu, nie została uruchomiona, bo paluchem potraktowałam nie ten klawisz w telefonie, który powinnam. Człęk zaspany za siebie nie odpowiada. Aczkolwiek później obiecałam sobie solennie, że zainwestuję w ogromny budzik - taki z brzęczykiem i dzwoneczkiem, i całą masą różnych skutecznych bajerów. Bardziej skutecznych i dużo głośniejszych od mojej poczciwej nokii.

Biegaliśmy jedno za drugim, bez ładu i składu, po całym mieszkaniu. Codzienne rytuały wzięły w łeb, bo najzwyczajniej w świecie nie było kiedy usiąść z ciepłą kawą i przy otwartym oknie spokojnie zapalić papierosa.

- A kto to ciebie odwoził? Zdaje się, że Sebastian siedzi już u siebie? - na dzień dobry z jolczynych usteczek wysączył się jad.

- Kolega - sapnęłam, próbując wyminąć ją w drzwiach i dotrzeć wreszcie do siebie. Skutecznie jednak zatarasowała całe przejście, stając w szerokim rozkroku i opierając się jedną ręką o framugę.

- Kolega? Sympatycznie traktujesz tego kolegę. Widziałam wszystko! - rzuciła oskarżycielsko, wbijając mi palec w dekolt. Nie pozostało mi nic innego, jak spojrzeć wreszcie do góry, znokautować ją przynajmniej wzrokiem, bo na potyczki słowne jakoś nie miałam ani siły, ani ochoty. Do oczu jednak nie dotarłam, bo wzrok zatrzymał mi się całkiem bezwiednie na jej ustach.

Coś z nimi było nie tak. Wyglądały, jakby ktoś, możliwe, że sama właścicielka, potraktował je bardzo brutalnie. Opuchnięte jakieś, jakby ze strupkami i na pewno

nienaturalnie duże. Dotarło do mnie, że zbyt wnikliwie jej się przyglądam, bo zamiast tarasować w dalszym ciągu drogę, przestąpiła niepewnie z nogi na nogę.

- No i co tak się przyglądasz?

- Jola... Może to nieładnie tak dopytywać... ale czy ty nie miałaś wypadku? - walnęłam całkiem poważnie i wtedy zaczęły mi się przypominać plany snute podczas wspólnych, jakże dawnych, wypadów na papierosa. Jola dążyła do doskonałości, a pomoc jej miały w tym liczne odwiedziny u kosmetyczek, fryzjerów i lekarzy wstrzykujących, gdzie popadnie, różne substancje o złowieszczo brzmiących nazwach. Dobiegł nas rechot recepcjonistki, a ja jednocześnie mogłam obserwować fantastyczną feerię barw na obliczu zapytanej.

- Ty, ty, ty... ty nawet nie wiesz, co to jest permanentny makijaż - sapnęła wściekła.

- A tak wygląda efekt końcowy? Nie, to chyba sobie nie zafunduję. - Wyminęłam ją wreszcie.

Uch, co za babiszon. Jeżeli cały tydzień ma tak ciekawie wyglądać, to dziękuję, idę na urlop. Albo małe zwolnienie. Od razu zaczęło mnie nawet drapać w gardle, kaszlnęłam sobie jeszcze dla przekonania. Tak, na pewno będę miała chore gardło. Ani chybi podczas sobotniego wyjazdu gdzieś mnie przewiało. Na pewno na huśtawce...

- Mira, jesteś nareszcie! - Drzwi do Tadeusza były otwarte na oścież, a jego kędzierzawa głowa podskakiwała niecierpliwie. Nie żeby sama, z resztą ciała podskakiwała. Nie wróżyło dobrze to, że czekał na mnie w drzwiach swojego gabinetu. To, że uradował się niepomiarnie na mój widok, też raczej nie zapowiadało żadnych przyjemnych niespodzianek. - Zostaw tę torbę i chodź szybko. Mam całą masę korespondencji - nęcił, ściągając mi torbę z ramienia. - W ogóle wszystkiego. Ja nie wiem, ja naprawdę nie wiem, jak

my się mamy wyrobić we dwójkę tylko. No szybciotko, Mira, szybciotko.

Przy czym bezceremonialnie zawrócił mnie w połowie drogi do kuchni.

Nie będziesz, kochana, piła dzisiaj kawy. Pokręciłam głową. Może uda się chociaż polecieć na chwilę na korytarz, do automatu? Wprawdzie brązowawa ciecz wpadająca z głośnym parsaniem i rozbryzgiem do plastikowego kubeczka rozmiaru XXS nie bardzo przypominała ni smakiem, ni wyglądem prawdziwej kawy. Ale jak się nie ma tego, co się lubi, to się lubi, co się ma. Niestety, dwie patyczkowate ręce ciągnęły mnie nadspodziewanie mocno i nie mogło być mowy o jakichkolwiek słowach protestu, tym bardziej że Tadeusz i tak nie dałby dojść do słowa.

O godzinie piętnastej kawa z automatu wydawała mi się szczytem marzeń. Raz w życiu zdarzyło mi się jej spróbować, ale dosłownie czułam ten smak. Wolałam nie myśleć o sypanej, bo była zdecydowanie za daleko. Zbyt długo trwałoby czekanie, aż się woda zagotuje, a automat stał tuż - tuż, za drzwiami prawie. Tadeusz jednak wypluwał z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego najnowszej generacji i denerwował się, jak gubiłam chociaż jedno. Machał rękami, łapał się za głowę i mało brakowało, a zacząłby sobie włosy z głowy rwać. Przyznać mu trzeba jedno. Nie zostawił mnie na pastwę tony papierów, siedział - czy raczej skakał - dzielnie cały czas przy moim boku. Wyszedł tylko raz, na ułamek sekundy, rzucić jakiś segregator na moje biurko. Dopiero przed piątą spojrzął na zegarek, przeczesał palcami kudłate strąki i odetchnął z ulgą.

- No, chyba czas na kawę. Lwią część roboty odwaliliśmy. Mam do ciebie prośbę - mocny akcent na końcu zdania - żebyś przyszła jutro troszkę wcześniej.

- To znaczy? - zapytałam, oczekując najgorszego. I słusznie.

- No tak z godzinkę, ze dwie. - Może prościej będzie wymościć sobie legowisko pod biurkiem? - Aha, na twoim biurku leży ten nasz najnowszy projekt. Trzeba nanieść kilka poprawek.

Zaznaczyłem, gdzie i jak. Ten niebieski segregator. Wydrukować kilka stron i tyle. Niedużo roboty.

- Kiedy?

- Hm, myślę, że powinnaś zdążyć dzisiaj, bo za dwa dni mamy prezentację i wszystko ma być dopięte na ostatni guzik. Już, już biegnij.

Machnął na mnie ręką, jak na uporczywą muchę, i zaczął wrzucać jakieś dokumenty do swojej teczki. Nieomylny znak, że opuszcza plac boju. Idź w cholere, krzyżyk na drogę i inne takie.

Miałam po dziurki w nosie poniedziałku. Małej postaci bezustannie krążącej po biurze i w ogóle wszystkiego. Najpierw kawa, a potem zobaczymy, ile czasu zajmą te poprawki, o których mówił. Dzierżąc kubek w dłoniach, ruszyłam dziarsko na przekopywanie papierów, bo na wierzchu żadnego segregatora nie było.

- Wymęczył cię, co? - Sebastian stał oparty o framugę i pukał w nią rytmicznie moim butem.

- Nie pytaj. - Zerknęłam niepewnie na swoje biedne, wymęczone stópki i zdecydowałam w końcu, że to żadna ujmą spacerować boso.

- Posłuchaj dobrej rady. Za bardzo stajesz na rzęsach, żeby wszystko zrobić na czas i tak no, akuratnie. Zbastuj trochę, daj najwyższemu do zrozumienia, że twoja skromna osoba to za mało na ten tajfun, który naokoło robi.

- Taaaak, mądrze powiedziane, tylko daj mi gwarancję, że nie wylecę z hukiem. A on? Niewykluczone, że dojdzie do

takiego przekonania, jak już uda mu się wykończyć nastą z kolei asystentkę. Boże, no nie mogę tego znaleźć... - Przewracałam w tę i z powrotem papiery, jednak jakby bezskutecznie.

- Czego?

- Segregatora z tym najnowszym projektem.

- A co on niby miałby tutaj robić? Przecież Marek z Wiołką dopieścili go już w czwartek.

- Widocznie nie do końca, bo jakieś kosmetyczne poprawki polecił mi nanieść. Tadeusz. Pozaznaczał, co, gdzie i jak... Tylko że, cholera, nie ma tego zakichanego segregatora! - Powoli zaczynałam wpadać w panikę.

- Spokojnie! - Sebastian wreszcie ruszył się od drzwi. - To nie igła przecież. Jak wyglądał?

- Niebieski, ogromny i nie szukaj, bo go tu nie ma. Po prostu. Kamfora.

- Może ci go nie przyniósł?

- Widziałam przecież. - Wyrwałam mu z ręki mojego sfatygowanego pantofla.

- Mira... Czy tam były też płyty? Ta ostateczna wersja? - Sebastian najwyraźniej zbladł.

- Były... Cała prezentacja. Wszystko, wszyściuteńko.

Usiadłam przy biurku i zaczęłam się zastanawiać, czy osobiste rzeczy spakować już dzisiaj, czy może poczekać, aż łaskawie wydarzy się jakiś cud.

- A gołąbeczki sobie gruchają - dobiegło do nas z korytarza. - Gruchajcie, gruchajcie, hi, hi, hi.

- Dogonię ją jeszcze? - spojrzałam na Sebastiana z rezygnacją w oczach. Ale jego już nie było, no ładnie. Tak to właśnie można liczyć na ludzi. No nic. Miło było, zarobiło się kilka groszy. Chwileczkę, a co ja właściwie miałam z tych kilku zarobionych groszy? Przecież nawet niczego sobie nie kupiłam. Szukając rozpaczliwie dobrych stron całej sytuacji,

znalazłam jedną. Zaoszczędzi się na zakupie, a raczej niezakupie budzika, a co za tym idzie - na własnych nerwach. Bo to zakrawa na masochizm budzić się rano z palpacją serca...

- Mira, to ten segregator? - wyrwał mnie z rozważań głos Sebastiana. Faktycznie, dzierżył w dłoniach to niebieskie cholerstwo. Problem w tym, że bez zawartości. Puściuteńki.

- Gdzie to znalazłeś? - oklapłam zdecydowanie, mało tego jakoś słabo mi się zrobiło. Może by sobie zemdleć...?

- Nie denerwuj się tylko... Hm, no obok niszczarki, w tym pudle, do którego wrzuca się teczki i skoroszyty po mało ważnych papierach.

- Sugerujesz, że zawartość tego segregatora uległa zniszczeniu??? TEGO SEGREGATORA?

- No wiesz, na razie nie ma co wyciągać pochopnych... - Sebastian zrobił zręczny unik przed nadlatującym segregatorem.

- A co ty mi tu będziesz opowiadał o pochopnych wnioskach! Co? Kartki same wyfrunęły??? Ponad sto pięćdziesiąt stron najcenniejszego projektu poszło sobie... gdzie? No gdzie pytam??? A płyty? Co, płyty też ktoś wpakował do niszczarki? I kto Pytam, po co?

- Widziałem Jolkę. Coś tam namiętnie ładowała, ale - podniósł ręce w obronnym geście - nie wiem co.

- No tak... - Padłam na krzesło z donośnym plaśnięciem. Znowu mi się tyłek rozpał czy to krzesło takie nieapetyczne odgłosy wydaje? Tyłek nieważny. Niedługo będzie mniej spasiony, bo paść go nie będzie za co. Wykopią mnie z tego wygodnego krzesła, nie będę już siedziała w tym przyjemnym pokoju, nie będę otwierała codziennie okien, wpuszczała tutaj świeżego powietrza...

- Mira... - dobiegło do mnie.

- Taaa?

- Czy ty czasami nie zamierzasz płakać? - Zajrzał mi w oczy.

- Nie. - Wciągnęłam łzy na wspomnienie o makijażu. - Po co mi było zaczepiać biurową miss. Niechby sobie dalej tkwiła w przeświadczeniu, że najpiękniejsza, najśłodsza i w ogóle.

Na pytające spojrzenie Sebastiana barwnie opisałam dzisiejsze spotkanie z Jolą. Śmiał się przez dłuższą chwilę, a że mnie zdecydowanie do śmiechu nie było, pozwoliłam sobie tylko na towarzyski uśmiech zaledwie półgębkiem.

- A czy ty wiesz, że to może przeze mnie? - stwierdził nagle odkrywczco, podnosząc palec.

- Co znowu?

- Nie byłoby takiej sytuacji, gdyby nie mój świetny pomysł z udawanym związkiem. Tym zalazłaś Jolce za skórę. Że pozwolę sobie na nieskromność. A mnie ciarki przechodzą po plecach... Jeżeli to faktycznie prawda, że to ona z tą niszczarką. No wiesz... To do czego jeszcze może być zdolna? Uch! Mira, wybacz ty mi, kobieto. Mnie nawet do głowy by nie przyszło, że ona tak zupełnie wyzuta ze skrupułów.

- Uspokój się, Sebol. Przyjaciółki bym z niej nie miała, a im szybciej wylazło, jaki ma charakter, tym lepiej. Wiadomo, czego się strzec, chociaż - westchnęłam - ja już chyba nie będę musiała się niczego ani nikogo tutaj strzec. Tadeusz mnie zabije, a następnie wyrzuci na zbity pysk. Projekt, nad którym cała ekipa pracowała w pocie czoła przez lwią część miesiąca, skończył żywot w kilka chwil po położeniu go na moim biurku. Moim Rozumiesz zależność?

- Rozumiem... poczekaj chwilę.

I znowu przepadł. Idź człowieku i nie wracaj. Ostatnim razem nie przyniosłaś zbyt dobrych wieści, teraz pewnikiem nie będzie inaczej. Łaziłam po całym biurze, zaglądałam wszędzie, gdzie się dało. W końcu dałam za wygraną,

wzięłam nareszcie kubek z zimną już kawą i pozwoliłam sobie na luksus zapalenia przy biurku. Mimo iż zakaz obejmował wszystkie pomieszczenia biurowe, wyjąwszy palarnię, łamaliśmy go niejednokrotnie, mając stuprocentową pewność, że nasz najwyższy nie pojawi się już tego dnia. A dzisiaj, chociaż takiej pewności nie miałam, doszłam do wniosku, że i tak moja głowa praktycznie już pod toporem, więc jedno przewinienie więcej...

- Słuchaj, tutaj! - Sebastian wpadł jak burza, wyciągając w dumnym geście stosik płyt. - Tutaj jest nasz cały projekt, resztę mam w poczcie. Przecież oni mi to wszystko poprzesyłali, mamy w częściach. Poskładamy go dzisiaj, przysięgam.

- Oszalałeś - popukałam się w czoło. - Ja nie byłabym w stanie nanieść już dzisiaj poprawek, a - przepraszam - złożyć z tych mikrocześci sensowną całość? Zdaje się wykluczone.

- Dzwon do swojego narzeczonego. Zarywamy noc.

- Hm, hm, hm... I co, dosłownie tak mam mu powiedzieć? - spojrzałam na Sebastiana, mrugając rzęsami jak Jola. Roześmiał się.

- No, kochana, trochę praktyki i pobijesz ją na głowę. Zresztą i tak masz dłuższe rzęsy. Zadzwoń do niego i powiedz, powiedz, no... powiedz prawdę z tym projektem, że będziesz próbowała go złożyć do kupy, z pomocą rzecz jasna kilku jeszcze pracowników. Bo nie będzie chyba zadowolony, jak się dowie, że tylko ze mną... To znaczy nie, że ze mną, tylko że...

- Masz rację, nie byłby - ucięłam.

- No dzwoń, dzwoń, bo czasu szkoda! - Ściągnął mnie bezceremonialnie z krzesła i popchnął w kierunku torebki. Po chwili złapał i przytrzymał za ramiona. Jak kukielkę. No, bardzo przepraszam, czy ja muszę czynnie uczestniczyć w przemyśleniach pana Sebastiana W?

- Czekał, bez sensu...

- No pewnie, że bez sensu - próbowałam oponować.

- Oj, Mira! - zdenerwował się wreszcie. - Ja nie o tym. Jak ci mówię, że damy sobie radę, to damy. Sensu nie ma, żebyś dzwoniła do... - narysował ręką w powietrzu kilka kółek.

- Do Łukasza - podsunęłam usłudze.

- Do Łukasza, właśnie. Pojedziemy do ciebie, zapakujesz, co tam masz do zapakowania, jakieś ciuchy, kosmetyki, i od razu mu powiesz, co i jak. O! Tak zrobimy! - Wypychał mnie już z biura, machając ręką do pani Krysi - recepcjonistki.

- Sebol, a czy twoja kobieta nie będzie miała nic przeciwko temu, żebyśmy... - Oj, roło się od niedopowiedzeń.

- Nie ma jej. Wyjechała na szkolenie. Znowu. Pracuje jako handlowiec.

Ucinał zdania bardzo zgrabnie, więc nie wypadało dociekać. W jego głosie nie było bynajmniej zachwyty. Wręcz przeciwnie. Czyżby im też się nie za bardzo układało? Nie miałam jednak zamiaru wnikać. Bo i po co?

- Wiesz? To zdumiewające - zerknął na mnie przelotnie.

- Co niby?

- Zdaje się, że rozmawiasz ze sobą w myślach, ale najbardziej interesujące jest to, że całkiem ładnie ta rozmowa odbija ci się na twarzy. - Wyciągnął w moim kierunku papierosy.

- Bardzo śmieszne - burknęłam, czerwieniąc się po uszy.

- Wdzięczne raczej i ciekawe. Gdzie jechać?

Łukaszowi, co było łatwe do przewidzenia, mój pomysł ratowania projektu i - ogólnie rzecz biorąc - posady nie przypadł do gustu. Oczywiście, nie pozwoliłam Sebastianowi odeskortować się do mieszkania, mało tego, poprosiłam, żeby zaparkował obok bloku, w miejscu, gdzie podejrzliwe oko mojego przyszłego małżonka nie będzie w stanie go dojrzeć.

Mimo wszystko Łukaszowi zdecydowanie było nie w smak to, że spędzę noc poza domem. Nagle przypomniała mu się cała masa rzeczy.

- Przecież mieliśmy jechać na nauki przedślubne...

- Nie dzisiaj, tylko w piątek - sprostowałam, pakując do torby flanelową koszulę.

- Aaa... A kiedy sprawdzimy te adresy, które podała twoja mama?

- Jakie znowu adresy?

- No, salonów z sukniami. I obrączki trzeba przecież kupić.

- Łukasz, termin zdaje się wyznaczony jest na sierpień, a nie na następny tydzień, tak czy nie?

- Tak. No właśnie, cała ty, wszystko na mojej głowie. - Dreptał za mną krok w krok, co chwilę poprawiając na nosie okulary.

- Mamy na to resztę tygodnia i dodatkowo kilka miesięcy. Mało? - odsapnęłam, żeby nie wszczynać kolejnej awantury, nie było na to czasu. A swoją drogą, dlaczego, jak się człowiek spieszy, wszystko ucieka spod rąk, a przeszkody piętrzą się niespodzianie na drodze? - Nie widziałeś moich spodni od dresu?

- Nie - warknął, wsadzając nos w gazetę.

Wrzuciłam jeszcze szczoteczkę do zębów, pudełko z kremem, na balsam machnęłam ręką. Piżama... Hm, brać czy nie brać - dumiałam, trzymając w wyciągniętych palcach kusą bawełnianą koszulkę na ramiączkach. Jak już zmęczymy się pracą, trzeba będzie się położyć spać. A jak spać, to w czym? W mojej flanelce domowego użytku? Nie. Zdecydowałam wreszcie, ścigana wzrokiem znad gazety. Wpakowałam koszulkę, przesłałam mu całusa i wybiegłam z domu.

Sebastian z miejsca ruszył do roboty. Głową wskazał kuchnię.

- Idź po kawę, ja zrobię tu trochę miejsca. Tylko przebierz się najpierw - rzucił, krytycznie spoglądając na moją spódniczkę. - Drugie drzwi za kuchnią masz łazienkę.

Łazienka nie nosiła żadnych śladów kobiecej obecności.

Żadnych.

Najmniejszych.

Pierwsza rzecz, jaka rzuciła się w oczy. Wszystko czyste i schludne, ręczniki dopasowane kolorem do wnętrza, fakt, ale gdzie choćby słoik po kremie? Druga szczoteczka? Szczotka do włosów? No nie wiem, cokolwiek.

Wszystko w singlach, mniej lub bardziej porządnie poukładanych na półkach. Upchnęłam swoją kosmetyczkę w kącie, na koszu z brudną, najprawdopodobniej, bielizną. Obok w równym stosiku ułożyłam swoje ciuchy i pognałam w te pędy do kuchni. Udzielił mi się zapach Sebastiana. Minęłam go w przedpokoju ciągnącego laptopa.

- Kubki znajdziesz w szafce nad zlewem, a kawa jest w szafce obok.

- Tak jest.

Co my tu mamy? W szafce poutykane były wszelkiego rodzaju paczuszki, torebeczki i pojemniki i dobrą chwilę zajęło mi znalezienie zwykłej, sypanej kawy. Stała w pękatym słoiku pomiędzy takimi specjałami, jak kawa z kardamonem czy wanilią. Ktoś w tym domu musi być smakoszem kawy. Stałam obok kuchenki, czekając, aż zagotuje się woda. Ciekawe czy Sebastian, czy jego kobieta.

Ciekawe, tak w ogóle, jak wygląda jego wybranka.

Nie rozglądałam się wprawdzie po całym mieszkaniu, ale przecież w pokojach, które widziałam, nigdzie nie było jej widocznych śladów. Ani koszulki, kapcia, że nie wspomnę o zdjęciu. Obserwując poczynania Sebastiana - a było na co popatrzeć, bo zmagął się z meblami, jakby miał w planach co najmniej gruntowny remont - dołałam ukradkiem wody do

czajnika i zmniejszyłam gaz na kuchence. Muszę sobie jeszcze chwilę uszczknąć. Chwilę spokoju, bo padnę i nie wstanę do jutra albo i jeszcze dłużej.

Jaka ona jest?

Sebastian należał do mężczyzn przystojnych, chyba. Niby nic w sobie specjalnego nie miał, a jednak w oczach czaiły mu się takie radosne iskierki i generalnie było na czym oko zawiesić. Przede wszystkim był wysoki.

W tym momencie Sebol pochylił się, układając jakiś kabel na podłodze. Mocował się chwilę z dywanem, coś złorzecząc, po czym szybko się podniósł, przeczesując włosy.

Właśnie, miał bardzo ładne włosy. Chwilami odnosiło się wrażenie, że w ich kolorze maczał palce fryzjer znajdujący się na rzeczy. Bo ludzkie włosy same z siebie tak ładnie nie błyszczą. Chociaż, co ja tam wiem. U Łukasza zaczyna błyszczeć na ten przykład łysina. To najbliższy i najczęściej obserwowany przeze mnie osobnik. Tak więc połyskiwanie gołej czaszki jest jak najbardziej zgodne z prawami natury, ale wszelkie żywe połyski włosów to raczej wbrew naturze. Poza tym kolor.

Za ciepło mi się zrobiło, więc oparłam się o sąsiadujący z kuchenką zlew. Taaak, facet tego pokroju może sobie pozwolić na długonogą piękność, wysoką, zaznaczyć trzeba. Westchnęłam do swojego metra sześćdziesięciu i zapatrzyłam się w okno. Ładny widok stąd mają. Zdecydowanie lepiej jest mieszkać bliżej ziemi, wszystko widać wyraźnie, na drzewa nie trzeba patrzeć z góry, 00 i przede wszystkim nie odczuwa się ustawicznego lęku wysokości.

- Usnęłaś? - dobiegło do mnie z bardzo bliska. - Oho, najwyraźniej. Nie chciałem cię przestraszyć.

Rzecz jasna aż podskoczyłam na dźwięk jego głosu.

- Woda już się chyba wygotowała... - Złapał rączkę czajnika przez ścierkę, dolał wody i wygonił mnie z kuchni. -

Idź, zapal sobie, usiądź wygodnie i zacznij się psychicznie nastawiać na harówkę. He, he, he.

- Skąd w tobie tyle energii, he, he, he? - Wzruszyłam ramionami i powlokłam się we wskazane miejsce.

Harówka faktycznie się zaczęła. Mnie w udziale przypadł komputer na biurku - bo wygodniej, jemu laptop. Usadzał mnie nieskończoną ilość razy, sprawdzając, czy aby na pewno wysokość krzesła jest odpowiednia.

- Nie, za wysoko. Wstań. O teraz spróbuj, siadaj. Nie, cholera...

- Sebastian - popukałam go w ramię - dopasuję sobie siedzisko, spokojna głowa.

- Wiem, że dopasujesz, ale ma być perfekcyjnie, bo spędzisz tu kilka dobrych godzin...

Kofeina zadziałała. Nie wiem, czy czasami nie dosypałam czegoś do kubków, bo nagle zaczęło mnie roznosić. Klepałam w klawisze jak szalona, przekopywałam się przez dziesiątki katalogów, nie przymykając oczu. Sebastian zajął się wykresami i grafiką, ja tekstem. W pewnym momencie dotarło do mnie, że za oknem panuje już mrok, że w pokoju można powiesić przysłowiową siekierę i że Sebastian wpatruje się we mnie dziwnym wzrokiem. Poruszyłam się na krześle.

- Nogi sobie powykręcasz. Przecież siedzisz tak już od dobrej godziny - zauważył.

- Aaaa, możliwe... - Podciągnięte pod siebie nogi miały to do siebie, że po jakimś czasie zaczynały drętwieć. Jakby w odpowiedzi na uwagę Sebola, odczułam lekkie mrowienie.

- Pizza, co ty na to? Mamy ostatnią szansę. - Spojrzał na zegarek.

- Tak, tak i cokolwiek na niej. Niedobrze mi już chyba od kawy.

- Podsumujmy. - Pochylił się nade mną, żeby spojrzeć na kartki wypluwane przez drukarkę. - Zdążymy, zobaczysz,

Mira, damy radę. To zdumiewające - dorzucił po chwili, głęboko wdychając powietrze nisko nad moją głową.

- Ano zdumiewające, nigdy bym w to nie uwierzyła.

- Ja nie o tym.

- A o czym? - zainteresowałam się, zwłaszcza że chyba sterczał z nosem w moich lokach.

- Zdumiewające, że twoje włosy tak pachną. Przecież tutaj wszystko przesiąknięte jest papierosowym dymem, a one tak ładnie pachną. - Odetchnął jeszcze raz, po czym szybko się wyprostował i pobiegł szukać telefonu. A mnie, rzecz jasna, zatkało.

Już po raz kolejny. Ten człowiek mówił, tak po prostu, komplementy.

Nie schlebiał, nie cukrzył, tylko właśnie mówił. Nie ubarwiając w żaden skomplikowany sposób, nie dodając zbędnych słów. Przeciągnęłam się na krzesło, aż zaskrzypiało.

Przyjemne.

- Zleziesz z tego krzesła czy będziesz tam siedzieć, dopóki nie skończymy?

- Taaak, już schodzę. - Przeciągnęłam się jeszcze raz i ruszyłam w stronę sofki. Na pierwszy rzut oka miękkiej i przytulnej. Zbyt miękkiej jednak i zbyt przytulnej. Wystarczyło, żebym zapadła się w poduchy, a już miałam wrażenie, że zasypiam. Ostatkiem sił poderwałam się i stanęłam obok niewdzięcznego mebla na baczność.

Sebastian spojrział na mnie, podnosząc pytająco brwi.

- Tak, dwie, duże, na adres... - Wyłączył telefon. - No co? Co się tak zerwałaś?

- Bo jeszcze chwila, a bym się nie podniosła, wiesz? Chyba postoję.

Roześmiał się.

Wtorek

Nie pamiętam w jaki sposób i o której godzinie nagle mnie wyłączyło. Ostatni raz zerkalam na zegarek około trzeciej i końca roboty jeszcze nie za bardzo było widać. Obudził mnie zapach, dla odmiany kawy, bardzo intensywny. Leżałam przykryta kocem i średnio wygodnie wpasowana w sofę.

Zaraz, zaraz, a co ja właściwie tu robię...

Projekt, Sebastian, chyba nie daliśmy rady. Westchnęłam, siadając. Ano nic. Pożytek przynajmniej z tego taki, że jak już wylecę na zbity pysk, przynajmniej będę miała okazję wyspać się porządnie.

I to najprawdopodobniej już dzisiaj. Rozejrzałam się nieprzytomnie. A sprawca zamieszania gdzie?

- No, czas najwyższy. Masz pół godziny na prysznic, jakieś śniadanko i kawę - parsknął Sebastian, stając w kuchennych drzwiach.

- Połamało mnie chyba - jęknęłam. - Która godzina?

- Prawie siódma - poinformował mnie, krzątając się bez przerwy.

- Oj, oj, to trzeba się bardzo spieszyć. - Zerwałam się z łóżka, po czym oklapłam z powrotem. - Chwileczkę, a niby po co... Nie udało nam się, prawda?

- Co się nie udało? Jak się nie udało? - Ruszył w moim kierunku energicznym krokiem. - Wszystko się udało. Masz, tam leży. Zajedziemy do biura. To tylko się wpakuje do segregatora i po wszystkim. Ciekawe, czy Tadeusz będzie pamiętał, gdzie nanosił poprawki. Oby nie. Pani Miruosławo - zaczął przedrzeźniać Tadeusza - gratuluję, naprawdę gratuluję, wyteżona praca, efektywna, no jestem w pełni z pani zadowolony.

- No proszę, no proszę. - Pozwoliłam się łaskawie wyściskać, jeszcze chyba do mnie nie dotarło, że problem można uznać za niebyły - To znaczy, że...

- To znaczy, że musisz się pospieszyć, bo już masz czas tylko na prysznic i kawę. Zjemy coś w biurze. - Spojrzał na zegarek i pomógł mi wygrzebać się spod koca.

Latałam do Tadeusza pod byle pretekstem i patrzyłam, jak się jego czoło to marszczy, to wygładza. Siedzieli z Sebastianem już od dobrej godziny i przygotowywali się do prezentacji. Niczym dwa niedźwiedzie pomrukiwali jeden przez drugiego, wskazując raz po raz na coś łapami w magicznym, niebieskim segregatorze.

A właśnie, nadmienić wypada, że zanim nasza całonocna praca wylądowała u Tadeusza na biurku, zafundowałam sobie z nią rundkę po biurze. Nie omieszkałam przedefilować wolnym krokiem obok stanowiska pracy Jolki.

Albo mi się wydawało, albo na jej pięknym licu odmalował się wyraz prawdziwego zdumienia.

Wyostrzyłam słuch.

Mruczy, chrząka, parska i coś tam sobie pod nosem gada. Ciut głośniej człowieku, a może to krzesło, na którym siedzę, nie wydawałoby mi się zrobione z ostrych szpil? Kątem oka widziałam Sebastiana spacerującego w tę i z powrotem.

- Chwileczkę, czy to aby na pewno ten projekt zaakceptowałam ostatnio? - Tadeusz wskazał palcem na jeden z plakatów.

- No i widzisz, nie do końca, pozwoliłem sobie na wprowadzenie kilku innowacji. Zobacz, on idealnie komponuje się z całością. - Sebol wystąpił w obronie nowatorskiego pomysłu, koncepcji, która właściwie od początku do końca była moją własną.

Późną nocą bowiem - czy wczesnym rankiem, trudno było sprecyzować - okazało się, że mamy jednak luki w nadesłanych projektach. Pobudzając więc do pracy resztki szarych komórek, zaczęłam moją ulubioną walkę.

Walkę z Photoshopem.

- Dobrze, bardzo dobre... - mruknął, po czym znów zagłębił się w studiowaniu tego cholerstwa. - Miru, bądź aniołem i przynieś mi kawy, bezkofeinową poproszę.

Wyleciałam czym prędzej, uradowana, że nie muszę katować już swojej kości ogonowej, a gdy wróciłam, Tadeusz wypluwał z siebie kolejne instrukcje, porzuciwszy segregator bez żadnego szacunku na parapecie.

Ogromny kamul stoczył się z łomotem do moich stóp i poleciał gdzieś w nieznanym kierunku. Przechodzącemu Sebolowi pokazałam podniesiony do góry kciuk i uśmiechnęłam się ciepło na jego reakcję. Przesłał mi całusa i podniósł ręce w geście gratulacji.

Chyba właśnie wyjrzało słońce.

Dopiero po szesnastej udało mi się wyrwać z Tadeuszowych szpon. Dowlokłam się do kuchni prawie po omacku.

- Ale ty biedniutka jesteś. - Marek zerwał się na mój widok z krzesła. - To gorzej niż niewolnicza praca. Siadaj, siadaj, nalać ci...

- KAWY!!! - krzyknęliśmy jednogłośnie z Sebolem i ryknęliśmy śmiechem, nieco histerycznym, bo polały się łzy. Po chwili już zupełnie naturalnie wylądowałam w jego szerokich objęciach i moczyłam mu koszulę.

- A wy się dobrze czujecie? - Monika zaczęła nam się bacznie przyglądać. - Marek, co ich tak rozbawiło?

- Ja tylko zaproponowałam...

- KAWĘ!!! - ryknęliśmy ponownie.

- No widzisz - wzruszył ramionami. - Nienormalni jacyś.

- A żebyś wiedział - do towarzystwa dołączyła się Jolka. - Żebyś wiedział, że nienormalni. Aż dziw bierze, że Tadek zatrudnia takich niekompetentnych ludzi.

- A to niby dlaczego niekompetentnych? - zainteresował się Marek.

- No wiesz, jak giną całe projekty... - Przestaliśmy się śmiać jak na komendę, przestaliśmy się nawet uśmiechać. Jolka rzuciła w naszym kierunku szybkie spojrzenie i z hukiem odstawiła kubek. - Zresztą nieważne. Ja już chyba kończę na dzisiaj, a wy, kochani? - zwróciła się w stronę Marka i Moniki, robiąc słodką minę i na swoje nieszczęście składając usta w ciup.

Zapadła cisza, po czym Marek chrząknął i stwierdził, przyglądając się jej z widocznym niesmakiem:

- Jola...

- No cóż tam, Mareczku - zaćwierkała.

- Powinnaś wziąć sobie kilka dni wolnego - zawyrokował, po czym na jej pytające spojrzenie dodał: - Zanim się do końca nie złuszczy to paskudztwo, bo apetyt człowiekowi może odebrać.

- Idiota - syknęła i po chwili już jej nie było.

- Ja nie wiem jak wy, ale mnie się wydaje, że za każdym razem, kiedy ona się tu zjawia, coś zawisa w powietrzu. Przecież te jej... usta wyglądają obrzydliwie! - Marek aż się wzdrygnął.

- Czekaj, za kilka dni oczu nie będziesz mógł od niej oderwać - zauważyłam złośliwie. - Czekaj, aż zrzuci skórę.

- No nie wiem. A o co jej właściwie chodziło z tymi projektami? - przypomniał sobie.

Spojrzelśmy na siebie, po czym Sebastian wzruszył ramionami i opowiedział historię wczorajszej całonocnej harówki.

- To niemożliwe! - Zarówno Markowi, jak i Monice oczy otwierały się coraz szerzej.

- Ja nie wiem na pewno. Nie widziałem, co tam pakowała, ale chyba fakty mówią same za siebie. Poza tym skąd niby miała wiedzieć, że Mira nie mogła go znaleźć i że zginął? Wiedzieliśmy tylko my dwoje.

- Pytanie, do czego jest zdolna w imię zranionej dumy. Uważaj, Marczyku, bo podpadłeś jej dzisiaj. - Monika pokiwała mu palcem.

- Dzięki, dzięki bardzo. Trzeba było mi wcześniej powiedzieć. Zamknąłbym twarz i patrzył bez słowa jak wykrzywia te swoje strupy. Ble! - Puknął się w czoło i dodał: - To dlatego was tak rozbawiła moja propozycja... kawy?

Sebastian postawił na swoim. Czekał, aż uporam się z pocztą i kilkoma bieżącymi sprawami, po czym bez słowa zabrał moją torbę i pociągnął za sobą do samochodu. A ja nie miałam siły protestować. W ogóle taki był opiekuńczy i troskliwy, że zaczynało mnie to powoli rozbierać.

Rozbrzęczał się mój telefon.

- Kup coś do jedzenia. Nie miałem kiedy ruszyć się z pracy. Taki mamy sajgon, że sobie nie wyobrażasz.

- A... cześć. - Zerknęłam na Sebastiana. Wydawał się pochłonięty ulicą, przyciszył jedynie radio. - A co?

- A co tam uważasz. Głodny jestem piekielnie. O której będziesz?

- Za jakieś dwie godziny - palnęłam bez zastanowienia. Sebastian w tym czasie rzucił w moim kierunku jedno spojrzenie, po czym zasygnalizował skręt.

Wzruszyłam sama do siebie ramionami. Niech się dzieje wola niebios, bardzo proszę. Egoizm Łukasza zaczął mnie przerastać już dawno, ale rozmiary, jakich sięgnął ostatnimi czasy, przechodziły ludzkie pojęcie. Wzruszyłam jeszcze raz i usłyszałam parsknięcie Sebastiana.

- Nie śmieję się ze mnie, bardzo proszę.

- Uśmiecham się, mówiłem dlaczego. Nie przejmuj się, masz rację, jesteśmy cholernymi egoistami. - Poklepał mnie pocieszająco po kolanie.

O, do licha. Postanowiłam już nic nie myśleć, żeby - nie daj Boże - niczego sobie znowu nie dopowiedział, i

pozwoiliam zawieźc się na wielkã wyżerę. Sebol wykazał się nadzwyczajnã inwencjã, najwyraźniej skreślił z listy potencjalnych lokali wszelkie pizzerie i fast foody. Chwała mu za to. Zajechališmy do przytulnej knajpy w samym sercu miejskiego parku.

- Daruję sobie juź dzisiaj jazdę samochodem - mruknãł pod nosem, po czym wrócił z dwoma kuflami zimnego piwa.

- Punkt za intuicję - stwierdziłam, łykając pianę. - Po tym kuflu trzeba mnie będzie nieść do domu. Liczysz się z tym? Powinieneś, zdecydowanie powinieneś.

- Jeźeli chciałaś mnie przestraszyć, to niekoniecznie ci wyszło. Waga, widzę piórkowa. Jedyne problem może stanowić to piãte piętro, jeźeli winda nawali.

- Oj, Sebol, Sebol, ty niepoprawny jesteś, wiesz?

- Nie wiem. Niby dlaczego? Złośliwość przedmiotów martwych, podobno masz do tego wyjątkowe szczęście.

- Ja nie o windzie.

- A o czym? - zainteresował się, przypalając mi papierosa.

- Cicho! - Na wzniesione pytajãco brwi machnãłam rękã. Oparłam się wygodnie, wyciãgnãłam nogi pod stołem i przymknãłam oczy. Tak, to było to. Zmęczona, niech będzie, że do granic moźliwości, że jak nigdy chyba przedtem, ale kielkowało we mnie poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Chwila spokoju, w oddali nieustanny szum samochodów, chłodne piwo, to wszystko było w pełni zasłuźone. Poczulałam się, jakby ktoś wręczył mi nagrodę za pierwszorzędnie wykonanã pracę. Uchyliłam powieki. Sebastian wpatrywał się we mnie z dziwnym wyrazem twarzy. Więć słowo po słowie, nieco koślawie, spróbowałam wytłumaczyć mu, co czuję.

- Bo tak jest. Nie zauważyłaś? Im więcej wysiłku coś cię kosztuje, tym bardziej później jesteś usatysfakcjonowana. Tym więcej radości daje ci praca, no i w ogóle - zamachał rękami.

- Niby wiem, ale dla mnie to tylko teoria.

- Dlaczego? A właściwie co ty, Mira, robiłaś do tej pory? Znaczy zanim dołączyłaś do naszego skromnego grona?

- Próbowałam uczyć. - Zapatrzyłam się w wirującą w kuflu pianę, przypominając sobie czasy, kiedy to" nieudolnie wcielałam się w panią od historii.

- Próbowałaś? - Albo mi się wydaje, albo na obliczu kolegi Sebastiana rysuje się prawdziwe zainteresowanie. Pochylił się nieznacznie do przodu i świdrował człowieka wielkimi oczami prawie na wylot. Opowiadać, nie opowiadać... A może to tylko zwykła uprzejmość?

- Z całych sił, ale moje próby zakończyły się niepowodzeniem. W momencie, kiedy zaczęłam się zrywać codziennie rano wściekła, słysząc w głowie dzwonek na lekcje i wmawiając sobie, że do wieczora właściwie niedaleko, że piątek już blisko, skreślać w kalendarzu dni do kolejnych ferii czy świąt, stwierdziłam, że chyba to nie dla mnie... Brr - wzdrygnęłam się na wspomnienie koszmarnych lat przepracowanych w szkole.

- O, aż tak? A dlaczego?

- Naprawdę chcesz tego słuchać?

- Chcę, opowiadaj. - Zakręcił kuflem, po czym łyknął solidnie i znów wlepił we mnie intensywnie niebieskie spojrzenie.

- Właściwie nie ma o czym. Chyba. Minęłam się z powołaniem, historia i owszem, ale w kwestii przygotowania pedagogicznego i wymaganych zasobów cierpliwości wolę się nie wypowiadać. No bo powiedz, czy to normalne, żeby dzieci były w stanie doprowadzić do tego, że zaczynały mi migać czerwone plamki przed oczami?

Sebastian zaśmiał się donośnie.

- Krótko mówiąc, zaczęła zalewać cię krew? Tak to się mówi?

- Nie śmieję się. - Opuściłam wzrok na wyżłobione w drewnianym stoliku szlaczki. - Wstyd się przyznać.

- Ale nie reagujesz tak na wszystkie dzieci?

- To nie były dzieci. Głupio tak mówić, ale to na pewno nie były dzieci - potrząsnęłam głową. - Albo wyczuły, że można po mnie jeździć jak po łysej kobyle, albo trafiły mi się klasy pełne najgorszego marginesu społecznego. A że to drugie brzmi raczej mało prawdopodobnie, więc po dogłębnych analizach doszłam do wniosku, że nie umiem uczyć, nie mam podejścia do młodzieży i pora się wycofać, póki jeszcze umysł w miarę racjonalnie funkcjonuje. Ech, szkoda gadać. Porażka na całej linii. A ty?

- Co ja? - Podsunął mi talerz.

- Dlaczego informatyk?

- Kocham informatykę. Widzisz, te wszystkie cholerstwa nazywają się tak samo, ale wiesz, z nimi jest jak...

- Komputery...?

- Nooo, ogólnie rzecz biorąc. Z nimi jest jak z ludźmi, każdemu dolega coś innego. Niby te same części, te same systemy, rozumiesz, a do każdego trzeba podejść inaczej. Za każdym razem, gdy trzeba coś reanimować, czuję się, jakbym stawał przed nowym wyzwaniem... Wybacz, zagalopowałem się. - Łyknął piwa.

- Uspokój się, Sebol, przecież pytałam.

- Taaa, przyzwyczajenie. No po prostu, nie podnoś tak wysoko brwi, bo ci się na czole nie zmieszczą. Przyzwyczailem się stopować. Nie zawsze moje zainteresowania muszą fascynować innego człowieka.

Spojrzałam na niego uważnie. Zbyt dużo żalu zabrzmiało w jego głosie. Zajęliśmy się opiekany mi ziemniakami i mięchem.

Sebastian najwyraźniej postawił sobie za cel przekonanie mnie do golonki w piwie. Niezrażony początkową odmową,

uciekał się do podstępów. Co chwilę zwracał uwagę na jakieś niesamowitości za moimi plecami, chcąc ukradkiem wcisnąć na talerz chociaż kawałek tego specjału. Wreszcie nałożył na widelec sałatkę i ukrył mięso między drobinami warzyw.

- No tylko spróbuj, posmakuj ci, zobaczysz. - Wyciągnął widelec w moim kierunku.

- Sebol, miej litość, dwóch rzeczy nie tykam dobrowolnie - wątróbki i golonki.

- Ale popatrz, razem z sałatką nawet nie poczujesz, że to golonka - kusił.

- Tym bardziej nie ma sensu, żebym próbowała.

Po drugim piwie jednakowoż i golonka okazała się całkiem zjadliwa i towarzystwo Sebastiana zaczęło mieć charakter balsamiczny.

- No dobra, powiedz mi, kto cię tak stopuje - zebrałam się na odwagę.

- Jak to kto. Monika. Nienawidzi mojego zawodu.

- Nie mów tak. Może nie rozumie?

- To swoją drogą. Inna sprawa, że nienawidzi, tak po ludzku, zwyczajnie... Wam też idzie jak po grudzie? - zapytał zniecierpliwiony.

No chwila. Sympatycznie jest, rozmawiamy sobie o rzeczach bardziej lub mniej osobistych, ale czy to czasami nie przesada? Sebastian już siedział obok mnie, patrzyliśmy na szalejących po parku młodzianków na rolkach i rowerach. Chyba nie powinnam rozmawiać z nim na takie tematy...

- Nie walcz ze sobą... - szepnął mi do ucha, wdychając ze świstem powietrze. - Jezu, a one ciągle tak pachną, no, Mira, znaki stopu na bok. Powiedz, bo ja już sam nie wiem, czy to, co się dzieje między nami, to norma, znaczy między mną a Moniką - szturchnął mnie w bok - czy raczej odchył od normy.

- A co to za pojęcia. Norma, odchył? Potrafisz mierzyć wasze zachowania na jakiejś skali? A potem co, rysujesz wykresy? Mieścimy się, nie mieścimy? Sebol, to nie o to w tym chyba chodzi.

- A o co? Chodź na trawę, patrz, jak ludzie sobie leżą apetycznie.

- Nie dam rady się ruszyć - zaprotestowałam niepewnie.

- No chodź, pomogę ci. - Pociągnął mnie zdecydowanie.

Kawałek wody, drzewa, trawa i ma się wrażenie, że to nie centrum miasta, a jakaś przyjemna podmiejska działka. Zdjęłam buty i oparłam się plecami o plecy Sebastiana.

- No?

- No co. Mówiłam ci, pojęcia nie mam. Nie wszystko przecież będzie wyglądało tak różowo, jak byśmy chcieli. Wiadomo, będą zgrzyty, bo jesteśmy przecież dwójką zupełnie różnych ludzi...

- Aj tam! Popatrz, co to tam, w górze? Jaskółka? Ładna jaka.

- Ornitolog ze mnie jak...

- No wiesz, zaraz powiesz, że wróbla od gołębia nie odróżnisz - obruszył się. - Popatrz, tam usiadła. Widzisz, Mira, no widzisz czy nie?

- Widzę i co?

- No i jak wygląda?

- Jak to ptaszek. Skrzydła ma, ogon ma i dziób zdaje się też. Z daleka nie dam sobie ręki uciąć.

- Brawo - sarknął. - Popatrz, jaskółki mają takie charakterystyczne długie ogony. Ta to chyba dymówka, bo ma biały brzuch i interesujące zabarwienie grzbietu.

- Rozkładasz mnie Sebastian. Rozkładasz na obie łopatki - stwierdziłam, wpatrując się w ptaka.

- No i dobrze, pachnąca białogłowo. To jak, zdradzisz tajemnicę związku idealnego?

- Nie.
 - O, a dlaczego niby?
 - Bo taki nie istnieje. A przynajmniej ja o tym nie wiem. Odwrócił mnie przodem do siebie i spojrzał w oczy.
 - Znaczący u was też nie jest wszystko usłane różami.
 - Nie mam się o co oprzeć. Niech będzie - poprawiłam się pod jego uważnym spojrzeniem - o kogo.
 - A ja nie lubię mówić do siebie. Poza tym... całkiem miło cię poobserwować. Mira, nie zmieniaj tematu. - Pociągnął mnie na pobliską ławkę.
 - Nie męcz. Jedno ci powiem, im bliżej wyznaczonego terminu, tym większego mam pietra. Zastanawiam się, czy aby na pewno nie wolę spędzić swojego żywota sama. Ty wiesz...
 - Sebastian podłożył mi torbę pod plecy i ułożył nogi na swoich kolanach. - Ty wiesz, że z każdym dniem widzę coraz więcej wad w tym człowieku? Zauważam rzeczy, na które wcześniej nie zwracałam uwagi. Zaczynają mi przeszkadzać jego gesty, denerwować utarte do bólu powiedzonka. Ale to jeszcze nie byłoby najgorsze. Najgorsze jest to, że wszyscy naokoło wmawiają mi zawzięcie, że to najzwyklejszy w świecie stres przedmałżeński. I co ty na to?
 - Ooo, ja bym tego stresem nie nazwał. Może klapki ci z oczu opadają?
 - Nigdy nie było żadnych kłapek - mruknęłam. - A może byśmy tak zeszli ze mnie, co?
 - Na razie jeszcze nie weszliśmy, ha, ha.
 - Ha, ha. Niech ci będzie, ja nie potrafię nikogo ciągnąć za język. I choćbym miała zdechnąć z ciekawości, nie zapytam.
- Sebastian westchnął i odruchowo pogłaskał mnie po nodze.
- Nas z kolei więcej nie ma, niż jesteśmy. Ja w pracy, ona wyjeżdża, a w trakcie wyjazdów... Cóż mogę powiedzieć,

atrakcyjna z niej kobieta i lubi wierną, męską asystę. Odpowiada jej na przykład to, że po powrocie do domu zastanie moje kapcie, szczoteczkę do zębów, a w określonych godzinach nawet mnie. Ja po powrocie do domu pędzę na złamanie karku w kierunku radia, kompa, telewizora, czegokolwiek, co zagłuszy ciszę. Nie, Mira, to nie jest dobry pomysł, żeby spędzić życie jako singiel. Zwariowałyabyś. Człowiek istota społeczna...

- Aronson - wtrąciłam bez sensu.

Do domu bałam się wejść. Zwyczajnie, po prostu, po raz pierwszy w życiu. Nigdy nie było takiej sytuacji, żebym wracała, nie wiadomo o której godzinie, spędzając czas, nie wiadomo z kim.

Nie wiadomo dla niego, rzecz jasna. Dochodziła dwudziesta pierwsza. Spojrzałam w nasze okna.

No tak, wszystkie rzęsiście oświetlone. Nagle zrodził się we mnie mały bunt. Do jasnej, niespodziewanej cholery! Powiedziałam, że wrócę później, tak czy nie? No ale przecież ja nie mogę. On szwenda się całymi dniami, nie wiadomo gdzie, nazywa to pracą w terenie, i wszystko jest w porządku. Jeżeli, nie daj Boże, zadzwonię, to przeszkadzam - bo rozmawia właśnie z klientem, stoi na światłach, a obok niego policja, pada mu bateria - albo najzwyczajniej w świecie nie odbiera telefonu. Moja poczciwa nokia sygnalizowała szesnaście nieodebranych połączeń. Od Łukasza. Nienormalny jakiś. Winda dotelepała się na piąte piętro i rad niewola musiałam wysiąść. Tyle że bunt zdążył osiągnąć nieco większe rozmiary.

Łukasz stał w kuchennych drzwiach, tupiąc nogą obutą w dziurawy kapeć. Dlaczego u licha zawsze rzucają mi się w oczy takie mało istotne szczegóły? Rzuciłam torbę na półkę w przedpokoju.

- No co? - spytałam buntowniczo.

- Jak to co? Może mi z łaski swojej powiesz, gdzie się do tej pory szwendałaś? - syknął. - Ja tu siedzę, zastanawiam się, co się mogło stać, a ty mi tu przychodzisz i rzucasz torbą? Co się z tobą ostatnio dzieje? Nie poznaję cię, Mira.

- Za dużo pytań, wiesz? Udowodniono, że zbyt wiele pytań zawartych w jednej wypowiedzi może zawisnąć sobie w powietrzu i pozostać retorycznymi. - Wyminęłam go i chwyciłam za jabłko, ale gotowało się we mnie wszystko.

- Co? CO? Ja się pytam, gdzie byłaś i z kim, a ty mi tu wywody naukowe serwujesz?!

- Znowu - pokiwałam mu palcem - znowu za dużo pytań.

- MIRA!!!

- No co - wzruszyłam ramionami. - Musieliśmy trochę się zrelaksować po morderczej pracy. Może dla odmiany zapytałbyś czy udało nam się poprawić projekt, a właściwie podnieść go z popiołów? Nie, ty musisz naskakiwać od razu na człowieka! Czy mnie się nie należy odrobina relaksu???

- Należy, ależ oczywiście. Tylko chciałbym wiedzieć, gdzie jesteś i z kim?

- Powiedziałam, z ekipą, która mi pomagała - przyszło mi to całkiem łatwo. Przemianowanie Sebastiana na całą ekipę.

Wyszedł i trzasnął drzwiami. He, he, kuchennymi.

Ciepła woda leżąca nieprzerwaną strugą mogła człowieka uśpić. Nagle do moich wszystkich członków dotarło zmęczenie. Oj, oj, oj, prędej do łóżka, bo padnę pod prysznicem, a Łukasza może to przypadkiem w ogóle nie zainteresować. Zakręciłam kurki. Coś zachrząściło mi przy uszach. Cholera, szampon niedokładnie spłukany. A w nosie. Ale one pachną... Tak powiedział i to nie raz, nie dwa, ale zdaje się kilka razy. Uśmiechnęłam się do umęczonej twarzy w lustrze. Pewnikiem dlatego tak pachną. Albo jestem za bardzo zmęczona, żeby spłukać to dziadostwo z głowy, albo

nie mam na to czasu. Albo też jestem za bardzo niedokładna. Złapałam się na wzruszaniu ramionami.

- Patrz, moja pani - wycelowałam palec w odbicie rudogłowej - jeżeli nad tym nie zapanujesz, to za kilka lat grożą ci zmarchy godne siedemdziesięciolatki. Poza tym różni sympatyczni panowie będą mieli powody do radości.

- Mira - dobiegło mnie spod samych drzwi - a z kim ty tam rozmawiasz?

- Z pewną uroczą trzydziestolatką - poinformowałam łaskawie Łukasza, po czym uśmiechnęłam się pięknie do siebie i popukałam w czoło.

Położyłam się do łóżka z błogą świadomością, że za chwilę odpłynę w słodki sen i odpocznę. Nareszcie. Co też ten Sebastian powiedział, że mam dłuższe rzęsy niż Jolka?

To przecież niemożliwe.

Otworzyłam szeroko oczy, gotowa biec do łazienki i zweryfikować opinię kolegi. Kolegi... Uśmiechnęłam się pod nosem. Zdaje się, że dzisiaj po południu niekoniecznie wyglądaliśmy jak zwykli znajomi. Idiotko, wyglądaliście jak niezwykle znajomi. Co to w ogóle za określenia?

Sebastian okazał się bardzo... Ciepłą osobą. Podniosłam się na łokciu, wpatrując w oświetlony na pomarańczowo prostokąt okna. Co chwilę musiał złapać mnie za rękę, przytulić, przysunąć blisko, na tyle blisko, że zaczynałam czuć się niepewnie. Właściwie bez przerwy mieliśmy jakiś tam kontakt fizyczny... Boże, co ja plotę? Padłam twarzą w poduszkę, po czym łomotnęłam sobie zdrowo pięścią w czoło. Niektórzy tak mają i tyle.

Tacy są.

Tak lubią.

Śpij już, jesteś senna, zmęczona, śpij.

Z sąsiedniego pokoju dobiegały odgłosy morderczej walki, strzelaniny i ogólnie rzecz biorąc, zbyt głośnej jatki.

Kopnęłam nogą drzwi. Skupić się nie można. Senność przepadła bezpowrotnie. Dobre kilka minut starałam się leżeć, opowiadając sobie standardową bajkę... Niekoniecznie każdy tak ma.

Nikt zdrowy na pewno.

Ja mam. Za każdym razem, gdy mam problemy z zaśnięciem, wyobrażam sobie jakąś przyjemną historię, niewymagającą skupienia. Dajmy na to z przystojnym mężczyzną w roli drugoplanowej i rzecz jasna ze mną osobiście w roli pierwszoplanowej. Nie zawsze co prawda z mężczyzną, ale zawsze, nieodmiennie przyjemną. Historię, oczywiście.

Nie dzisiaj.

Za cholerę nie mogłam utrzymać wątku. Już, już podchodził do mnie przystojny blondyn. Dlaczego akurat blondyn...? Ano tak dla odmiany. Tak więc podchodził do mnie tenże blondyn, porzucając liczne i rozhukane towarzystwo na rzecz... dajmy na to, opalającej się na drewnianym moście Miry Drybat we własnej osobie, i zaczynał się wdzięczyć, gdy przed jego twarz wpychała się uśmiechnięta i mrugająca twarz Sebastiana.

Uch! Zamaszystym ruchem odrzuciłam kołdrę i zajrzałam do sąsiedniego pokoju. No tak. Zmęczony wyrzutami Łukasz przysnął sobie błogo, rozparty w fotelu. Okulary klasycznie zjechały mu na czubek nosa, dzięki czemu posapywanie robiło się coraz donośniejsze. Z bezsilnej złości miałam ochotę potrząsnąć nim i wybić mu z głowy spanie. Przecież ja, istota dużo bardziej potrzebująca snu, nijak właśnie nie mogę zasnąć. Porozmawiałyby ze mną, a nawet niech się denerwuje, tylko niech nie śpi, na litość boską. Zacisnęłam pięści tuż przy jego ramieniu, zdjęta nagłą wyrozumiałością.

Mama od lat wpajała nam, że najlepszym lekarstwem na ukojenie i spokojny sen jest ciepłe kakao. Wygrzebałam z

szafki wyrób kakaopodobny - granulowane paskudztwo, posłodzone i ani trochę nieprzypominające w smaku tego napoju sprzed lat nastu... Waga piórkowa, pachną włosy, masz dłuższe rzęsy - po co mówić takie rzeczy koleżance z pracy? Chwilami mnie zatykało. Czy on czasami nie za bardzo wczuł się w rolę, jaką oboje mieliśmy grać... Łukasz ze swoim chrapaniem odpłynął w siną dal, a otaczająca rzeczywistość skurczyła się nie wiadomo kiedy i jakim sposobem do jednej osoby i kilku zaistniałych sytuacji. Kobieta lubi być adorowana, lubi być zauważana, a nade wszystko lubi, kiedy poświęca się jej znaczną część uwagi. Czy to moja wina, że spowszedniałam Łukaszowi? Stałam w drzwiach do dużego pokoju i oparłam o framugę, przyglądając się, jak śpi. Kiedy on ostatnio zauważył, jak jestem ubrana i jak wyglądam... Grzebałam w pamięci, grzebałam i jedyne, czego się dogrzebałam, to tekst pod tytułem „nie lubię tej bluzki”. O tym, żeby wspomniał coś o włosach, że pachną, to nie było w stylu Łukasza. Parsknęłam w ciepłe kakao. Przecież ostatnio wycieniowałam włosy, nareszcie udało mi się je ujarzmić na tyle, żeby nie sterczały w niesfornych lokach na wszystkie strony, a wdzięcznie, przynajmniej moim zdaniem, opadały po bokach na policzki. Przeszło bez komentarza, chociaż nie, doczekałam się...

- Byłam u fryzjera.

- Tak? Bardzo ładny kolor - sapnął z ołówkiem w zębach, nie odrywając wzroku od projektu.

Rzęsy? Jak można zauważyć, że ktoś ma ładne, długie rzęsy, skoro niekoniecznie odróżnia się rzęs od brwi. Czy to wszystko kwestia spowszednienia? Czy niewłaściwego człowieka? Ciekawe, a gdybym tak założyła płócienny worek z otworami na ręce i głowę... Przeniosłam się z kubkiem do przedpokoju. Został jeszcze ślad po porządkach tej małolaty,

bo nie zdążyliśmy zaśmiecić szafki pod lustrem, zauważyłam mimochodem.

Zwykle łądowały na niej wszystkie rachunki, reklamy - wciskane pęczkami do skrzynek na listy - korespondencja z banków i inne równie ważne rzeczy. Raz na miesiąc trzeba było się przekopać przez rosnącą miarowo kupkę i zrobić naturalną selekcję. Łukasz, jeżeli już się do tego zabierał, metodycznie przeglądał każdy papierek i segregował na mniejsze kupki. Efekt jego „sprzątania” był zawsze taki sam - praktycznie żadnego efektu, bo wszystko łądowało znowu pod lustrem, z tą tylko różnicą, że poukładane datami. Ja natomiast wywalałam wszystko jak popadło, co dawało zniewalający efekt estetyczny. Niestety, zawsze udawało mi się pozbyć ważnego rachunku, recepty, ulotki z zapisanym naprędce niezmiernie ważnym numerem telefonu... Tak swoją drogą, ciekawe, gdzie ona to wszystko poupychała. Przesunęłam palcem po czystym blacie, dojechałam do lustra i zaczęłam się przyglądać panie Mirosławie.

Włos w lekkim nieładzie, podkrążone oczy, ale reszta całkiem znośna. Lubiłam siebie. Chyba. Kakao zaczęło najwyraźniej działać, bo pociągnęło mnie do łóżka i dobrze. Cichutko odezwała się moja nokia.

„Spisz juz?” - Sebastian W. Uwierzę w telepatię. Hm, nie śpię, myślę o tobie, ha, ha. „Chyba za bardzo jestem zmęczona... nie spie:).” - Wystukałam szybko i poszłam po popielniczkę. Telefon zabrzączał, gdy byłam jeszcze w kuchni. Tym razem jednak nie SMS.

- No co tam?
- No nic. Tak tylko dzwonię, może, żeby powiedzieć ci dobranoc.
- Może? - zapytałam, przypalając papierosa.
- Nie dmuchaj mi w ucho.
- O, bardzo przepraszam, też sobie zapal.

- Mira...

- Yhm?

- To chore. Czy zdajesz sobie sprawę, że jesteśmy ponad dobę na nogach?

- No jakby nie patrzeć.

- To dlaczego nie śpimy?

- Oj, Sebol, nie wymagaj ode mnie, żebym ci uzasadniła i wytłumaczyła, jak funkcjonuje ludzki organizm. Nie wiem, może za bardzo doskwiera zmęczenie... - Jakoś nie mogłam użyć liczby mnogiej.

- Tak, właśnie po to dzwonię. O niczym innym teraz nie marzę, jak właśnie o małym wykładzie, hm... z twoich ust.

- Przestań w tej chwili! - Zwinęłam się w kłębek na łóżku, uprzednio kopnąwszy drzwi.

- Przestać rozmawiać? Mira, nie mogę zasnąć, tłucze mi się po głowie masa różnych myśli...

- Jakich myśli?

- Różnych. Co robisz?

- Ha, uważaj, rozmawiam z tobą.

- A co poza tym?

- Poza tym palę, nie mogę zasnąć, dopijam kakao i mam nadzieję...

- Na co?

- Że mi pomoże, he, he, kakao. - Bez prowokacji, pani Drybat, bez prowokacji.

- Skądś to znam. Idealny środek na bezsenność. Chyba też spróbuję - oznajmił z widocznym ociąganiem. - To dobranoc... Mira, do jutra, śpij spokojnie.

Odłożyłam telefon z durnowatym uśmiechem na ustach i podejrzewam, że tak mi pozostał, razem z pytaniem - po co właściwie dzwoniłeś, panie Sebastianie? Zasnęłam jednak od razu po przyłożeniu głowy do poduszki.

Środa

Powietrze można było kroić średnio ostrym nożem.

Wydawało się, że przy każdym wdechu do płuc wtlacza się gęsta, tłustawa maź.

Chociaż, prawdę powiedziawszy, odnosiło się wrażenie, że na czas prezentacji wszyscy wstrzymali oddech.

Na mnie spadała masa współczujących spojrzeń - byłam, jakby nie patrzeć, najbliżej wulkanu. Czekaliśmy na wyrok. Na decyzję. Czy miesiące wytężonej pracy pójdą na marne? Czy znowu trzeba będzie nanosić jakieś cholerne poprawki? Czy wreszcie nasz największy klient łaskawie zdecyduje się zaaprobować nasze wypociny. A te wypociny, nawiasem mówiąc, traktowałam teraz jak najwłaśniejsze dziecko.

Zwłaszcza jeden plakat.

Tadeusz z powodzeniem wcielił się w rolę szefa najgorszego z możliwych. Wściekał się bez przerwy, przestawiał mnie z kąta w kąt i rzucał do telefonów sam, tratując wszystko, co miało nieszczęście stanąć mu na drodze.

Zawieszenie to zawieszenie. Nie dało rady i nie było za bardzo na czym się skupić, więc powoli i bezszelestnie całe towarzystwo przemykało do kuchni na kolejną kawę. Po co w ogóle było przychodzić tu dzisiaj? Przydreptałam pod szafkę z kubkami, powoli wyciągnęłam swój i skrzywiłam się na pełne dezaprobaty głośne parsknięcia zmęczonego ekspresu. Spojrzałam na Marka i Monikę. Jak na komendę wzruszyli ramionami. Monika, grafik numer jeden, gryzła po kolei wszystkie paznokcie i coś tam po cichu do siebie mruzczała. Marek co chwilę łagodnie poklepywał jej rękę i wyciągał dłoń z ust.

- Aga przyjdzie? Nie wiesz? Cześć - zaszemrało mi coś do ucha.

- Cześć, Sebol. Nie wiem - odszemrałam.

- To nienormalne - nakreślił palcem równiutkie kółko na czole - ta cała sytuacja.

- To czego szepczesz, hm? A właściwie nie powinieneś być tam? - syknęłam mu do ucha, wskazując salkę projekcyjną.

- Nie, Tadeusz mnie pogonił, a do pomocy wziął... Nie uwierzysz, Jolkę - skrzywił się.

- O, a ona już w miarę prezentacyjnie wygląda? Strupy pozłaziły? - zainteresowałam się.

- Nie wiem, nie zwróciłem uwagi.

Po wypiciu dwóch kubków kawy, kilku papierosach, na które wymykaliśmy się cichcem, przechodząc obok sali projekcyjnej na palcach - aż chwilami korciło, żeby ściągnąć buty i zminimalizować, jak się tylko da, wszelkie odgłosy mogące wywabić lwa z jaskini - rozległo się gromkie i siarczyste przekleństwo. Zdębiałam. Zdębiałam tym bardziej, że Sebastian parsknął śmiechem, a reszta mu zawtórowała. Najwyraźniej, cholera, z ulgą. Dobrze, że szacowna delegacja zdążyła przed chwilą wybyć, bo nie jestem przekonana, czy klientowi przypadłoby do gustu zachowanie naszego najwyższego.

- Gdzie wy wszyscy, do licha, jesteście??? Aaa w kuchni. W takim razie kawa dla mnie. Co tam zresztą kawa, Marek leć po szampana, sztuk przynajmniej pięć! - Tadeusz wpadł do kuchni z rozwianym włosiem i rozradowanym obliczem. Gratulacje, kochani, a tobie Mira... Mira, gdzie jesteś? - wyłowił mnie z tłumy. - Tobie szczególne wyrazy podziękowania i podziwu. Jakaś premia szykuje się chyba.

Ukradkiem przyglądałam się, jak z Pana Tadeusza wychodzi najprawdziwszy człowiek. Marynarkę przerzucił przez poręcz krzesła, rękawy koszuli miał podwinięte do łokci. Mowę odebrało mi zupełnie, kiedy do spółki z Wojtkiem przytaszczył fotele z palarni i wystawił

popielniczkę na stół, ostentacyjnie odsuwając foliowane kanapki Joli.

- Za chwilę coś ci tam wpadnie i nie wiadomo, jak daleko doleci, ale... Obstawiam okolice kostek. - Sebastian szturchnął mnie w bok.

- Co? - spojrzałam na niego mało przytomnie.

- To właśnie, co powiedziałem. Odwieś się wreszcie. To jest prawdziwe oblicze Tadeusza. Ja go osobiście tylko takiego najpierw znałem - kontynuował szeptem, wskazując na naszego szefa. Szef zaś, jakby nigdy nic, zaglądał po kolei do kubków i sztorcował Marka za to, że komuś „wyschło”.

- Ja nie mogę. Po prostu nie mogę. Znam tego człowieka od kilku miesięcy. Cholera jasna. Wydawało mi się, że znam. A tutaj...

Sebastian się roześmiał.

- To dzisiaj to małe zlecenie w porównaniu z tym, które mieliśmy w ubiegłym roku. Przez trzy dni nie trzeźwiliśmy. Z Tadeuszem na czele. - Podniósł kubek w jego kierunku. - A wiesz, dlaczego złożył ci osobiste gratulacje?

- Nie, za cholerę nie wiem.

- Bo pierwsza przetrzymałaś poważną akcję. Nie trafił jeszcze na asystentkę, która nadażyłaby za nim w najgorętszym okresie.

- Wielkie dzięki. Nie dalej jak trzy dni temu mówiłaś, żebym zwolniła tempo. Spisek jakiś czy co? Dolej mi jeszcze, jaka szkoda, że to tylko szampan.

Tadeusz podszedł do nas.

- Sebastian - położył mu rękę na ramieniu - ty nawet nie wiesz, jak ja się cieszę, że dałeś sobie spokój z tą wymuskaną, wybacz, Moniką. To - mrugnął do mnie - kobieta na wagę złota.

Zapamiętaj to sobie. Naprawdę gratuluję wam, kochani, bardzo się cieszę waszym szczęściem.

Sebastian mruknął coś niezrozumiale, a ja bardzo wyraźnie poczułam zdradziecki rumieniec płynący od policzków aż po samą szyję. A dlaczego tak skromnie? Do tych wrzasków na całe biuro i ku uciesze wszystkich pracowników trzeba jeszcze dołączyć jakiś okazały bukiet kwiatów.

- Czy mnie coś ominęło? Czyżby? Czyżby? - Z ulgą dojrzałam Agnieszkę przepychającą się przez tłum i, po raz nie wiadomo który w swoim życiu, zaczęłam dziękować Bogu za jej wybitny talent pojawiania się dokładnie wtedy, kiedy trzeba - Tadeusz.. . Możemy sobie pogratulować?

- Możemy, kochana, możemy jak najbardziej. Szampan się kończy, ha, zmieniamy...

- Lokal! - wrzasnęli wszyscy jak na komendę.

Wieczorem byłam już po kilku bruderszaftach z szefem, wycelowana tyle razy, że Sebastian poczuł się w obowiązku interweniować. I choć Tadeuszowi najwyraźniej zależało na zacieśnieniu stosunków koleżeńskich ze swoją asystentką, Sebol usiadł tak blisko mnie, jak tylko się dało, zaborczo objął ramieniem i nie wypuścił z objęć, dopóki najwyższy nie odmeldował się do domu. Co chwilę łapałam podejrzliwe i pytające spojrzenia Agnieszki, ale jakoś nie było okazji do udzielenia jakichkolwiek wyjaśnień. Wzruszyłam ramionami. Zadzwoń, znowu obsztorcuje i będzie się domagała szczegółowego zdania relacji z tego, co się dzieje. A przecież nic się nie dzieje. Zerknęłam na Sebastiana, wolną ręką przypalał sobie papierosa, a zajęta... zajęta gładził mnie delikatnie i zdaje się zupełnie bezwiednie po ramieniu.

Nic się nie dzieje, Mira. Nic, zupełnie.

- O czym tam znowu prowadzisz ze sobą dysputę? - mruknął mi w ucho.

- O tym, że nic się nie dzieje - powiedziałam zgodnie z prawdą.

- Jak to nic? Mało ci wrażeń?

- Ja nie o tym... - Zakreśliłam dłonią w powietrzu, wskazując na rozgadane towarzystwo.

- A o czym?

- Sebol...

- Mhm?

- Nie myślisz czasami, że ona - wskazałam głową Jolkę - daruje już sobie przypuszczanie na ciebie ataków? Może już przyswoiła, że jesteś zajęty i nie ma po co startować?

- Nie sądzę - zacieśnił uścisk - jak tylko zobaczy ochłodzenie stosunków między nami, od razu się zacznie. Poza tym - odgarnął mi włosy z czoła - już się przyzwyczailem.

- Do czego, u licha?

- Do ciebie. O! Mira... co ty wyrabiasz?!

W tym momencie zobaczyłam wchodzącego do pubu Pawła. Odruch bezwarunkowy, czy jak to nazwać, ale od razu - ku zdumieniu i powszechnej ucieście obecnych - zanurkowałam pod stół.

- Czy ten wielki brunet już przeszedł obok naszego stolika? - syknęłam pomiędzy kolan Sebastiana.

- Jaki brunet? - Sebol rozglądał się dookoła.

- Czy to nie czasami Mirosława Drybat we własnej osobie - dobiegło mnie bardziej stwierdzenie niż pytanie. Szlag, piekło i szatani. Paweł zaglądał już między Sebolowe nogi, a zza jego ramienia wychylała się skądinąd znajoma twarz pani prezes czy wiceprezes, w każdym razie gryzonia. - Zdaje się, Mira... Impas, nie?

Pani zaśmiała się uprzejmie, a mnie zdrętwiał język, jak zobaczyłam Pawła bezczelnie obejmującego tę kobietę.

- Mira, tu jest twój portfel. Wyłaż stamtąd, bo jeszcze ludzie coś sobie pomyślą. - Sebastian trzymał w ręku moją

portmonetkę, zamachał nią, po czym wyciągnął mnie spod stolika.

- Aaaa, cześć, Paweł - stęknęłam, podnosząc się z kolan, i jednocześnie zarejestrowałam jego pytające spojrzenie. Ha, bratku, czyżbyś się poczuł niepewnie? Najwyraźniej, bo jego ręka powoli ześlizgnęła się z ramienia pani prezes.

- Nnnnooo, cześć. - Przerzucił szybkie spojrzenia z Sebastiana na mnie.

- Ufff, już myślałam, że dorobek życia przepadł mi bezpowrotnie, dzięki - sapnęłam, odbierając Sebastianowi portfel.

- A ja właśnie pokazuję naszej nowej pani prezes uroki naszych lokali. - A pytał cię ktoś, człowieku?

- Ooo. To miłe z twojej strony - zdążyłam tylko rzucić, właściwie do pawiowych pleców, bo oddalił się szybciej, niż przyszedł, popychając nieznacznie towarzyszącą mu kobietę.

Sebastian spojrzał pytająco.

- Sąsiad z góry. Zdaje się, że jednak puszcza kantem jedną z moich przyjaciółek. Cham, swolocz i świnia - poinformowałam krótko. - Dzięki.

- Nie ma problemu - wzruszył ramionami. - Jednak?

- Taaa. Znalazła u niego kretyński list, ale on się zarzekł i przez jakiś czas udawał przykładnego małżonka. Rozumiesz, czwórka dzieci, żona cały czas w domu, zajęta produkcją coraz to wymyślniej szych posiłków, pierniczki, ciasteczka, bułeczki drożdżowe, czego dusza zapragnie. Widocznie nie jego. Dusza. Jeżeli w ogóle takową posiada. Świnia jedna.

- Zdaje się myślał, że cię przyłapał na gorącym uczynku.

- Zdaje się. Twoje zdrówko, Sebol, mądryś czasami! - Stuknęłam swoim kuflem w jego.

- Małe sprostowanie - mądrym zawsze, ale niech będzie, że moje.

Bumerang. Takie rzeczy zawsze wracają. Nikt na tej planecie nie ma prawa zwać się monogamistą. Zdaje się słońce pozostają wierne swoim wybrankom, ale do końca pewna nie jestem, czy to aby na pewno słońce ogólnie, czy chodzi tylko o słońce. Wlokąc się do domu w ten ciepły wieczór, raczej dałabym rękę sobie uciąć tylko za słońce. Dlaczego w takim razie tak zdecydowanie przemyślamy do tego, by cementować związki? Skoro przecież samce nie są w stanie wytrwać w - cytuję - wierności i uczciwości małżeńskiej, to po co zadawać sobie tyle trudu? Nie żyjemy w starożytnej Sparcie, nikt formalnie ich przecież nie zmusza i nie nakazuje zawarcia związku małżeńskiego, a może... Weźmy na ten przykład moją własną rodzicielkę. Kłuje mnie w oczy staropanieństwem i wyręcza w takich rzeczach, jak ustalanie daty ślubu. Prychnęłam ku niezadowoleniu osiedlowych gołębi. Rozpierzchły się na wszystkie strony, nie zaszczycając mnie nawet spojrzeniem. Niewykluczone, że wciśnie mi suknię ślubną synowej. A może ona już sprzedana? Muszę zadzwonić do Adama.

- Tak idę za tobą już jakiś czas. Wiesz, że mówisz do siebie? - dobiegło mnie zza ramienia.

- Oj, cześć, Michał. - Zatrzymałam się.

- Co to za suknie i z czego się śmiejesz?

- Bo ona ode mnie wyższa prawie o głowę! - I znowu parsknęłam śmiechem.

- Kto?

- Moja bratowa.

Michał machnął ręką i najwyraźniej postanowił nie wnikać w całą sprawę, a ja znowu się zamyśliłam.

- Dlaczego chcecie się żenić? - rzuciłam nagle obcesowo.

- Coooo? - zatrzymał się, szarpiąc Zibiego.

- Słyszałeś. Ale jeżeli nie, powtórzę...

- Słyszałem. Poczekaj, po pierwsze, dlaczego mówisz do mnie w liczbie mnogiej, po drugie, co to w ogóle za pytanie?

- Pytające. Chcę wiedzieć i tyle. Zastanawiam się po prostu, po co ta cała maskarada, skoro i tak za kilka lat staniemy się sobie obcy... Nie my - sarknęłam, gdy spojrzał z powątpiewaniem. - A jego nagle zainteresuje nowa i na pewno młoda kobieta. Po co to całe zamieszanie ze ślubem, migdaleniem się do siebie i obiecywaniem gruszek na wierzbie. Bez sensu.

- Wyobraź sobie śnieg... - zaczął cicho.

- Nie mogę. Sukienka przykleja mi się do pleców, bynajmniej nie z zimna - przerwałam mu.

- Zamknij się na chwilę. Znaczy, bądź cicho przez chwilę.

- Dał sobie odetchnąć, a ja, urażona nieco, zamilkłam. - Wyobraź sobie śnieg, zimę, ludzie się spieszą, taszczą choinki do ciepłych domów. Ciepłych nie tylko z powodu sezonu grzewczego, ale tego niezwykłego ciepła... rodzinnego. Pachną święta, wiesz co to znaczy, prawda? Przychodzisz do domu, zrzucaś przemoczone buty i dajesz się od razu ogarnąć tym ciepłem, czujesz, jak cię pochłania. Tego nie potrafi stworzyć jedna osoba. Jedna może wracać do cichego, ciemnego mieszkania. Mieszkania, Mira, nie domu.

- Zmówiliście się wszyscy - stwierdziłam zdecydowanie. Bo niby skąd takie same poglądy ma Sebastian. - To czego, do groma, szukacie u innych kobiet?

- Oj, kochana, zadajesz tendencyjne pytania. Nie myślisz chyba, że będę ci na takie odpowiadał. Tego samego mniej więcej co wy u innych mężczyzn... - Fakt, cholera, przecież nie tylko mężczyznom zdarzają się skoki w bok. Spojrzałam na niego przytomnie. - Tak cię wzięło to weselicho?

- Jakie weselicho, czyje?

- No twoje, przecież nie moje.

- Aaaaa, nie. Chociaż może, cholera wie. Michał, ja już nic nie rozumiem, przysięgam. Ja cały czas o Ulce. - Za późno złapałam swoją niewyparzoną gębę w karby i przykryłam ją dłonią.

Na pytające spojrzenie opowiedziałam mu całą historię przyjaciółki. Część już przecież znał. Jedyne, co właściwie dołączyłam, to dzisiejszy incydent. A wszystko przedstawiłam w takich barwach, że najwyraźniej głupio mu się zrobiło na myśl o ciepłej, świątecznej atmosferze, której, dobrze o tym wiedział, u Zabrockich nigdy nie brakowało.

Sprawdzenie, co słychać u Uli, musiałam odłożyć na kiedy indziej, a zająć się reanimacją Łukasza. Bo tego najwyraźniej potrzebował.

- Ty znowu piłaś!!! - wrzasnął na mój widok. Cholera, czyżby wionęło ode mnie na kilka metrów? Zerknęłam w lustro w przedpokoju. Chyba tak, bo widocznych zmian w wyglądzie nie zarejestrowałam. Co też sobie musiał pomyśleć Michał... Hm, napiła się kobieta i bzdury wygaduje - jak mogłaś? Przecież dzisiaj...

- Dzisiaj, kotku, opijaliśmy sukces naszej agencji - zaznaczyłam, wycierając okolice oczu.

- Czy ty mnie jeszcze kochasz? - rzucił dramatycznie rwącym się głosem.

Poproszę inny zestaw pytań.

Dodatkowego jednak nie było. Odwrócił się na pięcie i zamknął w swoim świecie. Projektów, artystycznych wizji i Bóg wie czego jeszcze. Tak więc zakasałam rękawy, ogarnęłam co nieco kuchnię i przygotowałam całkiem zjadliwe spaghetti.

Znowu.

Wygrzebałam również wino z zakamarków kuchennych szafek i zadając sobie bez przerwy pytanie, czy aby na pewno warto, ruszyłam ze wszystkim do pokoju. Oj, człowieku,

marna istota, po co zadawać sobie tyle trudu z ukrywaniem swoich uczuć? Łukasz ostentacyjnie odwrócił głowę w kierunku telewizora, nie na tyle jednak szybko, żebym nie zdążyła zauważyć uśmiechu na ustach. Wzruszyłam ramionami, podsuwając mu talerz pod nos.

- Parmezan płynie...

- Mrkhmb - wyartykułował coś niezrozumiale.

- Powtórz, proszę, bo nie dosłyszałam. Hm, pyszne, chyba jeszcze nigdy nie udało mi się ugotować tak wyśmienitego spaghetti. Oooo, a wino komponuje się idealnie. - Usiadłam na poręczy jego fotela i mlasnęłam mu w ucho: - Wyborne!

- Dobra, niech będzie. Jestem głodny. - Z zadowoleniem zauważyłam, że na ustach pozostał mu malutki kawałek uśmiechu. - Niech będzie też, że poczuwasz się do winy.

- A, bardzo przepraszam, do jakiej winy? No jedz wreszcie, bo ci całkiem wystygnie.

- Jak to do jakiej? - Złapał za widelec. - Mówiłem przecież, nie wracasz nocami do domu, chodzisz, nie wiadomo z kim i nie wiadomo gdzie, jeszcze pałęta się tutaj ten dziennikarzyna od siedmiu boleści.

- Skąd wiesz, że od siedmiu?

Czasami warto wykrzesać z siebie odrobinę dobrej woli. Wystarczy skupić się nie na tej części pytania, na której trzeba. Na której pada właściwy akcent. Trzeba się ucześcić rzeczy błahej, niedotyczącej w najmniejszym stopniu nas osobiście. Nas, naszych problemów, kłótni. Tę taktykę stosował z powodzeniem mój ojciec. Dzięki Bogu od trzydziestu, z małym okładem, lat. Czyżbym zaczęła się od niego uczyć? Westchnęłam, uświadamiając sobie nagle bardzo jasno, że to nie o to chyba chodzi, żeby omijać kluczowe pytania. Zdaje się, że lepiej byłoby odpowiedzieć jasno i wyraźnie - nie poczuwam się do winy, to ty powinieneś się do niej poczuwać, nie poświęcasz mi tyle czasu i uwagi, ile

potrzebuję, sytuacja mnie przerasta i za cholere nie znajduję w tobie oparcia. Wyliczałam sobie wszystkie te rzeczy i nagle poczułam przemożną ochotę, żeby zawartość talerza z kluchami umiejscowić mu centralnie między nogami, połączyć winem i patrzeć na jego minę. A byłoby pewnie na coś. Wzdrygnęłam się i pobiegłam do kuchni pod pretekstem przyniesienia soli. Otworzyłam na oścież okno i odetchnęłam głęboko. Jeszcze kilka takich wizji, a na pewno nie pożałuję pieniędzy na specjalistyczną wizytę.

- Miraaaa! - Poczekaj chwileczkę i zastanów się, o co poprosisz, bo zupełnie niechcący mogę ci czegoś dosypać...

- Tak?

- Przynieś jeszcze pieprzu, bo coś mało doprawione to jedzenie. - A czy kiedykolwiek było doprawione? Zawsze było coś nie halo.

- Już niosę.

Zupełnie nieoczekiwanie podniosła mi się jedna brew, a ręka powędrowała do zakrętki od pieprzniczki. Odkręciłam ją delikatnie. Ciekawe... czy wystarczy tylko przechylić buteleczkę...

- Proszę cię bardzo. - Dosiadłam się od razu do swojej porcji.

- Jasna cholera!!! Kto nie dokręcił pieprzu?! Przecież tego nie da się jeść! - Patrzył na mnie znad czarniutkiego talerza. Makaron wyglądał teraz jak przysypany popiołem. Udało mu się zrobić z mojego spaghetti istne Pompeje.

- To ty zapomniałaś dokręcić ten cholerny pieprz, tak Mira? Czemu mi się tak przyglądasz? - zapytał podejrzliwie.

- Bo wystąpiłeś właśnie w roli Wezuwiusza. - Pochyliłam się nad jego talerzem. - Ciebie jako architekta takie rzeczy powinny interesować. O, popatrz co za wspaniała rzeźba terenu - wskazałam palcem górkę z widelcem.

- Bardzo śmieszne, poproszę o wymianę talerza.

- Aaaa, wymień sobie, wymień. - Szybko wróciłam na swoje miejsce i równie szybko zaczęłam jeść.

- Nie mów, że to już wszystko? Nie mów, że więcej nie ma. - Rzucił się do kuchni w poszukiwaniu pełnego garnka.

- Ano nie ma. Ja się najadłam, a ty? - Przechodząc obok niego, musnęłam go delikatnie w łysinę. - Przecież mówiłeś, że za mało pikantne...

Trzeba jednak oddać sobie nieco sprawiedliwości. Poszwendalam się po domu, zmiotłam tu i ówdzie kurz, ustawiłam książki na stoliku w równy stosik, ale na widok Łukasza gryzącego suchą podwawelską sumienie mnie ruszyło.

- Idę do Ulki - rzuciłam tylko od drzwi.

Świnia ze mnie podła, chamica ostatnia. Przecież tak nie można. Sumienie zaczęło mnie gryźć już bardzo dotkliwie, kiedy od progu powitał mnie zapach smażonej cebulki. Uch. Odruchowo spojrzałam na zegarek. Dochodziła dziesiąta, a przykładna matka i żona przygotowuje posiłek dla małżonka, żywiciela rodziny. Poczułam się paskudnie, a najgorsze, że mogłam postawić siebie w tym samym rzędku co Pawła. Cholera go wie, skąd o tej porze wracał.

- Mirulku, dawno cię nie było. Siadaj, siadaj, przed chwilą odgrzałam pierożki. - Talerz już lądował przede mną.

- Sumienie nie pozwoli mi jeść - burknęłam w stronę parujących, rumianych pierożków i przesunęłam talerz na wolne miejsce obok siebie.

- Oj! A czemu? - zainteresowała się Ula, ściągając patelnię i polewając ją ciepłą wodą. Zasyczało, po kuchni rozniósł się szarobury dym, więc ulokowałam się bezpiecznie przy oknie, uchyliwszy je uprzednio nieco szerzej.

- Bo świnia ze mnie, nie to co ty. - Wskazałam głową na zastawiony stół.

- Gadaj, nie każ ciągnąć się za język.

Streściłam jej więc dzisiejsze zajście, skojarzenie z Wezuwiuszem i kompletny brak współczucia dla drugiej osoby.

- I mało tego, wszystko mu zeżarłam - dokończyłam z żalem.

Po kilku minutach wytrzeszczania oczu Ulka parsknęła wreszcie zaraźliwym śmiechem.

- A musiałybyś zobaczyć jego minę...

- Wyobrażam sobie, uj, Mira - chwyciła się za brzuch - jak ja lubię, jak do mnie przychodzisz.

- Dzięki bardzo. Jeżeli służę tylko i wyłącznie dla podbudowania twojego ego, to już się tutaj więcej nie pokażę.

- Głupiaś. Paaaaweł, pierogi zanieść ci do pokoju? Czy tutaj przyjdiesz? - rozdarła się w kierunku otwartych drzwi do dużego pokoju, którymi przed sekundą przemknął przybyły przed chwilą małżonek.

- Przynieś - dobiegło nas przez ryk telewizora.

- Przycisz, bo dzieci pobudzisz. Proszę. Sól, pieprz...? - Po czym dobiegł mnie jej cichy śmiech.

- Z czego się śmiejesz? - zainteresował się Paweł. - Pewnie sól.

Gdy już mąż został zaopatrzony we wszystko, co tylko się dało, Ula wstawiła wodę i wytarłszy szafkę, usiadła przy stole.

- Podziwiam cię. Mnie to tyle razy przychodziło do głowy, ale nigdy się nie odważyłam na podobne... zuchwałstwo. Pompeje. Kobieto, jak ty coś wymyślisz...

- No co? Musiałybyś zobaczyć ten talerz. Ula... dlaczego się nie odważyłaś?

- Nie wiem. - Zamieszała cukier w cukiernicy. - Może dlatego, że się trochę bałam. Widzisz, ja pojęcia nie mam, co on może w takiej sytuacji zrobić.

- Jak to co? Zdziwić się i tyle.

- Oj, nie, kochana, może trzasnąć drzwiami, wyjść i nigdy więcej nie wrócić - westchnęła, ścisząc głos.

- Niby dlaczego? - Odpędziłam wizję Pawła obejmującego uśmiechniętą panią prezes.

Z pokoju dobiegło nas głośnie szurnięcie talerza. W porę przytrzymałam Ulkę za rękę, bo gotowa była lecieć do dużego pokoju i zbierać naczynia.

- Oj, Mira, a jak chce dokładki? - spojrzała niepewnie.

- To sobie po nią przyjdzie.

Faktycznie, Paweł zmaterializował się kilka minut później. Na mój widok wyraźnie go cofnęło. Przez chwilę toczył ze sobą walkę, w końcu wszedł do kuchni i zadreptał po swojemu.

- Nooo cześć, są jeszcze te pierogi?

- Są, są, już ci nakładam. Cebulki też? - Ula zerwała się z krzesła, nie zwracając uwagi na moje kiwanie głową. Mogłaby mi odpaść, a ona i tak dwoiłaby się i troiła, żeby tylko Pawełek dostał wszystko, na co tylko będzie miał ochotę.

- Też.

Zabrał swój talerz i zmył się cichutko, nie odzywając się więcej ani słowem. To nie było normalne zachowanie. Zawsze coś zagadał, interesowała go moja praca, aktualne zlecenia, sposób, w jaki się wszystko robi w agencji, zawsze pytał. Dzisiejsze milczenie małżonka umknęło jednak uwadze Ulki. Skupiła się na czymś innym.

- Popatrz, faktycznie przyszedł.

- Nóżki ma? Ma. Rączki ma? Też ma. W ogóle chłop niczego sobie. - Na pytające spojrzenie przyjaciółki nabrałam głębokiego oddechu, po czym wypaliłam: - Więc da chyba radę przenieść te kilka metrów pusty talerz w jedną stronę, a pełny w drugą. Tak czy nie?

- No tak. - Ula pokręciła głową. - Dobrze, że ciebie mam.

A mnie dzisiaj po raz kolejny zaczęły trawić wyrzuty sumienia. Przecież jako dobra przyjaciółka powinnam jej powiedzieć że widziałam Pawła z tą panią, z którą wcześniej były nie lada problemy.

Chyba.

Czwartek

Ile czasu można się szwendać bez żadnego celu?

W końcu ktoś, patrz Tadeusz, raczy mnie udupić i będzie bardzo przykro. Z drugiej strony, nie miałam najzwyklejszego pojęcia, za co się wziąć. Zajrzałam do Moniki, chwilę z nią pogadałam, dała mi jednak szybko do zrozumienia, że ma dużo roboty. Marek też siedział prawie z nogami w komputerze. Stanowisko pracy Jolki wolałam omijać szerokim łukiem, bo nie sposób było zgadnąć, na jaki znowu genialny pomysł wpadnie i ile wysiłku może mnie kosztować jego prostowanie. I pomyśleć, że sam mój widok może tak na kogoś działać.

Tak wybitnie twórczo.

Od incydentu z projektem nie zamieniłam z nią ani słowa. Zawzięłam się i otoczyłam niczym mnich kokonem milczenia.

Konsekwentnie. Dla własnego bezpieczeństwa.

- No i właśnie w ten sposób, tylko w ten sposób - dobiegło do mnie. Skoczyłam do swojego biurka w ostatniej chwili, bo właśnie otwierały się drzwi gabinetu Tadeusza. Mimo jego sympatycznych uśmiechów, peanów na cześć moją i moich umiejętności organizacyjnych nie mogłam ciągle pozbyć się pewnych przyzwyczajęń. Na dźwięk jego głosu stawałam prawie na baczność, a na jego widok wyłaziłam ze skóry, stwarzając wrażenie bardzo zajętej sprawami agencji. Tylko i wyłącznie agencji.

Najpierw wyszedł wskazujący palec miłościwie nam panującego, a tuż za nim strzecha włosów. Na mój widok oblicze pod tą strzechą nieznacznie się rozjaśniło.

- O, Mireńka. Już jesteś? A po co właściwie? Dzisiaj przecież miałaś mieć wolne... Zaraz, nie mów, że zapomniałem cię o tym poinformować? - Poskrobał się w głowę.

- Zapomniałeś. Leciała dzisiaj na złamanie karku, gotowa i chętna do pracy. - Sebastian mrugnął do mnie, uśmiechając się nieznacznie.

- Niedobrze, chociaż... - Tadeusz zerknął na niego, następnie na zegarek, po czym zaczął nas wypychać z biura. - Idźcie, ty Sebol już nie masz zbyt dużo do roboty, a jak zrobisz to jutro, to też nikomu nic się nie stanie.

Próbowałam się opierać, ale efekt opierań był taki, że do jednego przeciwnika dołączył drugi. Podniosłam więc bezradnie ręce, zgarnęłam torebkę z wieszaka i pozwoliłam się poprowadzić Sebastianowi.

I właściwie dobrze. Odbiorę chleb powszedni Ewie i we własnym mieszkaniu umyję okna. Ostatnio doprowadziła mnie do szewskiej pasji.

Właściwie nie ona, tylko Łukasz. Siedział w fotelu i całkiem otwarcie przyglądał się migającym mu przed oczami, a tylko do połowy zakrytym pośladkom. Oczywiście, nic mu nie powiedziałam, bo i po co. Wieczorem jednak w geście rozpaczy odchlastałam nogawki w starych dżinsach. Prawie przy zamku rozporka. Spojrzałam później na efekt tych zabiegów krawieckich i cóż, tu i ówdzie odstawały mniejsze lub większe wałeczki, ale stwierdziłam z zadowoleniem, że całość całkiem przyzwoita. Omijanie szerokim łukiem cukierni i podjadanie u Ulki marchewek - bleee - zamiast wszelkiego rodzaju wypieków, zaowocowało jakimiś tam efektami. Katowanie każdego wieczoru, no dobra, prawie każdego, obolałych kończyn też chyba nie poszło na marne.

Schudłam!

Do tego przymierzyłam kilka skąpych koszulek, a kwieciste sukienki poupychałam na dno szafy.

Chce, niech ma. Mnie tam wszystko jedno.

Wałeczków, tych drobnych, jeszcze się człowiek pozbędzie i może stawać w konkury z każdą Ewą, ile lat by

nie miała. Dodatkowo powzięłam zdecydowane postanowienie, że w miarę możliwości będę jednak sama zmagać się z domowymi obowiązkami. Nie będzie mi tu małolata błyskać gołym tyłkiem.

I znowu postawił na swoim. Powolutku, konsekwentnie wszystko zdawało się wracać do stanu wyjściowego.

- O czym tak dumasz? - Sebastian zajrzał mi w oczy.

- O niesprawiedliwości. W następnym wcieleniu, jeżeli takowe istnieje, życzę sobie być facetem. - Z tą prośbą zwróciłam się ku bezchmurnemu niebu.

- Przecież to wy rządzą światem.

- Tiaaaa, nie pociągnę tego wątku. Przysięgam, nie będę rozprawiać o dyskryminacji i wykorzystywaniu. Niech ci wystarczy, że może wcale nie odpowiada mi rządzenie światem. Zbyt duża odpowiedzialność.

- O czym ty mówisz, Mira. - Zabrał mi torbę, otwierając drzwi, a gdy już usiadłam, umiejscowił ją na tylnym siedzeniu. - Nie wyglądasz mi na feministkę.

- Nie denerwuj mnie, Sebastian. Tu chodzi o czyste leniwość. Kobieta poszła do pracy, na takich samych zasadach utrzymuje rodzinę, jej wkład materialny jest równy wkładowi współmałżonka...

- No niekoniecznie - roześmiał się, puszczając do mnie oko.

- Materialny mówię. Zresztą nieważne, o czym to ja... Aha, oprócz tego jednak dalej rodzi dzieci... No, ta kobieta - wytłumaczyłam w odpowiedzi na pytające spojrzenie znad kierownicy. - W dalszym ciągu to do jej obowiązków, no oczywiście zupełnie nieformalnie, należy sprzątanie, pranie i cała ta cholerna scheda związana z prowadzeniem domu. I jeszcze osobnik potrafi mieć pretensje o to, że ciasta w domu w niedzielę nie ma. Uffff - sięgnęłam po zapalniczkę - mówię ci, wiele bym dała, żeby być facetem.

- A powiedz ty mi, dlaczego zawsze tak bardzo uogólniasz?

- Bo tak - ucięłam.

- To niedobrze. Niech ci wreszcie przyjdzie do tej twojej pokręconej głowy, że nie wszyscy są tacy jak Łukasz. Dobrze zapamiętałem?

- Chyba się obrażę...

- A za co? Można wiedzieć? Za pokręconą czy za Łukasza?

- Za jedno i drugie.

- No wybacz, kochana. Włosy pod prostownicę czy jak się zwie to urządzenie i już nie będziesz pokręcona, a co do Łukasza, to zdaje się ty powiedziałaś to wszystko. Ja...

- Sebastian, a gdzie my właściwie jedziemy? - zainteresowałam się, gdy mijał zjazd prowadzący na moje włości.

- Aaaa, widzisz, z tego wszystkiego zapomniałem...

- O czym?

- Pomóż mi, Mira. Pierścionka szukam dla Moniki. - Złożył ręce i spojrzał na mnie błagalnie.

- Łapy na kierownicę, a mówiłeś, że jesteście zaręczeni - rzuciłam krótko.

- Na światłach stoimy. Ale to tak nieoficjalnie dopiero. To jak? Pomożecie?

- Pomożemy.

Pogoda cud, miód, malina. Nie chciało się wierzyć, że to dopiero początek kwietnia.

Słońce przygrzewało delikatnie, po ulicach snuli się ludzie, najprawdopodobniej z racji wczesnej godziny wyjątkowo się nie spiesząc. Pięknie po prostu.

Czysto było, pięknie i schludnie. Albo bardzo lubiłam to miasto i moje postrzeganie otoczenia było bardzo selektywne, albo faktycznie dbałość o szczegóły była tutaj nieporównanie

większa niż ta, do której przywykłam w rodzinnych stronach. Ilekroć tam jeździłam, widziałam to samo. Zaniedbane, małe miasto. Ożywiane regularnie przez polityków nadszarpujących budżet w okresach przedwyborczych. Tylko wtedy. Smutne.

Ale choćby nie wiem, jak się starali, choćby nie wiadomo ile hektolitrów farby poszło na odrapane budynki, one i tak bardzo szybko zaczynały pokrywać się różnego rodzaju graffiti. I nie żebym miała coś przeciwko sztuce malowania sprayem, ale teksty wypisane koślawymi kulfonami, rojące się od błędów ortograficznych ciężko było podciągnąć pod miano sztuki. Chociaż, pojęcie względne, wzruszyłam ramionami. Sztuka nowoczesna, na ten przykład...

- Pani Miruosławo - dobiegł mnie śmiech Sebastiana - znowu pani gada ze sobą w myślach. Nie zapominaj o mnie, bo czuję się zdecydowanie odtrącony.

Roześmiałam się i złapałam go pod ramię.

- Widzisz, Sebol, zbyt często obcuje sama ze sobą.

- Jak to? Przecież mieszkacie razem, przecież ze sobą rozmawiacie. No ty i Łukasz, nie?

- No niby tak. Poczekaj, poczekaj, jak to szło... Aha, już wiem. Gdzie moje spodnie, nie widziałaś moich czarnych skarpet, umyj kubek, obiad jest w lodówce, no i sakramentalne wynieś śmieci. Czy coś jeszcze... - zamyśliłam się na chwilę, przymrużając oczy. - No może, na którą masz do pracy, czy wyjeżdżasz gdzieś na piątek i sobotę. Taaak, to by było chyba na tyle.

- Żartujesz? A gdzie pytania - jak było w pracy, masz ochotę na kawę, dlaczego znowu wychodzisz wieczorem, ile można siedzieć nad tą książką... Takich nie ma?

Zgodnie parsknęliśmy śmiechem.

- Masz rację. Takie też są. Chociaż nieco rzadziej. Czyżbyś cytował z własnego doświadczenia? - Zajrzałam ze swoich nizin w jego niebieściachne oczy.

- A jak myślisz? - W odpowiedzi na moje spojrzenie pociągnął delikatnie niesfornego loka. Tego, co zawsze opadał mi na nos i co go żadne żele ujarzmić nie mogły. - Wobec tego nie rozumiem. Dlaczego tak bardzo się dziwisz, że gadam ze sobą?

- Może nie tyle dziwi sam fakt, ile to, co wyrabiasz z twarzą w trakcie tej dyskusji. O czym myślałaś?

- O sztuce nowoczesnej, o swoim mieście i innych takich... Patrz, suknie ślubne. Chodź, zajrzemy tylko. - Pociągnęłam go za rękę do jednego z najbardziej ekskluzywnych sklepów.

- Mów po kolei. Miasto?

- Miasto małe, piękne, niesamowicie zielone i mniej więcej tak jak piękne, tak samo zaniedbane. Dasz wiarę? Jedyny okres, kiedy władze interesowały się jego wyglądem, to mniej więcej pół roku przed wyborami. Tak, żeby pamięć wyborców o ich dokonaniach broń Boże się nie zatarła. Szedł sobie taki delikwent ulicą i patrzył na ekipy walczące ze śmieciami... Popatrz, ile falbanek, przecież w czymś takim człowiek wygląda jak beza.

- Apetyczna beza. Co chcesz, fantazyjne, zanim pan młody znajdzie wybrankę wśród halek i haleczek, może mu się odechcieć.

- Czego... - Spojrzałam nieprzytomnie spośród zwojów satyny. Na widok jego uśmiechu zanurkowałam z powrotem w biel, nie czekając na wyjaśnienia. Głupim rumieńcem też nie miałam zamiaru się przejmować - no i o czym to ja...?

- O delikwencie...

- No właśnie. Patrzy i дума, ale „oni” nad naszym miastem pracują, jak dbają, wszystko czyste, pomalowane i za drogi się wzięli nareszcie. Nie mówiłam ci, ale okres przedwyborczy to był szalony czas, kiedy większość głównych ulic w moim mieście była zamknięta z powodu

wymiany nawierzchni. Jezu, ile tu tego... - Wyłoniłam się spomiędzy manekinów. - A one wszystkie takie nieprzyzwoicie chude... Przecież to chyba rozmiar trzydziesty czwarty, na wzrost przynajmniej metr osiemdziesiąt. Jasna cholera. Można się nabawić kompleksów.

- Uspokój się - Sebastian machnął ręką. - Kto jak kto, ale ty...?

Wszystkie sklepy, a zwłaszcza ekskluzywne, mają to do siebie, że prędzej czy później pojawia się bardzo chętna do pomocy ekspedientka i najczęściej próbuje wcisnąć kit o twoim wyglądzie, o tym, w czym ci dobrze. A przeważnie mają taki asortyment, który bez wyjątku pasuje do twojej karnacji czy budowy ciała. Pamiętałam czasy, i tego mi chwilami brakowało, kiedy człowiek mógł przechadzać się pomiędzy półkami w sklepie i jedynym, na co zwracano uwagę, było to, czy czasami niczego nie wynosi, uprzednio za wybrany towar nie zapłaciwszy. Ale niech będzie. Dryfująca ku nam dziewczyna, drobniutka i bardzo krucha, miała niezbyt nachalny wyraz twarzy, więc machnęłam ręką.

- Czym mogę służyć szanownym państwu? - cichym szmerem oddała się do naszej dyspozycji.

- Hm... właściwie... - Spojrzałam niepewnie na Sebastiana.

- Właściwie szukamy jakiejś pięknej sukni dla tej pięknej pani - natychmiast przejął inicjatywę.

Pani zlustrowała mnie spojrzeniem, zmierzyła miarką ukrytą w oczach i podryfowała niczym elf między manekiny z cichym szeptem na ustach:

- Proszę za mną...

No i się zaczęło.

Mitologiczny elf, którego uszu podświadomie wypatrywałam pod równo przyciętym, gładkim kaskiem nieskazitelnych, kruczoczarnych włosów, którego delikatny i

szemrzący głos przywabił mnie niczym syreni śpiew do przymierzalni, przekształcił się zupełnie nieoczekiwanie w mrocznego elfa.

Przeszedł ewolucję w zastraszającym tempie. Despotycznym tonem nakazał zrzucić moje własne łąszki, po czym podsuwał mi kolejne egzemplarze, co chwila pojawiając się i sznurując z niewyobrażalną siłą gorsety przymierzanych sukienek. Niektórym z marszu nie dawał cienia szansy i nie pozwalał mi zademonstrować się Sebastianowi w całej okazałości. Przy zabiegach dodatkowych, typu upinanie włosów w zależności od wykończenia sukni i głębokości dekoltu, zakładanie koralików, pereł i dziwacznych naszyjników, sapał cichutko i złorzeczył coś pod nosem. W momencie, kiedy poczułam, że dłużej już nie wytrzymam i padnę, tak jak stoję, w zwoje tiulu, koronek i bieluńskiej satyny, elf wyraźnie się opamiętał i zatrzymał na chwilę. Bo to, że kobieta wyglądała jak elf, to mało, ona sprawiała takie wrażenie jakby wirowała naokoło mnie w szalonym pędzie, nie dotykając podłogi. Tak więc stanęła i zakomunikowała, wyciągając cieniutki palec w stronę przymierzanych wcześniej sukien:

- Te odpadają. Poszerzają i wygląda pani w nich na zdecydowanie niższą, a przecież nie o to nam chodzi, prawda?

- Uśmiechnęła się na mój wyraźnie słyszalny zgrzyt zębów. - Proszę się jeszcze pokazać w tej i chyba zakończymy... Czy jeszcze jest pani niezdecydowana?

- Broń Boże! - Rzuciłam się w stronę saloniku, w którym na kanapce siedział rozparty Sebastian i popijał rozbełtane cappuccino.

- Oooo, ta chyba najładniejsza! - Zerwał się na równe nogi, przeciągając jednocześnie. - Pokaż się.

Tak, klasycznie. Samiec siedzi wygodnie na poduchach, a samiczka przywdziewa piękne szaty, żeby zrobić na nim

odpowiednie wrażenie. U innych gatunków zdaje się jest odwrotnie.

Ale co tu dużo mówić, lustra były, masa luster, a w nich odbijała się postać drobnej Mireczki. Bo tak właśnie wyglądałam, drobnutko, krucho i niesamowicie delikatnie. Nie zważając na Sebastiana, podeszłam bardzo blisko do jednego z luster i przyjrzałam się sobie. Denerwująca była ta kobiecinka, ale trzeba przyznać jej jedno - elf i czarownica w jednej osobie. Oczy mi błyszczały jak zielone żaróweczki, a włosy, upięte w dziwaczny, ale uroczy koczek, wysmukłały mi twarz i sprawiały wrażenie bursztynowożłoty. Ach, ach, jaka jestem piękna. Obok mojej zachwyconej pojawiła się nie mniej zachwycona twarz Sebastiana.

- A teraz można się w tobie zakochać na zabój - szepnął mi do ucha, mrugając okiem.

- Oj, Sebol - Próbowałam go odepchnąć, ale złapał mnie w pól i zakręcił, imitując weselnego walca.

W jednym z półobrotów zauważyłam przyklejony do szyby nos, a że przekomicznie to wyglądało, siłą rzeczy przyjrzałam się jego właścicielowi. A raczej właścicielce. Aga wpatrywała się w nas z widoczną złością. A gdy jej pomachałam, pokiwała tylko złowieszczą głową i odeszła.

- Mamy problem - oznajmiłam, odpychając Sebastiana. Nagle zachciało mi się jak najszybciej pozbyć wszystkich halek, pętających nogi, i rozsznurować gorset. Niekoniecznie w tej kolejności.

- Co, jakie? - Stał zdezorientowany.

- Agnieszka nas przydybała - oznajmiłam mu już na ulicy, porzuciwszy z żalem swój magiczny wizerunek, odziana na powrót w nieśmiertelne dzinsy i krótką marynarkę. - Widziała nas w sklepie.

- No i co z tego?

- Oj, co z tego, co z tego - przedrzeźniałam go ze złością.
- To z tego, że obraziła się na mnie, to po pierwsze. A po drugie, sam popatrz, jak to wyglądało. Tańczymy razem w sklepie z sukniami ślubnymi, ja odziana jak panna młoda. No jak to mogło wyglądać w jej oczach? Tak obiektywnie poproszę.

- Nooo...

- Nooo właśnie.

- Wy tłumaczysz jej jakoś. Zadzwoń i powiesz, jak było naprawdę. No, Mira, chodź. Zabieram cię na największego kebaba w tym mieście, a później na lody. No chodź. Pamiętasz, mieliśmy korzystać z wolnego dnia... No i taka piękna pogoda... I sukienkę już znalazłaś... No, Mira, nie daj się prosić - kusił.

Uległam.

Składając wszystko na karb ssania w żołądku. Z biegiem czasu zmienia się sposób postrzegania rzeczywistości. Obraz zaczyna się wyostrzać i rzeczy, które wcześniej wydawały się zamazane i chowały się gdzieś w tle, ujawniają się z zaskakującą jasnością. Ale czas terazniejszy ma to do siebie, że bezpieczniej jest nie dopuszczać do głosu rozsądku, bezpieczniej jest przymknąć oczy i pozwalać rzęsom zasłaniać rzeczy oczywiste. Więc przymrużyłam oczy. Pozwoliłam się nakarmić, aż po granice wytrzymałości żołądka, udostępniłam swoje kolana jego błyszczącej głowie i wzdychałam zadowolona. Oczywiście, najbardziej zadowolona z wolnego dnia i słodkiego nieróbstwa.

- Mira...

- Hm?

- Powiedz mi, co z tym projektem?

- Jakim znowu projektem? - Spojrzałam w dół. Sebastian przyglądał mi się uporczywie spod zmrużonych powiek.

- No tym, który spreparowałaś z moich, przepraszam, naszych zdjęć. Ty się zajmujesz grafiką, tak z czystej ciekawości zapytam, profesjonalnie czy tylko dla siebie?

- Co to znaczy profesjonalnie? Jeśli chodzi ci o to, czy mam z tego jakiś grosz, to, niestety, nie.

- O! A dlaczego? To było dobre, nawet bardzo. - Podniósł się na łokciu. - Jak aniołek wyglądasz, z rudawozłotą aureolą. Mogłabyś nam pokazać kilka prac, dodatkowy grafik w firmie się przyda.

- To miłe, co mówisz. Aniołem raczej nie jestem, he, he, a co do moich potyczek z grafiką, to... Hm, na razie nawet nie mam na czym pracować, no i... - podniosłam palec - to żadna prowokacja, ale nie wiem, czy to, co produkuję, ma jakąś wartość.

- Na podstawie tego jednego, który spłodziłaś w warunkach, powiedzmy sobie szczerze, ekstremalnych, mogę stwierdzić z pewnością, że ma. A sprzęt pomogę ci wybrać, płyty z programami mogę podrzucić. A teraz po pierścionek. - Podniósł się i westchnął: - Leniwie, co?

- Ale tak miło... Znaczy miło leniwie. Nic więcej.

- No słucham! - Bojowo nastawiony głos dawał wyraźnie do zrozumienia, że lekko nie będzie, ale było mi to zupełnie obojętne.

- Wiesz co? Nie bzdycz się, bo wyłączę identyfikację numeru i za cholerę nie będziesz wiedziała, że to ja do ciebie dzwonię. Dlaczego uciekłaś? - zaatakowałam. Cisza po drugiej stronie wydawała się potwierdzać dobry wybór techniki.

- No wiesz... A co? Może miałam patrzeć, jak się do siebie migdalicie? I wiesz co, Mira, oszustka z ciebie. Co jak co, ale mnie mogłaś się przyznać. Powiedzieć, jak jest naprawdę, a nie mydlić oczy firmową farsą. - W jej głosie najpierw było słycać złość, oskarżenie, a na końcu żal.

- Wiesz co? Przyjedź ty do mnie, nie będziemy się licytować telefonicznie. Łukasz wyjechał, zrobimy sobie babski wieczór. Z winem albo piwkiem. Jak chcesz? Na słono czy na słodko? No przyjedź.

- A żebyś wiedziała, że przyjadę. Na słodko. Niech będzie, ja zahaczę o naszą ulubioną cukiernię.

Beztrósko rzuciłam ciuchy w łazience i pootwierałam na oścież okna. Agnieszka zapowiedziała się na godzinę dwudziestą, co dawało bite cztery godziny na uprzątnięcie widocznych śladów mojego lenistwa, zrobienie zakupów i namówienie Zabrockiej na wieczorną wyżerkę i plotki. Wdziałam kusą, bawełnianą koszulkę i padłam w fotel Łukasza, zgarniając po drodze papierosy i niezbędne do nich akcesoria. Taaak, podsumujemy, wieczór na słodko oznacza wino.

Co też ten Sebastian powiedział? Ha, ha, ha, że można się we mnie teraz zakochać. No tak, to wszystko wbrew przekonaniu, że szata zdobi człowieka.

Machnęłam ręką. Można by było zrobić sałatkę z ananasem, nie, nie zdążę, ciastka jakieś trzeba nabyć...

I czym on właściwie tak pachnie? Trzeba Łukaszowi zafundować podobną wodę, piękny zapach.

Usiadłam na baczność. W głowie skakały właśnie sobie do oczu dwie Miry, próbując dojść do głosu. Mira Rozsądna stała z kawałkiem pergaminu w malutkiej dłoni i tycim ołóweczkiem, gotowa sporządzać listę na zakupy, listę zadań do zrobienia i za wszelką cenę nie dopuścić do głosu Miry Marzycielki. Ta z kolei podskakiwała, wdzięcznie przechylając głowę to w jedną, to w drugą stronę, furkotała kolorową sukienką i wyciągała, nie wiadomo skąd, coraz to inne obrazy. Uśmiechała się przy tym słodko i mrugała okiem, przepychając przed panią Rozsądną. Zasłaniała ją widokiem moim i Sebastiana leżących na barbakanie i wystawiających

twarze do słońca, licytujących, kto zje więcej lodowych gałek z najlepszej lodziarni na Starówce, wreszcie tańczących sobie bez troski w salonie sukien ślubnych.

- Oj, głupia ty, spadaj! - Machnęłam ręką na kwiecistego kusiciela. - Tak to właśnie jest. Nie wyobrażaj sobie, nie wiadomo czego. Tak, tak, moja miła - mruknęłam do lustrzanego odbicia. - I co z tego, że fantastyczny facet? Co z tego, że cudownie się z nim spędza czas? Guzik, jedno wielkie nic. Więc spadaj, gadzino, bo tu trochę roboty mnie czeka. A o Sebastianie nie będę myśleć. Nie. Nooo... najwyżej wieczorem.

Złapałam MP3, mimo, że nic kompletnie nie stało na przeszkodzie, żeby włączyć swoje ulubione kawałki w naszej wieży, to przyzwyczajenie wzięło górę. Poza tym zdecydowanie lepiej się śpiewa.

Mając na uszach słuchawki.

Przebierałam palcem w poszukiwaniu odpowiednich kawałków... No, niechże się znajdzie coś, co chociaż w połowie będzie korespondowało z moją euforią. Poezja śpiewana, powiedzmy „Jesień” SDM - u, odpada zdecydowanie. Matko kochana, kiedy ja to kopiowałam i w jakim stanie ducha musiałam się znajdować? Dół, dół na miarę kopalni koło Bełchatowa. Tracy też odpada, piękna, ale za bardzo melancholijnie śpiewa. Coś żywego, mocno energetycznego... Wybór padł na Prymityw. Po chwili, rycząc zgodnie z Zygmuntem: wachałem plastikowe kwiaty wczoraj, chwyciłam za odkurzacz.

Obowiązkowe podskoki i wymachiwanie kudłatą głową na wszystkie strony, traktowanie rury od odkurzacza jak szpady i atakowanie nią najbardziej zakurzonych zakamarków - to wszystko składało się na dziki taniec Miruni. Plus jeszcze niewyszukane wygibasy, skłony, zgięcia i wywroty tułowia.

I właśnie podczas wykonywania jednego z nich wpadłam na... Sebastiana.

Masz babo placek.

Co on tu robi, do licha?

Kwiecista sukienka znowu zaczęła furkotać mi w głowie, ale przejęta widokiem jego twarzy, nie miałam na razie okazji się nią przejmować. A na obliczu Seby malowały się przeróżne emocje. W pierwszej sekundzie pomyślałam - „a mam cię, bratku, że to niby tylko ja odbijam myśli na twarzy”, w drugiej jednak dokonałam błyskawicznej oceny sytuacji. Ja sama, półnaga, otwarte drzwi, drę się wniebogłosy... chwileczkę...

- A co ty tu robisz? - wysapałam, ciągnąc koszulkę jak najniżej w dół i modląc się jednocześnie, żeby z jednej nie zrobiły się dwie.

- Płyty... Pomyślałem, że od razu ci podrzucę. Pukałem, ale...

- Wyciągnął w moją stronę pudełka. Najwyraźniej starał się nie patrzeć niżej niż na czubek mojej głowy.

- Aaaa, dzięki...

Boże mój, dlaczego człowiek ma tak mało rąk? Jedna do koszulki, druga do włosów, bo przeraźliwie leciały mi na oczy, trzeciej zabrakło, więc Sebastian położył płyty na szafce w przedpokoju.

- Nie będę ci przeszkadzał. Do jutra.

- Aaaa, dzięki... - powtórzyłam, po czym rzuciłam się do łazienki po spodenki.

Wyszedł, a po chwili dało się słyszeć donośne pukanie. Drzwi otworzyłam już w kompletnej garderobie. Teraz na jego twarzy malowała się złość.

- Jesteś nienormalna, wiesz? Napisz sobie na lusterku w przedpokoju, czy gdzie tam najpierw patrzysz po wejściu do domu, żeby zamknąć drzwi na klucz. Natychmiast. Mira... -

Zrobił taki gest, jakby chciał wyciągnąć do mnie rękę, rozmyślił się jednak, odsunął, po czym zdecydowanym krokiem podszedł i cmoknął mnie w czoło. Wszystko właściwie w ułamku sekundy.

- Do jutra.

I już go nie było.

Kwiecista sukienka już zacierała malutkie rączki, wiedząc dobrze, że niczym jej nie przepędzę. Zamknęłam więc drzwi na klucz i oparłam się czołem o lustro. Zaparowało prawie natychmiast.

Bezwiednie narysowałam literę.

Literę S.

- Ula, do licha, przecież ty też nigdy nie zamykasz drzwi wejściowych na klucz. Pytam, o co tyle rabanu? - wołałam już od progu mieszkania Zabrockich. Ściśle rzecz biorąc, od progu drzwi wejściowych do progu drzwi kuchennych, tam mnie bowiem skutecznie zamurowało i jedyne, co mogłam z siebie wydusić, było ciche: - Oooo... - Bezczelnie rozparty na najwygodniejszym miejscu w królestwie Uli siedział nie kto inny, tylko nasz miejscowy Adonis. Trzeba przyznać, że długo go nie widziałam. Włosy sięgały mu już ramion, nie ujmując ani deka męskości. Dzierżył w dłoniach mój ulubiony kubek. No proszę.

- Oooo... Cześć, Mira - odezwał się pierwszy.

- Miruś - u Uli jak zwykle na mój widok pokazały się dołeczki w policzkach - jakiego rabanu? O czym ty mówisz, kochana?

- O zamykaniu drzwi na klucz. W dzisiejszych czasach. Zresztą nic ważnego. - Za cholerę nie wiedziałam, czy siadać i tradycyjnie zawracać Ulce głowę swoimi sprawami, czy wziąć w troki to, co mam do wzięcia, i się grzecznie odmeldować. I tak źle, i tak niedobrze. Obdarzona szóstym zmysłem gospodyni popchnęła mnie w stronę stołka.

- No siadaj, wodę przecież wstawiłam.

Nie wiem, co mnie nagle poderwało. Czy ironiczne - tak się przynajmniej uroiło wyobraźni Miruni - spojrzenie Michała, czy akryle Ulki. Gdy ściągała kubek z suszarki, mignęły mi przed oczami bielutkie, krótkie, idealnie zrobione frencze. Przecież unikała kosmetyczki jak ognia. Co mówić o kosmetyczce, fryzjera unikała jak ognia. Pokiwałam głową i rzuciłam krótko:

- Uluś, wiesz, ja muszę lecieć. Przychodźcie do mnie dzisiaj z Agą. - Na pytające spojrzenie od strony zlewu dodałam: - Łukasza brak, w planie wino i słodkości. No i ploty.

- Aaa, o której być i co przynieść? - To też nie była znajoma mi sąsiadka. Setki wymówek - dzieci jeszcze nie będą spały, a Pawłowi trzeba zrobić kolację itp., itd.

- A koło ósmej powiedzmy. Zresztą cały czas będę w domu, wyskoczę tylko po jakieś zakupy. Pa. Cześć, Michał.

W osiedlowym markecie nie było sensu robić takich zakupów, jakie miałam w planie. Kilka przystanków tramwajem i sklepów, sklepików ze słodkościami było już zatrzęsienie. I bardzo dobrze, hulaj dusza, piekła nie ma. Przynajmniej dzisiaj. Babski wieczór to całkowite usprawiedliwienie pochłanianych kalorii. Ani mi się śniło liczyć cokolwiek, wyobrażać sobie, o ile będę większa po kawałku sernika wiedeńskiego czy bajaderce.

Absolutnie.

Łaziłam między półkami, lekceważąc burczenie w brzuchu. Co tu dużo mówić, od czasu, kiedy pożerałam do spółki z Sebastianem potężnego kebaba - lodów przecież nie można liczyć, bo toto raz - dwa przez kichy przelatuje i ani myśli żadnego śladu po sobie zostawić, przynajmniej w żołądku - minęło dobrych kilka godzin. Wrzuciłam do

koszyka gorący kubek, tak dla słodkiej odmiany, i ruszyłam do kasy.

Kasjerka przypomniała mi o akrylach Ulki. Co jej odbiło? Tak bardzo nie pasowało to do tego wizerunku, który znałam już tyle lat. Przede wszystkim jednak, co ją do tego skłoniło? Mnie się nie udawało. Ilekroć umawiałam wizyty, zawsze znajdowała pretekst, żeby się tylko wykręcić. A teraz? Może niecny Pawełek znowu się z czymś wychylił i chciała mu w ten sposób odpłacić? Tymczasem kasjerka zakrzywionym pazurem długości kwalifikującej ją spokojnie do Księgi rekordów Guinnessa podsuwała sobie do skanowania poszczególne wiktuały. Wyraźnie szacowała wzrokiem te, które mogły stanowić zagrożenie dla jej paznokci, i ostentacyjnie brała je w obie dłonie, prostując palce tak, że wyginały się nienaturalnie w drugą stronę.

Szacunek. Wielki.

- No mów! - Rzuciwszy wszystkie przytargane artykuły, Aga wbiła mi palec centralnie w klatkę piersiową.

- Oj, daj spokój. Zachowujesz się jak moja mama. Nie, gorzej nawet. - Zabrałam jej palucha i rozmasowałam sobie sfatygowane kostki - wszystko po kolei.

- Słucham? - Z powrotem przymierzała palec, ale w porę usunęłam jej się z drogi i popchnęłam w stronę dużego pokoju, a ściśle rzecz biorąc, fotela, w którym za chwilę rozkosznie się zapadnie i nie będzie stanowić żadnego niebezpieczeństwa dla otoczenia. Dla pewności docisnęłam ją jeszcze miską z chipsami.

- Siedź więc i słuchaj, tylko nie przerywaj. - Opowiedziałam wszystko jak na spowiedzi. Same fakty, bez żadnych emocjonalnych wtrętów. Tak jak sytuacja przedstawia się z punktu widzenia postronnego obserwatora. Oczywiście, musiała wtrącić sprostowanie.

- Z punktu postronnego obserwatora to wygląda tak, jakbyście byli w sobie zakochani po uszy. Wiesz, Mira, może bym i uwierzyła, gdybyście afiszowali się publicznie tylko w miejscu pracy. No, ale to, co dzisiaj zobaczyłam przez tę nieszczęsną szybę wystawową... Powiedz mi - zmieniła ton na kusząco słodki - powiedz, proszę, między wami coś jest, prawda? Nie przejmuj się Łukaszem. Moim zdaniem to niekoniecznie facet dla ciebie naprawdę...

- Daj spokój! Można powiedzieć, że Sebastian to taki przyjaciel, no wiesz... - przed oczami przesunęła mi się jego uśmiechnięta twarz - po prostu przyjaciel.

- A wiesz, że mówisz to zupełnie bez przekonania? - zachrupało od strony fotela.

- Możliwe... bo powiem ci szczerze, że sama nie wiem, co o tym myśleć.

- To ja ci powiem, co masz myśleć. Drzecie się z Łukaszem bez przerwy o najdrobniejszą rzecz, robicie sobie na złość i w ogóle pod tym dachem można zastać spokój tylko, jak jest jedno z was. No powiedz mi, moja droga, o czym to świadczy? Tylko nie wyjeżdżaj mi tu znowu ze stresem przedmałżeńskim, bo nie zdzierzę - uprzedziła mój koronny argument.

- To nic, po ślubie będzie inaczej. Jutro idziemy na pierwszą godzinę kursu... Aga, do licha, koniec wałkowania w kółko tego samego. Ale co do Sebastiana... Masz rację, trzeba to skończyć, bo zaczynam już ich porównywać, a to niedobrze.

- Pewnie, że niedobrze. No cóż - wzruszyła ramionami z wyrazem wyższości na twarzy - a ja mówiłam, że tak będzie.

Paczka ciastek poleciała w kierunku fotela.

- Ooo - dobiegło nas od strony drzwi - faktycznie sympatyczna impreza się zapowiada. Łap, Mirul.

Ula przymierzyła się do rzutu jednym z pakunków, a trzeba przyznać, że trzymała ich w rękach całą masę.

- Ufff, pomóżcie mi, bo za chwilę naprawdę czymś rzucę. Najprawdopodobniej wszystkim naraz.

- Oszalałaś, kobieto? I co niby mamy z tym zrobić? Wykarmić stado wygłodniałych samców?

- Pożreć - padła błyskawiczna riposta. - Pożreć wszystko.

- Chwilunia! - Aga zerwała się z fotela i podbiegła do Ulki. ~ Pani Zabrocka, a cóż to pani z siebie zrobiła? I czy to aby na pewno pani?

- Co niby zrobiłam? Mira, zabierz to wreszcie ode mnie. - Uwolnionymi wreszcie rękami przeczesła włosy. - No co? Nie podoba się?

- Cudnie, pysznie! - Agnieszka skakała wokół niej, poddając szczegółowym oględzinom metamorfozę Ulki. - No, no, no, nie poznaję koleżanki!

- Wiecie co? Za każdym razem, gdy słyszę te peany pod adresem mojego nowego wyglądu, zaczynam dochodzić do wniosku, że musiałam być straszliwie zapuszczona.

- Hi, hi, no, niczym ten ogród po zimie - pokusiłam się na poetyckie porównanie. - Ale, zdaje się, nadeszła wiosna i w twym sercu rozkwitnie cała masa kwiatów, a skowronki zaczną swe trele i tęcza pięknym blaskiem odbije się na twym licu...

- Piłyście już? - zainteresowała się. - Dużo chyba, co? Pokręciłyśmy jak na komendę głowami, po czym natychmiast wyruszyłam na poszukiwanie korkociągu.

- To co? Powiesz w końcu, co skłoniło cię do zrobienia się na kobietę?

- Aga!!!

- No co? Ja tylko pytam, Mira. Ja tylko pytam.

Nikt nie był w stanie na to nic poradzić. Agnieszka, od kiedy ją znam, cierpi na nadszczerłość.

Aż do bólu. Nie zapomnę pierwszego spotkania z nią i solennej obietnicy, jaką sobie złożyłam. Obietnicy dotyczącej zdecydowanego omijania jej osoby. Wystarczy wyobrazić sobie świeżutkie studentki pierwszego roku, podekscytowane, po pierwszej nocy spędzonej w akademiku, rozchichotane i zachwycone nowo poznawanym miastem. A przy tym serdeczne i miłe w stosunku do wszystkiego i wszystkich.

Czekałyśmy grzecznie w kolejce do administracji, żeby dopełnić bzdurnych formalności związanych, zdaje się, z zameldowaniem. Ogonek miał imponujące rozmiary z tego prostego powodu, że duża część studentów przyjechała nie dzień wcześniej, tylko w dniu inauguracji. Więc stałyśmy sobie, uśmiechając się do wszystkich naokoło, gdy podeszła do nas szczuplutka dziewczyna z włosami sięgającymi ramion i dużymi, brązowymi oczami okolonymi długimi rzęsami. W ręku trzymała dwie torby. Mniejsza, skórzana zwisała z ramienia, dodatkowo jeszcze plecak przeginał ją nieznacznie do tyłu:

- Ej, dziewczyny.

- ...???

- Jak to? A... dzień dobry?

- To tutaj jest administracja? - pytała powtórnie niezrażona, tylko mars pogłębiający się na jej czole świadczył o irytacji.

No tak, biedna, zagubiła się, trzeba jej pomóc. Wszystkie rzuciły się z informacjami - od godzin, w jakich jest otwarta administracja, poprzez godzinę rozpoczęcia wykładu inauguracyjnego na wydziale historii, bo akurat okazało się, że również tam zdała, do imion własnych włącznie.

- O Boże, jeszcze jedna Agnieszka! - sapnęła z wyraźną złością, gdy przedstawiło jej się zahukane stworzenie gdzieś z samych kresów wschodnich. Zatkanęło nas na taką jawną bezczelność, ale ona rzuciła bez troski: - To co, jedziemy?

Kilka godzin później okazało się, że dostałyśmy przydział do tej samej grupy. Chciał nie chciał, wyszliśmy razem z akademika i... razem z pytaniem: A pijesz ty piwo, na ten przykład? - jak też kilkoma godzinami spędzonymi w okolicznej knajpce moja obietnica omijania panny Agnieszki obróciła się w proch.

Spojrzałam na nią.

Siedziała z podwiniętymi nogami, patrząc wyczekująco na Ulkę. Dobrze, że jest.

Z tą całą nadszczerością.

Niech będzie nawet, że do bólu.

- No, matko kochana, trzeba z ciebie wszystko wyciągać...? Gadaj, bo chipsami cię obrzucę - zagroziła Ulce.

- Dawaj! - Ula wzruszyła ramionami, uśmiechając się głupawo.

- Szkoda. Poza tym i tak, prędzej czy później, się wygadasz. O! - Machnęła w końcu ręką. - Tymczasem powiem wam, krótko i wyraźnie, jesteście dwie egoistyczne cholery. Ot co. Dlaczego żadna nie zapytała o mojego lekarza? A?

Przy pierwszym kieliszku wina grzecznie słuchałyśmy, jaki z niego przystojny i uroczy młody człowiek. Jak potrafi wszystko zrobić sam, jaki jest delikatny i uczuciowy.

Przy drugiej butelce okazało się, że nie wszystko jednak potrafi zrobić i w kwestii delikatności odbiega nieco od ideału, za którym Agnieszka wypatrywała oczy.

Po opróżnieniu ponad połowy trzeciej butelki stwierdziła kategorycznie, że za chwilę wino wyjdzie jej nosem, i zażądała „browara”, po czym nieco chwiejnie wstała i wyciągnęła nas do sklepu, sprawdzwszy uprzednio, czy nie mam rzeczonoego trunku w lodówce. Nie miałam.

Puszka otworzyła się z sykiem, wylewając nieco piany.

- Pij, pij, bo jak będziesz mniej pijana ode mnie, to ci nic nie powiem. - Po wyjściu ze sklepu obrzuciła mnie kategorycznym spojrzeniem.

- Halo, zdaje się, że spożywanie alkoholu w miejscach publicznych jest surowo zabronione.

- Oj, Mira, nie bądź taka strasznie zasadnicza. Dawaj tę puszkę, Agulu, ja wypiję. Ja ciebie tak bardzo przecież lubię, a dlatego, że tak cię lubię, to wszystko ci opowiem. To Michał namówił mnie na akryle. - Z trudem trzymając się na nogach, Ula wyciągnęła przed siebie małe dłonie i westchnęła do ślicznie błyszczących paznokci - No, może nie tyle namówił, co powiedział, że mam piękne dłonie i powinnam... Jak to było? Ach, powinnam je pięknie ozdobić... Czy jakoś tak.

- To nie fair. To, cholera, nie fair. Mira, to moja sensacja miała być największa...

- Jesteś w ciąży z dentystą!!! - ryknęłyśmy jak na komendę.

- Głupie. On jest... żonaty... - dokończyła płaczliwie, po czym rzuciwszy tę bombę, przysiadła na pobliskiej ławce i zaczęła tryskać łzami.

Spojrzałam na Agnieszkę i byłam gotowa zacząć ryczeć razem z nią, tym bardziej że znalazła sobie wygodne oparcie na moim barku i chlipała żałośnie, wzdychając co chwilę.

Świat się zgubił. Na samym początku. Coś chyba poszło Bogu nie tak. Dajmy na to Adam albo Ewa coś przeskrobali i zdecydował się ich ukarać, łącząc ze sobą na wieki. Tak, tak właśnie musiało być. Pokiwał na nich boskim palcem, wymierzając karzącą ręką sprawiedliwość. „Miałem co do was inne plany, ale nie zasłużyliście sobie i teraz będziecie się mordować ze sobą aż po kres waszych dni, aż po kres dni całej ludzkości” - I tak oto od prawieków męczą się ze sobą, wlokąc razem przez życie z coraz to większymi do siebie pretensjami. Odchodzą, zdradzają, by po chwili powrócić do siebie. Innych

siebie, a jednak takich samych. Czasami z podobnym bagażem doświadczeń, wadami charakterów, podobnie do siebie nie pasując. Na wieki wieków. Bardzo refleksyjnie działała na człowieka wypita butelka wina.

A te refleksje całkiem przyzwoite i sensowne nawet.

Otrząsnęłam się jednak, bo przeciągły ryk z jednej strony, a niekontrolowany chichot z drugiej zdecydowanie nie sprzyjały refleksjom.

Trzeba było się stąd zabierać, bo przez przypadek możemy skończyć w miejscu zupełnie nieodpowiednim dla trzech porządnych niewiast.

Pytanie za sto punktów.

Jak mam sobie z nimi poradzić? Ha, jedną zarzucić na jedno ramię, drugą na drugie i pogwizdując radośnie, ruszyć z buta na piąte piętro.

A cóż sobie będę żałować? Bo że obie wymagały transportu, to się rzucało w oczy.

Już byłam gotowa lecieć po Pawła, gdy, jak zwykle, w najmniej oczekiwanym momencie pojawił się potwór ze swoim uroczym i diabelnie przystojnym panem.

- Michał!!! - rzuciłam się na niego, nie zważając na zajadłe szczekanie.

- Ooo...

- Pomóż, bo sama ni cholery nie dam rady! - Ucapiałam go za rękę i ani myślałam puścić, mimo że na widok zwłok zajmujących teraz już całą ławkę cofnął się nieznacznie.

- Co im się stało? - W celu rozwiania wątpliwości wskazał palcem moje koleżanki.

- Podejdz bliżej i powąchaj, to się dowiesz - sapnęłam złośliwie, próbując unieść Agnieszkę do pionu.

- Dobrze, że was nie zgarnęli. Zibi, zamknij jadaczkę i do domu. Chłasnij ją w twarz, może da się trochę ocucić - doradził łaskawie, ciągnąc Ulę.

- Z reguły nie bijam kobiet, ruszże się, babo ty jedna. AGA, POLICJA IDZIE!!! - ryknęłam jej w ucho. Poskutkowało.

- Co izie, gdzie izie, przepraszam, panie włazo. - Zasalutowała do Michała i ruszyła na oślep przed siebie.

Udało nam się dotrzeć na moje nieszczęsne piąte piętro i zgodnie z Michałem zdecydowaliśmy, że wielce niepedagogiczne byłoby pokazywać czwórce nieletnich dzieci rodzicielkę w takim stanie. O odesłaniu Agnieszki w ogóle nie mogło być mowy, bo po przekroczeniu progu runęła jak długa w przedpokoju, by po chwili zwinąć się w kłębek i zasnąć snem sprawiedliwego.

- Michał, zostań chwilę, bardzo cię proszę. - Posadziłam go w kuchni i nie czekając na odpowiedź, otworzyłam butelkę piwa. Jedną dla niego, drugą dla siebie. Po czym łyknęłam sobie solidnie.

- No, no, no, damie nie przystoi tak pić.

- Nie pretenduję.

- Nieważne, ale jeżeli za chwilę padniesz tak jak one, to nie będę cię piastował. - Podniósł ręce w obronnym geście.

- Dam ci najpierw numer telefonu, znajdzie się taki, który będzie miał na to ochotę. - Nie wiadomo dlaczego, pomyślałam o Sebastianie. Mało, że pomyślałam, zobaczyłam jego poczciwą mordulę wpatrzoną we mnie jak w obrazek, gdy mierzyłam sukienki ślubne. - Michał, porozmawiaj ze mną.

- Niczego innego nie robię.

- Nie tak, poważnie ze mną porozmawiaj. Powiedz mi, czy ty kiedykolwiek byłeś zakochany? Czy wiedziałeś, że to ta jedyna, ta do grobowej deski i w ogóle? Że z nią chcesz spędzić resztę życia, no wiesz, na dobre i na złe...? Tylko nie wciskaj mi kitu.

- Oj, Mira, Mira, popatrz na mój serdeczny palec, a znajdziesz odpowiedź. Chociaż z drugiej strony, mam niejasne wrażenie, że cały czas chodzę zakochany, a ostatnimi czasy szczególnie - westchnął ciężko.

- Opowiadaj - zażądałam.

- Nie ma tu zbyt dużo do opowiadania. Historia stara jak świat. Ona, niestety, mężatka.

- Znowu mówisz o którymś rozdziale swojej książki - stwierdziłam z pretensją.

- Nie. Niestety nie. A tak nawiasem mówiąc, mogłabyś mi oddać pierwotną wersję.

- Jeżeli znajdę. Jeżeli Łukasz nie wyrzucił - prychnęłam.

- Mira...

- No?

- Ty ciągle szukasz...

- Szukam, szukania mi trzeba... - zanuciłam cichutko.

- Może, jeżeli jeszcze nie znalazłaś, to sobie daruj to małżeństwo. Przepraszam, bo ładuję się z kopytami, ale tak jakoś łapie mnie za serducho, jak ludzie świadomie siebie kaleczą. Miłość to...

- Nie pluszowy miś, ani kwiaty, to też nie diabeł rogaty, ani miłość kiedy jedno płacze, a drugie po nim skacze. A skąd ty w ogóle wiesz, kochaniutki, że ja szukam, a może Kocham mojego Łukaszka nad życie i obejść się bez niego nie mogę? He?

- No i sama sobie odpowiedziałaś, dobra - podniósł ręce - nie ruszam już prywaty. Nie chcesz się wygadać, nie trzeba, może i nie ta osoba, ale ja ci dobrze radzę, Mira, nie pakuj się w to małżeństwo. Przecież widzę, co się dzieje.

- Pozwól, jak będę potrzebowała rady, to się o nią zwrócę, dobrze? Papierosa? - Nie miałam najmniejszej ochoty wywlekać swoich rozterek na światło dzienne, bo jeszcze sama bym uwierzyła, że istnieją jakiegokolwiek przesłanki ku

temu, żeby przesunąć datę ślubu. A wizja, która nadpływała automatycznie, to mało przyjemna i łatwa do przewidzenia reakcja mojej mamy. Jej rozpacz i niszczenie sobie misternej ondulacji. Brrr. Wygodniej byłoby się zająć sensacjami dzisiejszego wieczoru. Obie moje urżnięte - w chwili obecnej w trupa - przyjaciółeczki rzuciły niezłe bomby. Agnieszkę będę pocieszać jutro, ale - zerknęłam na Michała - sprawcą Uleńkowego ładunku był siedzący naprzeciwko mnie osobnik. Rozwalony na kuchennym stołku i wpatrujący się w ciemne okno rozmarzonym wzrokiem.

- Skąd przyszło ci do głowy, żeby namówić Ulę na kosmetyczkę?

- Eee, hm, no jak to skąd? Tak po prostu. Ma ładne dłonie i dłuższe paznokcie jej pasują. Takie wiesz, niezbyt długie, te moim zdaniem wyglądają wyśmienicie. W tak podkreślonych palcach zupełnie inaczej wygląda trzymany kubek czy filiżanka, a jak już wykraja pierniczki albo formuje, tak szybko i sprawnie, bułeczki serowe, to aż bierze mnie chęć, żeby... - rzucił mi szybkie spojrzenie - ...żeby, eee, to wszystko zjeść na surowo. Pysznie Ula gotuje. Nie?

- Tak. Ja powiem, ci szczerze, do pięt jej nie dorastam kulinarnie, przysięgam. - Zapatrzyłam się w opróżnioną już do połowy butelkę. Wyciągnę z ciebie wszystko, bratku, dasz się podejść i na rzęsach stanę, a dowiem się, czy w twoich zachwytach na pewno chodzi tylko o rozkosze podniebienia. Uniosłam butelkę: - Repeta?

- A wiesz, że się skuszę. Nic mnie jutro nie goni, nie muszę wcześniej wstawać, a miło się z tobą gawędzi.

- No to zdrówko. Żałuję, że dziewczyny padły tak szybko. Wieczór miał zupełnie inaczej wyglądać. Miałyśmy siedzieć do bladego świtu i rozprawiać nad sensem i bezsensem istnienia.

Tymczasem Aga musiała najwyraźniej się upić. Okropność - westchnęłam.

- Co takiego, upicie? - zainteresował się grzecznie.

- E, nie. Facet, z którym spotykała się prawie pół roku, okazał się szubrawcem i oszustem, jakich w ostatnich latach mnoży się bez liku. Żonę ma i nawet dzieci w dorobku, a jej się wydawało, że są o krok od ślubu. Cham, co?

- Cham.

- Powiedz mi, czy wy dysponujecie czymś takim jak sumienie? - zainteresowałam się nagle.

- My mężczyźni? Masz denerwującą tendencję, Mira.

- Niby jaką? - Dmuchnęłam w butelkę, podciągając pod siebie nogi.

- Uogólniania. A ja wolę nie odpowiadać za ogół. Ja bym nie mógł. Podwójne życie by mnie wykończyło. Chyba. Nie wiem.

- A teraz o sumieniu opowiedz - poprosiłam, poprawiając się na taborecie.

- A sumienie... - Łyknął piwa. - Spotkałem się niejednokrotnie z opinią, że to zupełnie zbyteczny wynalazek. Ktoś mi kiedyś tłumaczył, że od początku ludzkości już ogromna liczba sumień obróciła się w proch. I co? I nic po sobie nie pozostawiła. Podobno od wyrzutów sumienia można nabawić się wrzodów na żołądku, ale chyba nie podzielałam tej opinii. Reasumując, podwójne życie jest niedopuszczalne, sumienie jak najbardziej potrzebne. Tyle o mnie.

- Taaaak, wszystko pięknie. Tyle, że jesteś teoretykiem. Nikt cię nie zaobrączkował, więc spojrzenie na te sprawy może nie do końca masz prawdziwe.

- O czym ty mówisz, Mira? - oburzył się - Przecież moje zasady nie ulegają zmianie w zależności od stanu cywilnego.

- No i właśnie obawiam się, że ulegną. Za dużo mam przykładów naokoło, taka na przykład Ula - rzuciłam przyglądając mu się badawczo.

- Co z Ulą? Ula jest fantastyczną kobietą poświęca się bez granic całej rodzinie, ten cały Paweł - prychnął - jest w czepku urodzony, że w dzisiejszych czasach trafiła mu się taka żona.

- Jaka? Że co? Że biega naokoło swojej rodziny? - Przynęta została zarzucona.

- O czym ty mówisz? - Łyknął, całego haka z paskudnym robakiem, nawet się poderwał z siedzenia i wyprostował jak struna. - Mira, ja chyba nigdy w życiu nie spotkałem równie wrażliwej kobiety. Co ty mówisz o gotowaniu i pieczeniu, to wszystko można kupić w sklepach, ale ona przyprawia temu domowi cudownego klimatu, nigdzie, w żadnym domu, nie wyłączając swojego własnego, nie czułem się tak jak tam. Ona swoją osobą potrafi sprawić, że wchodzisz tam i wciąga cię ciepło, to tak jakby ktoś cię obejmował mocno ramionami. Rozumiesz?

- No rozumiem. - Odsunęłam się niepewnie, bo pochylił się nade mną i zamachał rękami.

- No... - Zerwał się nagle. - A o której ty jutro musisz być w pracy? Co? Najwyższa pora kłaść się spać. Nastaw sobie budzik. Cześć.

- Stój! - wrzasnęłam, nie bacząc na śpiące przyjaciółki. - Stój, mówię. Michał, a ciebie kiedy wzięło? Bo wzięło, nie zaprzeczysz.

Tu cię mam bratku. Oklapł na podłogę i wpatrywał się we mnie, zdając sobie chyba sprawę, że został podpuszczony. Zrobiło mi się głupio, bo w tym jego spojrzeniu było tyle żalu i smutku, że aż za serce łapało.

- Nie wiem, nie mam pojęcia. Przychodziłem tam na kawę, przynosiłem jej książki, o których później rozmawialiśmy, chyba bez końca. Potrafiła stać z nożem w

ręku, panierować kurczaka i jednocześnie tłumaczyć mi wyższość emocji nad rozumem. Tak nagle to spadło. Jednego dnia po prostu na nią patrzyłem i jej słuchałem, a drugiego... Wracała skądś z dziećmi, z naręczem tulipanów w jednej ręce, z ogromną siatką w drugiej i śmiała się, śmiała się z czegoś, co powiedziała Zosia. Podszedłem i chciałem zabrać jej tę siatkę, a ona spojrzała na mnie roześmianymi oczami i powiedziała: „Oj, chyba nie dasz rady, Adonisie”. I wiesz co? Miała rację. Ja nie wiem, jaki kawał ciągnęła zakupy, ale choćby to było sześćdziesiąt metrów, ja już bym wymiękł. Ale wziąłem, bo przecież nie honor, tym bardziej że dzieciaki mnie obkoczyły jak małe psiaki. „Nie da rady, nie da rady, a pan Michał nie da rady”, tak wołały. Więc zacisnąłem zęby i jak ostatni egoista dziękowałem Bogu, że nasza klatka ma windę. A ona była taka roześmiana, wiesz? W rozpiętym różowym sweterku i z iskrami w oczach. O Boże. Najgorsze było jednak to, co zobaczyłem później. To, co stanowiło tony w niesionej torbie. Mira, tam było wszystko - od ziemniaków, poprzez kartony z mlekiem, skończywszy na proszku do prania. Czy takich rzeczy nie powinien kupować facet? Powiedz mi.

- Powinien, powinien Michał. Ale przede wszystkim powinien doceniać ten skarb, który ma - rzuciłam w przestrzeń nad jego głową.

- A nie docenia, prawda?

Patrzył na mnie oczami zbitego psa albo małego chłopca, który marzy o gwiazdce z nieba. Wie dobrze, że jest za wysoko, że nie może jej dostać, ale marzy o niej, bo jest taka piękna. Może dlatego też, że jest taka nieosiągalna.

Nie wiedziałam.

Piwo szumiało mi w głowie i potęgowało współczucie dla walającego się po kuchennej podłodze nieszczęśnika. Zaczęła też kiełkować w nieokreślonym miejscu i kierunku zazdrość.

Już po raz kolejny tego wieczoru zachciało mi się wyskoczyć ze swojej skóry i znaleźć się w czyjejs. Chociaż przez chwilę poczuć, że wszystkie te słowa wylewające się szerokim strumieniem z Michała dotyczą mnie. I nie chodziło tu o niego konkretnie, niechby jego miejsce zajął Łukasz. Ale niech chociaż raz powie coś takiego, niech zauważy te rzeczy, które chciałabym mu pokazać, niech spojrzy na mnie inaczej.

Wzrokiem pozbawionym widoku porannych śpiochów w oczach, potarganych włosów, a zresztą, do cholery, to też powinien we mnie kochać, to też powinno go we mnie czarować.

A nie czaruje.

I, co najgorsze, nigdy nie czarowało. Łukasz na widok mnie ciągnącej siaty z zakupami popukałby się w czoło, ale na pewno nie zauważyłby w tym niczego uroczego. A co do kwestii pomocy? Proste. Zrobiłaś zakupy, to je nieś, ja do nich palca nie przyłożyłem i nie przyłożę.

Ale żołądek przykłada.

Kątem oka zauważyłam ruch w drzwiach, na tyle szybko odwróciłam głowę, że zdążyłam zauważyć szeroko otwarte i zdawałoby się zupełnie trzeźwe oczy Uli. Położyła palec na ustach i cichutko się wycofała.

Księżyc wlaził mi bezceremonialnie do mieszkania. Trochę byłam na niego zła. Wszędobylskim strumieniem swojego zimnego światła wydobywał z mroku sajgon, który pozostał po babskim wieczorze, kolejno wskazywał brudne popielniczki, salaterki i miski z resztkami chipsów. Po wyjściu Michała zapanowała nareszcie względna cisza, przerywana od czasu do czasu głośnym chrapnięciem, o które podejrzewałam Agnieszkę. Brzmiało znajomo już od wczesnych lat studenckich i zdecydowanie świadczyło o stanie głębokiego upojenia alkoholowego. Chrap sobie, kochana, na zdrowie, Mirunia się tobą zajmie jak zwykle, spokojna głowa. Na drugi

dzień zawsze umierała i moim zadaniem, jako dobrej koleżanki, było jak najszybsze postawienie jej na nogi. Przedarłam się przez duży pokój w kierunku kuchni. Zdecydowanie trzeba było machnąć ręką na bajzel zalegający całe mieszkanie. Jutro posprzątam, oby tylko zdążyć przed powrotem Łukasza. Zapowiedział się na późne popołudnie, ale spokojnie mogłam wziąć poprawkę na późny wieczór. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się, żeby wrócił o czasie do domu.

I bardzo dobrze. Akurat tym razem. Otworzyłam na oścież okno w kuchni, bo ciąg powietrza leniwie wpadający przez lufcik nie byłby w stanie wygonić oparów tytoniowych jeszcze przez dobrych kilka dni. Odetchnęłam świeżym powietrzem, wychylając się przez parapet. No tak, w dole, po chodniku snuła się smętnie wysoka postać. Przygarbiona, ciągnąca jedną długą nogę za drugą i tak rozpaczliwie samotna, że chciało się pobiec i co najmniej ją przytulić. Tę postać. Prychnęłam.

Oto Mira, dobroczyńca ludzkości i miłosierny samarytanin w jednym. Promocyjny miks dla przedstawicieli płci brzydkiej w szczególności. Jeżeli dany przedstawiciel dysponuje odpowiednią dawką uroku osobistego, może liczyć na jakiś dodatek gratis.

Uch! Najwyraźniej wypite browary zaczęły działać i na mój oporny na alkohol organizm. Faktycznie, gotowa byłam lecieć do nieszczęsnego Michała ze słowami, a pewnikiem i nie tylko, pocieszenia. Machnęłam ręką i ostentacyjnie odwróciłam się do okna plecami. Po jaką cholere ja tu właściwie przyszłam... Donośne chrapnięcie wróciło mi pamięć i już po chwili stawiałam przy łóżku Agnieszki ogromny kubek, litrową butelkę wody niegazowanej i musujące tabletki o cudotwórczych właściwościach.

Piątek

- Coś nieciekawie dzisiaj wyglądasz. - Głos Sebastiana poderwał mnie na równe nogi. - Oooo, wybacz, chyba cię przestraszyłem...

- Cześć, Sebol - zaszemrałam, z powrotem opadając na krzesło.

- No co tam, strasznie marniutka jesteś? Za bardzo cię wczoraj wyganiałem po mieście czy jak? - Przesunął klawiaturę i usiadł na moim biurku, zaglądając z bliska w oczy.

Oj, kochany, prawdę powiedziawszy, wolałabym, żebyś zostawił mi chociaż kawałek miejsca na świeże powietrze.

I nie tylko. Niektórzy potrzebują mniejszego, inni większego terytorium. Chciał nie chciał, przyszło mi należeć do tej drugiej grupy. Od chwili poczęcia wymagałam maksimum prywatnej przestrzeni. Mama, od kiedy pamiętam, powtarzała mi, że wszyscy prorokowali bliźnięta, do tego stopnia się w niej rozpychałam. Kiedyś nieopatrznie rzuciła, że byłaby w stanie pogodzić się nawet z licznymi rozstępami, byleby wszystko, znaczy urodzenie dwójki dzieci, machnąć za jednym razem.

Jedną ciążą.

Niestety, moje przyjście na świat jako singla było dla niej okropnym rozczarowaniem. Tato nigdy jakoś nie chciał się na ten temat rozwodzić, ale ona niejednokrotnie powtarzała, że nie mogła się otrząsnąć, gdy podali jej dzieciątko razem z informacją - trzy sto waga i pięćdziesiąt dwa długość. Jakże to? A gdzie drugie? - spytała. Pielęgniarka tylko prychnęła i poszła dalej obładowana jeszcze dwoma kwilącymi pakunkami. Taaaa, dane mi było przyjść na świat i rzucić pierwsze spojrzenie na najdroższą, z założenia, kobietę z pozycji straconej.

Odsunęłam krzesło nieznacznie do tyłu. Jednocześnie Sebastian podarował mi dobrych parę centymetrów swobody. Odetchnęłam. No dzięki ci i za to.

- Nie wyganiałeś. Podejrzewam, że kondycję mam nieco lepszą od ciebie. Zarwana noc, babski wieczór, delikatny, pulsujący ból głowy i tyle. - Wzruszyłam ramionami. - Poza tym, zastanawiam się, co zastanę po powrocie do domu. Zostawiłam Agnieszkę w stanie kompletnego rozkładu, że o mieszkaniu nie wspomnę.

- Mamy godzinę do powrotu Tadeusza, jeżeli chcesz...

- O nie. Tę godzinę wolałabym zdecydowanie poświęcić na dojście do siebie. A Agnieszce wyślę za jakiś czas - zerknęłam na zegarek - SMS - a. Albo do niej zadzwonię. Oj, nie wiem jeszcze. I jakoś nie mam ochoty się nad tym zastanawiać. Idziesz na kawę... Brrr. Albo może dzisiaj wyjątkowo wodę?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, ruszyłam sama do kuchni. Jeżeli człowiek liczy na spokój, ciszę i samotność, może, i z reguły tak jest - się przeliczyć. Na parapecie, rozwaliwszy się bezwstydnie, rezydowała Jolka.

No szlag by ją trafił. Na mój widok zgarbiła się i powróciła do przerwanej konsumpcji. Bardzo szybko pochłaniała bagietkę, najwyraźniej suto doprawioną majonezem, bo charakterystyczna w wyglądzie i zapachu substancja ciekła z każdej strony bułki.

Na podłogę. To dlatego wybrała parapet. Mogłam dać sobie rękę uciąć. Stół wypadałoby wytrzeć, a plamy na podłodze będą mniej zauważalne. Swoją drogą, jak ona to robiła? Objadała się różnym paskudztwem i to, cholera, najbardziej kalorycznym z możliwych, a jedyne, co wydawało się najbardziej wypasione w jej figurze, to biust. To był kolejny z licznych powodów, dla których płeć piękną mógł trafiać na jej widok szlag.

Płec piękną zaś na gigantycznym kacu mógł trafić szlag do potęgi entej.

- Cześć, Miruniu, gdzie się podział twój sssień? - rzuciła z pełnymi ustami.

- Moja sień vel przedpokój w stałym miejscu, między kuchnią a dużym pokojem, ale bardzo cię proszę, powtórz, bo chyba niekoniecznie dobrze zrozumiałam - rzuciłam, grzebiąc w lodówce. Gdzieś tu, cholera, była moja woda. Zostawiłam kilka dni wcześniej. Mała buteleczko, znajdź się! Oj, oj, oj, jak bardzo mi jesteś teraz potrzebna.

- Tak sobie myślę...

- Myślisz...? Ciekawe - mruknęłam. - Nie widziałaś może gdzieś tu na półkach takiej małej butelki z wodą niegazowaną...?

- Tak sobie właśnie myślę, że na twój widok prysnął, gdzie pieprz rośnie. Co do wody... - Miast, miast, no nie, za chwilę bulgocząca od rana zawartość mojego umęczonego żołądka może się znaleźć za czyimś dekoltem - ...była mi potrzebna. Kwiatek w korytarzu usychał. No, ale powiedz, dlaczego tak fatalnie dzisiaj wyglądasz? Wprawdzie na co dzień też nie prezentujesz się najlepiej, no ale dzisiaj...

To nadszczerość czy czyściuteńkie, bez żadnych rozcieńczaczy chamstwo? Koncentrat jednak, zdecydowanie, stwierdziłam, przyglądając się umazanemu majonezem szydarczemu uśmiechowi.

- Mówisz? - Przejrzałam się w szybie za jej plecami, po czym dodałam konfidencjonalnym szeptem: - No widzisz, wydało się. Byłam wczoraj u pewnego magicznego doktora.

- Nooo, no i co? - zainteresowała się, a ostatki bułki zawisły między nieskazitelnymi ustami a biustem.

- Ha! Wstrzyknęło się to i owo, tu i ówdzie. Podobno za dwa, trzy dni opuchlizna zejdzie. - Zejdzie pewnie już jutro, ale tego Jola widzieć nie będzie. A tak na marginesie,

wypływałam na zupełnie nieznanne mi wody, mając przed sobą eksperta. Jakby nie patrzeć. Ostrożnie.

- O, dobry pomysł, bardzo, ja się długo zastanawiałam, ale patrz - uniosła brodę - takiej szyi bym nie miała bez odpowiedniej profilaktyki. A czoło? Co powiesz na czoło?

- A co mam powiedzieć? - Przyjrzałam się miejscu nad cieniutkimi brwiami. - No, nieskazitelne.

- A widzisz, botoks czyni cuda. Dwa razy już miałam wstrzykiwany. Oczy też poprawiałam. Cholera! - Majonez wylądował centralnie w rowku. - Chusteczki, Mira, daj chusteczki. To tłuste paskudztwo! Szybko, no! - Machała ręką, przyspieszając wędrówkę kleistej ścieżki w głąb łądu.

- Nie mam - wzruszyłam ramionami. - Coś wycierałam ostatnią... Aaa, czekaj, zdaje się ktoś wlał za dużo wody do kwiatka w korytarzu... Taaak, na to poszły moje chusteczki.

Wdech, wydech, wdech, wydech.

Nie wściekaj się, bo nie ma na kogo. Ani o nic, tak na dobrą sprawę. Zabrałam od Moniki najnowsze płyty z projektami, pogadałam z nią chwilę, przy czym stwierdziłam, że potrzebuję jednak kilku wiktuałów, żeby doprowadzić się do jako takiego stanu używalności.

Po torebkę i do pobliskiego sklepu na zakupy.

Na widok zawalonego biurka na chwilę wmurowało mnie w podłogę.

O anieli! Cały pożądaný asortyment cudownym trafem wylądował u mnie w biurze. Obok monitora stał równiutko ustawiony rząd. Kefir, butelka wody, napój o dziwnie zielonym kolorze, jogurt pitny - ha - kawowy i kluchy z sosem bolońskim. Rzuciłam się do butelki z wodą.

- Czy pani życzy sobie czegoś jeszcze? Służę pomocą - dobiegło mnie zza pleców.

- A więc to ciebie jakieś dobre duchy natchnęły? - odezwałam się dopiero po opróżnieniu butelki do połowy.

Sebastian wzruszył ramionami. - Powiedz mi, bo nie wiem, komu mam być do zgonnie wdzięczna. Czy tobie, czy tym duchom?

- Jakim duchom? Duchom możesz zapalić świeczkę, postawić obrazek czy co tam sobie chcesz, ale to ja narzędziem w ich rękach - uderzył się pięścią w pierś - a mnie możesz na przykład pocałować w podzięce.

- Sebastianie, nie rozprasza mi tutaj Miruński! - Tadeusz przeleciał nam za plecami jak tajfun - A z jedzeniem, bardzo jednak proszę, do kuchni, baaardzo.

- Ja nie rozpraszam. Ja tylko domagam się tego, co mi się należy - mrugnął do mnie.

I tym oto sposobem rewelacje Michała zostały brutalnie zepchnięte w mojej świadomości na dalszy plan. Troskliwością Sebastiana, nerwowością Tadeusza i ogólnie całym zamętem panującym w biurze. Marek złapał nowe zlecenie i zaczynała się nerwówka łudzaco podobna do tej sprzed paru dni.

Dopiero wysiadając z samochodu - Sebastian uparł się mnie odwieźć, bo „wyglądasz jak z krzyża zdjęta”, doprawdy, dzień przepełniony komplementami - przypomniałam sobie wczorajsze wynurzenia Michała. A to dlatego, że dobiegło mnie charakterystyczne, skrzekliwe szczekanie jego obrzydliwego towarzysza.

- Mira, mówię do ciebie.

- No co tam, Sebolian? - wróciłam do rzeczywistości.

- Mówię do ciebie od dobrych kilku chwil. Czy ty już zasypiasz, czy może przeniosłaś się w inny wymiar?

- A nie za duży chciałbyś mieć wgląd w moją kudłatą łepetynę? - Pytanie załagodziłam uśmiechem, bo już jakby zaczynał się bzdyczyć. Zza rogu wyszedł Michał i zaczął nam się badawczo przyglądać. Niby nie było czemu, bo stałam w niewinnej pozie oparta o drzwiczki samochodu i chociaż

Sebastian pochylił się - niebezpiecznie przekraczając granice zwykłej uprzejmości kolegi odwożącego koleżankę z pracy - to jednak niczego zdrożnego w całej sytuacji dopatrzeć się nie było można.

Jak zwykle z Sebastianem.

- Chciałbym, tym bardziej właśnie, że taka kudłata. Nie groź mi tu palcem, bo to niczego nie zmieni. Co robisz jutro?

Pomyślmy. Dwa dni totalnej laby, chyba że Łukasz coś wymyśli. Dajmy na to biegi przełajowe po parku albo po mieście, cholera wie. Ja osobiście mam ochotę zakopać się z apetyczną książką... - Palnęłam się w czoło, biblioteka! Nie byłam od wieków. Miła pani bibliotekarka przestanie już być miła i miast wyszukiwać mi z zapalem zarówno perełki literatury klasycznej, jak i kiczu zabroni mi wstępu do tego przybytku. Rzuciłam okiem na zegarek. A kurs? Znów palnęłam się w czoło. Nie, powinnam zdążyć. - Pa, kochany, lecę, do poniedziałku. Dzięki.

Kochany...?!

Poleciałam dziarskim klusem do klatki, po to, by biec po chwili już z powrotem na złamanie karku z reklamówką pełną zapomnianych książek. Zasapałam się przeokrutnie już w połowie drogi i musiałam nieco zwolnić tempa.

- Papierochy cię wykończą, Mira. W twoim wieku powinnaś jeszcze śmigać jak gazela. - Nie wiadomo kiedy, Michał zmaterializował się obok mnie, z oddechem ani trochę nieodbiegającym od normy.

- Ki diabeł! Zmówili się dzisiaj wszyscy, żeby mi pufff... umilać życie? Jeszcze powiedz, że wyglądam fatalnie i będzie komplet - sapnęłam, zerkając na niego z wyraźnym zainteresowaniem. Jakby nie było. Zawsze wydawał się interesujący, ale od wczoraj wskaźnik podskoczył o dobre kilka punktów.

- Nie powiem. Nic już nie powiem na temat twojego wyglądu. I tak lepiej niż Ula albo Agnieszka...

- Widziałeś je dzisiaj? - Zatrzymałam się.

- Ruszaj, bo nie zdążymy. Do biblioteki zdaje się idziesz.
- Wyjął mi reklamówkę z książkami z ręki. - Widziałem. Poszedłem do twojego mieszkania około dziesiątej. Zaniósłem kefir i zapas wody. - Wzruszył ramionami. - Uli już nie było. Zdążyła wyprawić dzieci do szkoły i, wyobraź sobie, mimo gigantycznego kaca, zrobiła im wszystkim śniadanie, drugie zapakowała do toreb, aj... A ta twoja przyjaciółka ledwie się trzymała na nogach. Następnym razem nie pozwól jej tyle wypić. Toż to zgroza.

- A tam, zgroza, zgroza - przedrzeźniałam go. - Dorosła zdaje się jest. Niczego jej nie będę zabraniać. Chce, niech pije. Tym bardziej że miała powód. A ty... hm, kolejny anioł stróż dzisiejszego pięknego dnia - westchnęłam.

- Niech zgadnę, pierwszy to ten z granatowego kombi? Nie odpowiadasz, znaczy chyba zgadłem. Nie moja brocha. Mira, słuchaj. Wczoraj wszystkich nas poniosło. - Wykręcił palce, zaciskając je na smyczy Zibiego. - Wszystkim chyba wymknęło się trochę więcej, niż powinno.

- Michał... - przytrzymałam go za rękę - nie tłumacz się, OK? I uważaj, bo udusisz przyjaciela.

Westchnął ciężko i machnął ręką, ciągnąc psa, który najwyraźniej miał ochotę zapoznać się z małą pudliczką.

- Chyba się, cholera, przeprowadzę. Nie wiem, co mam robić.

- Nie ci nie poradzę. Nic nie powiem, bo po tym, co usłyszałam, sama mam niezły mętlik w głowie.

- Ano widzisz.

„No, kochana, twoje specyfiki i troska tego obrzydliwie przystojnego sąsiada postawiły mnie na nogi, inaczej nie oglądałabyś mnie już chyba nigdy w życiu, a mieszkanie

twoje naznaczone byłoby na wieki tragiczną śmiercią oddanej przyjaciółki. Doszłam jednakowoż do siebie, nawet - popatrz - posprzątałam i buziaki przesyłam. Kolejna biba za jakieś pięć tysięcy lat albo i później. Chyba wolę o tym teraz nie myśleć. Odezwę się, pa. A i tak za cholere nie mogę zrozumieć dlaczego ty nie potrafisz się upić :). No i jedno pytanie mnie nurtuje... Jakie miałaś na sobie majty, jak cię Sebastian przydybał na tańcach? Cieplusie, bawełniane z nogawkami czy prowokacyjne stringi z koronki?

:)))" -

Figi.

Bawełniane.

Ze Snoopym.

Porządek zauważyłam, wpadając do domu na ułamek sekundy po książki, list jednak znalazłam dopiero teraz.

Wena twórcza najwyraźniej ogarnęła Agnieszkę bez reszty, bo oprócz tego, że wysmarowała nieprzyzwoicie długą, jak na nią, notkę, pozmywała wszystkie naczynia, to i szafeczki, stołki i stoliki pięknie powycierała. Spojrzałam nawet podejrzliwym okiem na podłogę. „Mam ci zapłacić, czy jak? Takiego błysku od czasu pamiętnej Ewy nie miałam. Buziol." - wystukałam na swojej nokii.

Przez lwią część wieczoru miłe małżeństwo wbijało nam do głowy zasady funkcjonowania związku małżeńskiego. Wymienialiśmy się z Łukaszem karteluszkami i drogą eksperymentu wypisywaliśmy na rzeczonych karteluszkach swoje nadzieje, wyobrażenia i zdanie na temat małżeństwa ogólnie i, nieco bardziej szczegółowo, konkretnie naszych ról w tym związku. Nie bylibyśmy sobą, rzecz jasna, gdyby konflikt nie pojawił się chwilę po rozpoczęciu czytania zapisków.

- Od kiedy to uważasz, że jestem despotką? - sarknęłam nad stolikiem, uśmiechając się jednocześnie do pary gruchającej obok. Łukasz wzruszył ramionami.

- Już dawno próbowałem ci powiedzieć. No, a przynajmniej dawałem do zrozumienia. Twoje musi być zawsze na wierzchu - odszepnął, wpatrując się w kartkę.

- Więc nie żęń się z despotką, poszukaj sobie bardziej układnej kandydatki - warknęłam, tym razem uśmiechając się do prowadzącej. Zaczynała nam się przyglądać nieco podejrzliwie. I po co właściwie wychodzę ze skóry, żeby zachować pozory? Despotka. Oszczyerca, żeby w swoim słowniku oprócz samej terminologii miał jeszcze wyjaśnienia, co dane terminy mogą znaczyć. O nie. Kolejny kwiatek. Skłonność do histeryzowania. Zabułgotało we mnie i już zaczynałam się pochylać w kierunku Łukasza, kiedy przysunęła się do mnie pani Ania. Szczęśliwa matka i żona od lat - bez mała - dwudziestu pięciu. Akurat. Tak sobie myślę, że to fikcja sama w sobie, wyssana z palca na użytek sezonowych grup rozpaczliwców, uparcie wierzących w dobro i szczęście małżeńskie.

- Test wam wychodzi, kochani? Dobre pytania, prawda? Zostały przygotowane przez zespół psychologów, którzy starali się jak najlepiej uświadomić młodym ludziom, czym tak naprawdę jest małżeństwo. Jako ciekawostkę dodam jeszcze, że już kilkanaście par odłożyło termin ślubu po naszym kursie. Doszli do wniosku, że nie są jeszcze gotowi. - Znacząco, albo tak mi się tylko wydawało, poklepała mnie po ramieniu i odeszła do radośnie uśmiechniętego małżonka. Dodać należy, że równie radośnie się do niego uśmiechając.

Blee. Nie wierzę! Obłuda i farsa na rzecz nieszczęśników gotowych podzielić ich los. Pewnie, dlaczegóż to ma być im lepiej. Omamić, stworzyć pozory cudu dzielonego na dwie osoby i hajda na kobierzec, zakładajta ludziska sobie to

brzemie na kark i to czym prędzej, niech nas będzie więcej, więcej uciemiężonych, więcej... Wzdrygnęłam się i niewiele brakowało, a popukałabym się w czoło. Oj, Miruś, jak już się zapędzisz, to bieda. Wróciłam do kartki, a tym samym na ziemię, do grona landrynkowo uśmiechających się do siebie ludzi. Na usta przywołałam sobie również jakiś tam uśmiech. Na czym to ja skończyłam... Mimochodem zerknęłam na Łukasza, po czym przyjrzałam mu się uważnie.

Był podejrzenie czerwony na twarzy.

- Dobra materialne na pierwszym miejscu, tak? Znaczący według ciebie jestem materialistą? - syknął.

- A może nie jesteś? Cały czas cię nie ma w domu, bez przerwy ślęczysz nad jakimiś projektami, a jak już masz czas gdzieś się wybrać, to co? To okazuje się, że to za dużo kosztuje.

- Bardzo ci dziękuję.

Zespół psychologów, ciekawe z jaką specjalizacją? Psychiatrii? Uch, tym z kolei zdaje się zależało tylko i wyłącznie na tym, aby wyprowadzić uczestników kursu przedmałżeńskiego z równowagi.

Najbardziej wyszukany metodami, trzeba przyznać.

A że przygotowanie teoretyczne, a i pewnie praktyczne mieli... Chociaż... Rozejrzałam się po sali. Reszta par wydawała się pochłonięta tak zwaną konstruktywną wymianą zdań. Czyżby tylko nas tak wzięło? Może zbyt emocjonalnie podchodzimy do pewnych rzeczy? Ni cholery, nie mam najmniejszego zamiaru się nad tym zastanawiać. Tyle tylko, że trzeba będzie przeżyć jeszcze kilka piątkowych wieczorów i nie dość na tym. Żeby uzyskać świstek ukończenia kursu przedmałżeńskiego, trzeba będzie w te wszystkie wieczory promiennie się uśmiechać do siebie nawzajem, kiwać głową, no i, generalnie rzecz biorąc, udawać zadowolonych.

Inaczej te serdeczne na wskroś małżeństwo będzie nas nękać pytaniami w stylu, czy aby na pewno jesteśmy gotowi stanąć na ślubnym kobiercu, czy aby na pewno jesteśmy w stanie unieść to brzemie razem - dopóty, dopóki, dla świętego spokoju, się nie poddamy i nie przełożymy terminu ślubu.

Westchnęłam ciężko do swego odbicia w szybie pandy. Zerknęłam na Łukasza, a było na co popatrzeć, bo siedział tak nadęty, że sprawiał wrażenie unoszącego się w powietrzu.

Ha, w takim razie i ja swoją dumę wyciągam z kieszeni. Zadumajmy się razem, każde nieugięte w swojej zawziętości. Voila. Co chwila dobiegało mnie tylko rytmiczne mruczenie, jakby to wtóru aktualnie produkującej się Cher: - Materialiista, cieeeekaawe, hmmm, materialiistaa.

W obopólnej zgodzie udaliśmy się każde do swoich zajęć. Ja zasiadłam do kolejnego dzieła literackiego, a przyszedł małżonek klapnął z głośnym pufnięciem fotela przed telewizorem. Rzuciłam tylko okiem. No tak, telenowela argentyńsko - meksykańsko - peruwiańska.

Cichaczem, nie przyznając się do telewizyjnych preferencji, oglądał to paskudztwo prawie z zapartym tchem, a na moje szydercze uwagi odpowiadał wzruszeniem ramion i stwierdzeniem, że to tylko dla relaksu, dla niego nie jest ważne co aktualnie leci w TV, najważniejsze, żeby mózg odpoczywał.

A że mój się ewidentnie przy czymś takim męczył, zabrałam opasłe tomisko, zaopatrzyłam się w ogromny kubek mięty i zaszyłam w małym pokoju. Przez balkon dobiegały mnie co chwilę komentarze Stasia - ustawiał zdaje się żołnierzy w szyku bojowym i rozpoczynał krwawą walkę na dwie potężne armie.

O tej porze?

Krzyki pokonanych cichły jednak stopniowo wraz z rozkręcającą się akcją w książce. Po kilku stronach nie

dobiegały do mnie absolutnie żadne odgłosy z otaczającego świata.

Wpadłam po uszy w inną rzeczywistość i podróżowałam razem z bohaterami po innym wymiarze, po ziemi, na której maluczko już się ostało istnień ludzkich, a to za sprawą paskudnego wirusa supergrypy. Ci, którzy ocaleli, śnili dwa rodzaje snów...

Sobota

- Dzwonić do Ewy czy może t y się weźmiesz za sprzątanie? - Łukasz stanął w drzwiach małego pokoju z rękami pełnymi... zdaje się brudnych ciuchów. Przeciągnęłam się.

- Jezuuu, wszystko mnie boli. Która godzina? Może kolację zrobiłeś?

- Phi! Kolację? Ja już jestem po śniadaniu i powiem ci szczerze, że to nienormalne czytać do czwartej rano, po czym zasypiać na siedząco. - I kto to mówi? Jakby tobie, kochaneczku, nie zdarzyło się nigdy zasnąć w fotelu przed telewizorem.

- Dobra książka, bardzo dobra. Mniamuśna - westchnęłam, zerkając na opasłe tomisko. Zakładka, aktualnie tę funkcję pełniła łyżeczka do herbaty, tkwiła już zdecydowanie zbyt blisko końca.

- Pytam cię, posprzątasz czy mam dzwonić do Ewy. Wstępnie z nią rozmawiałem, czeka na telefon.

- Nie dzwoń. A tak w ogóle to dzień dobry. - Wyplątałam się z koca i już z kuchni rzuciłam w jego stronę: - Może byśmy razem posprzątali?

Przytuliłam się do jego pleców. W ramach wyciągnięcia ręki oczywiście.

- Jadę na zakupy. - Wyplątał się z moich ramion, po czym rzuciwszy stertę trzymanyh ubrań w przejściu do małego pokoju, ruszył do wyjścia.

- Nieładnie, bardzo nieładnie... - rzuciłam cicho, odczekawszy rezolutnie chwilę po trzaśnięciu drzwi wyjściowych, i zaczęłam przesuwać ciuchy do dużego pokoju. Cel - fotel. Albo jeszcze lepiej pod telewizor, może wystarczy, żeby uformować kupkę zasłaniającą ekran. Poprzestałam jednak na pierwszej lokalizacji, bo żołądek zaczął mi już chyba przyrastać do kręgosłupa.

No tak, w lodówce parówki, masło i jajka. Ileż to czasu już tu leżycie, kochaniutki? Przyjrzałam im się uważnie, nie wiadomo. Z jedzeniem trzeba teraz ostrożnie, zwłaszcza wszelkim pochodnym od ptaków. Pogryzając zimną parówkę, układałam plan porządków. Westchnęłam ciężko. Trzeba trochę rozprostować kosteczki. Niech będzie, polatam trochę ze szmatą, powyginam się z odkurzaczem i zeszywnienie powinno przejść.

Szkoda, że sobota. U Zabrockich dzisiaj jak w ulu, dzieci buszują po całym domu, nie znajdę spokojnego kąta, żeby z Ulą zamienić chociaż słówko. Zerknęłam na sufit. Jakby na potwierdzenie moich myśli zatupało, zastukało i nagle rozległ się głośny łomot.

Uśmiechnęłam się.

Nic to, trzeba poczekać do poniedziałku, od razu po pracy. Tak, właśnie tak. W lusterku napotkałam spojrzenie zszarzałej, nieco już podwiedłej niewiasty, więc czym prędzej się wykapałam i nałożyłam podkład prawie z zamkniętymi oczami. Czemuż ten cholerny czas tak szybko leci? Dlaczego, u licha, jednego dnia wyglądasz całkiem młodo, a drugiego już kurzych łap nie da rady niczym rozciągnąć? Nie uśmiechać się, czy jak? Jedno pewne, sapnęłam jeszcze na odchodnym w kierunku rozkudłanego odbicia, łapać życie za nogi i to prędko, rozłożonymi na maksa rękami, im więcej, tym lepiej.

Z tym solennym postanowieniem poleciałam po akcesoria niezbędne do zaprowadzenia jako takiego ładu w domu. Daleko jednakowoż z nimi nie doszłam, bo wzrok jakoś tak sam z siebie zahaczył o niedoczytaną książkę... No, kilka stron przerzucę, dosłownie kilka. Może ze dwie, góra trzy.

- Miraaa! - Pędziłam na oślep razem z głównym bohaterem przez jakieś pustkowia stanu Maine. Uciekałam, a może raczej wabiłam mrocznego człowieka. Odzienie zdaje

się przemokło mi do suchej nitki, przynajmniej na ramieniu... Mira... Mira? Podniosłam nieprzytomnie głowę. Przede mną jako żywo stał mroczny człowiek, z ściągniętym mrocznym spojrzeniem i wyrazem twarzy. Tylko jakoś tak znajomo wyglądał.

- Hm, no tak. Trochę się zaczytałam... znowu... - Wzruszyłam ramionami i zdjęłam wreszcie wilgotną ścierkę z ramienia, po czym nadając głosowi słodkie brzmienie, rzuciłam: - No co tam kupiłeś?

- Rozumiem, że pranie muszę wstawiać sam? Rozumiem też, że w kwestii sprzątnięcia też muszę radzić sobie sam? Oprócz tego dokończyć projekt, zrobić zakupy, może coś jeszcze ugotuję, kochanie? - To „kochanie” zabrzmiało tak, że wolałabym go chyba w ogóle nie usłyszeć.

- Wiesz co? W małym zostało tylko odkurzyć. Bierz laptopa, zabunkruj się tu sobie, a ja zrobię resztę. - Niech będzie pojednanie, tym bardziej że poczułam się trochę winna.

I nie słuchając już jego sarkastycznych uwag - swoją drogą musiał się tego ode mnie nauczyć, bo od kogóż by innego - ruszyłam do walki z brudem. Ha, nawet przezornie zamknęłam książkę razem z Łukaszem w pokoju.

Poniedziałek

Wybiegałam co moje, wydzwoniłam, odparłam kilkaset ataków Joli, po czym z czystym sumieniem mogłam wracać do domu.

Niekoniecznie z czystym.

Sumienie dało wyraz swemu niezadowoleniu, kiedy to wrębałam się na siedzenie granatowego kombi. A wrębać się musiałam, bo pewne rzeczy należało wyjaśnić.

I kropka.

- Odpoczęłaś podczas weekendu? - zainteresował się Sebastian.

- Odpoczęłam. Można tak powiedzieć. Sebol, słuchaj... ja... a może...

- No wal, Mira.

- Muszę z tobą pogadać - wypaliłam w końcu.

- Przecież rozmawiamy.

- Ale nie tak. Muszę od czasu do czasu zerknąć ci w oblicze. .. Patrz na drogę, proszę.

- OK, no to kawa? Piwo? Soczek? Inne rozkosze podniebienia? A może coś jeszcze? W każdym razie służę.

Stańto na kawie, w sympatycznym i zacisznym lokalu niedaleko agencji. Jednak gdy usiedliśmy naprzeciwko siebie, zupełnie nie wiedziałam, od czego zacząć. No bo cóż powiedzieć temu człowiekowi?

Że mać mi w głowie?

Że zaczynam myśleć o nim coraz częściej w kategorii odbiegającej dość znacznie od klasycznego pojęcia kolegi z pracy?

- Komplikuje się wszystko, Sebastianie... - Nie, no lepiej zacząć nie mogłaś, moja droga, winszuję wyczucia.

- Tak? Szczegóły dawaj. Co się komplikuje?

- Nooo... wszystko. Słuchaj, ja wiem, teatr wychodzi nam bardzo realistycznie, ale czy aby nie zbyt realistycznie? - wybrnęłam. Czy zabrnęłam? To już zależy od niego.

- Hm, zastanówmy się. Możesz mieć na myśli dwie rzeczy. Jedna to, widoczna i już ciut uciążliwa, asysta otoczenia - podniósł palec, po czym dołączył do niego kolejny - druga, hm, ta druga to zdaje się dużo poważniejsza. Mocne zaangażowanie się w rolę którejś ze stron...?

- Nie wchodząc w szczegóły, bo to, przyznasz, odrobinę krępujące, chodzi mi raczej o tę drugą kwestię. - Modliłam się w duchu, żeby nie pociągnął tego dalej. Nie ciągnij, proszę, prooszęęę.

- Jasne. A więc koniec fikcyjnego związku Mirosławy i Sebastiana? - Przyglądał mi się bacznie znad parującej kawy.

- Koniec.

- Koniec przytulania się, przypadkowego cmokania w czoło i... nie tylko?

- Definitywny! - Nieee, zakrzyczało mi coś w środku. Zamilcz, obłudnico.

- To pewnie znaczy też, że już cię nie zobaczę w samych tylko majteczkach z uroczym psem w, hm, jakby tu rzec, w nader uroczym miejscu?

- Sebastian!!!

- Dobrze już, dobrze. - Podniósł ręce, kapitulując. - Musiałem się upewnić, bo wiesz... Szkoda, cholera.

Mało powiedziane.

Przez otwarte okno dolatywały mnie rozmaite zapachy. Królował wśród nich jeden, wybijał się zdecydowanie na prowadzenie i powodował gwałtowny skręt sąsiedzkich kiszek.

Ani chybi smażony kurczak.

Ale nie tak zwyczajnie.

Najpierw smażony z magicznymi przyprawami, później duszony na oleju z dodatkiem cebuli i czosnku, na końcu zaś z warzywami.

Kakofonia zapachów świadczyła dobitnie o tym, że Ula jest w akcji. Krzątała się po kuchni, przytupując w rytm skocznych piosenek braci z gór. Odziana w kusą, obcisłą koszulkę oraz krótkie spodenki stanowiła uroczy widok.

- O, Miruluś, pomóż mi, bo za nic nie mogę się przyzwyczaić do tych szponów - syknęła, upuszczając garnek z wodą do zlewu i przyglądając się paznokciom - no popatrz, toż to czysta sztuka, żeby z czymś takim funkcjonować w kuchni. Czy wiesz, jak ja się namordowałam, żeby obrać ziemniaki do zupy? Weź to, proszę cię...

- Przyzwyczaisz się - pocieszyłam ją, podnosząc garnek. - Do pełna?

- Tak. Lej, lej, przynajmniej ze cztery woreczki ryżu ugotujemy. .. Czekaj, a może i pięć. Łukasz kiedy wraca?

- Daj spokój, nie będziesz przecież karmić całego bloku. Może jeszcze Michała zaprosisz? - powiedziałam, zanim zdążyłam pomyśleć. Ula bez słowa wyjęła mi garnek z rąk, postawiła go na gazie i zmagając się z zapalaczem, syczała cicho. Po czym oparła się o kuchenkę i spojrzała na mnie spod grzywki niepewnym wzrokiem.

- No co? Mów, słucham.

- Co mam mówić...

- Obudziło mnie chrapanie Agnieszki, a przy okazji też i pragnienie. Sama nie wiem w jakiej kolejności. Słyszałam i tyle. Coś tam sobie o tym wszystkim myślisz, więc słucham. - Zerknęła na zegarek. - Jeszcze mamy trochę czasu do powrotu dzieciaków. No i mojego męża.

Ruszyłam do szafki z przyprawami. Mogłam tam sięgać z zamkniętymi oczami i ze stuprocentową pewnością wyciągać wymagane wiktuały. Nie dlatego, żeby zawartość tych półek i

umieszczenie przypraw były mi dobrze znane, ale w tych szafkach panował po prostu wzorowy porządek. Medialni geniusze pichcenia wykrzykiwaliby z całą pewnością peany na cześć idealnej organizacji miejsca pracy. Inaczej rzecz się przedstawiała w mojej kuchni. Wstyd i hańba sromotna! Zawsze wrzucałam wszystko jak popadnie, po to, żeby w chwilach zapotrzebowania przekopywać się przez sterty zupełnie zbędnych w danej chwili artykułów i, pomstując na czym świat stoi własne bałaganiarstwo, lecieć do sklepu po torebkę, dajmy na to, pieprzu ziołowego.

Efekt?

Nieodmiennie ten sam. Bywało, że w naszych przyprawach znajdował się jeden asortyment, za to od wszystkich możliwych producentów.

- RYŻ!!! - Wzdrygnęłam się nieznacznie i spojrzałam z pretensją na Ulkę. Ta beznamiętnie wzruszyła ramionami. - Woda się już gotuje.

- No szukam, szukam. Cztery wystarczą w zupełności. Ja głodna nie jestem, ale tak swoją drogą, może by wykupić u ciebie jakiś abonament dla Łukasza?

- Tak, oczywiście. Menu będzie dostarczane każdego ranka około godziny szóstej, razem z poranną kawą i gazetą - furknęła, wrzucając kolejno białe woreczki. - Czy mam cię ciągnąć za jęzor, czy może sama łaskawie mi powiesz, co o tym wszystkim myślisz. Pytam po raz kolejny i zdaje się ostatni. Cierpliwość mam na wyczerpaniu. Ostrzegam.

- A co ja mam myśleć, Uluniu? No a, przede wszystkim, jakie to ma znaczenie?

- Takie, że najzwyczajniej w świecie mam ochotę o tym pogadać, idiotko.

- No więc mów, posłucham. - Ulokowałam się na parapecie, podsuwając sobie stołek pod pięty.

- Uch! Ludzie...

- No co ludzie? Wpatrzony jest w ciebie jak w obrazek, gotów dreptać za tobą brukowaną ścieżyną bosą i z zawiązanymi oczami, wdychając tylko twój zapach. Dałby się pewnie i wziąć na postronek, jako to cielątko, abyś to tylko ty go ciągnęła. - Już zaczynałam uruchamiać wyobraźnię. Powoli wyłaniał się obraz drobnej postaci Ulki kroczącej dziarsko pośród śniegów, odzianej w białą sukienkę i uroczy kożuszek - a co tam, dodałam jej jeszcze futrzaną czapkę, niech ma - i sunącego za nią z uwielbieniem w oczach i maślanym wyrazem twarzy Michała, wyciągającego ku niej błagalnie ręce. Przed oczami zamigotała mi wielka łycha i cały piękny obrazek diabli wzięli.

- Bardzo śmieszne, moja droga, bardzo. Ty mi lepiej powiedz, co ja mam zrobić?

- Oszalałaś? Jak ja niby mam ci powiedzieć? Empatii ze mnie nie wydobędziesz, bo nie dysponuję gromadką dzieci, a i stan małżeński jest mi całkowicie obcy. Żeby nie powiedzieć, że z każdą chwilą coraz bardziej.

- Im bliżej sierpnia?

- Jakbyś zgadła - sapnęłam ciężko. - Zdążę jeszcze zapalić?

- Pal - Ula zerknęła na zegarek - wywietrzymy. Dosadnie powiedziane. Nie chodzi o to, co mam robić ze swoim małżeństwem... Chodzi mi tylko o siebie... - dodała cicho, pochylając się nad parującym ryżem. - Mira, ja nie pamiętam, kiedy Paweł tak na mnie patrzył. Nie jestem w stanie sobie przypomnieć, kiedy w podobny sposób ze mną rozmawiał, jeżeli w ogóle kiedykolwiek tak było. Jasna cholera, uderzyło mi to do głowy, wiesz? Przed wyjściem z domu kilka razy się zastanawiam, co na siebie włożyć. Ostatnio poleciałam do kosmetycznego na rogu i kupiłam cały zestaw malowideł! - parsknęła. - Matko kochana, niektórych nawet nie wiem, jak używać...

- Oho, ho!

- No co oho, ho? Nie wiem, jak to nazwać. Wiem... czuję, że potrafię się jeszcze podobać, że jestem nie tylko matką i kuchcikiem w jednej osobie, ale że jestem... cholera, kobietą! Daj macha. - Zaciągnęła się fachowo. - Mam nogi, mam biust, mam ładne włosy i wyobraź sobie nawet w moich oczach coś tam jest. Mira, ja sama ze sobą nie potrafię się pozbierać. To tak, jakby człowiek narodził się na nowo!

Podziękowałam grzecznie za wystawną kolację i nie bacząc na zdumione spojrzenia domowników (czy ja faktycznie zawsze u nich jem?), ruszyłam do siebie.

Do nas.

Ale nas nie ma.

Jestem tylko ja. Po chwili zastanowienia doszłam do wniosku, że Łukasz nie poinformował mnie o żadnym kolejnym wyjeździe ani o szkoleniu. Więc niedługo się zjawi. Zupełnie bezwiednie ruszyłam do sklepu, gdzie zażądałam okazałej gamoły mielonego mięcha, a w domu już, westchnąwszy sobie głęboko, zabrałam się do preparowania posiłku.

Nie wiadomo kiedy na stole zmaterializowała się okazałych rozmiarów sterta kotletów, a w garnku pyrkotały jedna o drugą gałki. Nie masz nic lepszego nad twórczą pracę, oby nie intelektualną, dla rozbieganych myśli.

Piast.

Woreczek z kaszą gryczaną wylądował w garnku.

Jak on to ujął? Chyba że jedna ze stron zbyt emocjonalnie weszła w swoją rolę?

Papryka dołączyła do kapusty pekińskiej.

Równie emocjonalnie więc z niej wyjdzie i zacznie się uczyć nowej roli.

Potraktowałam otwieraczem do konserw puszkę kukurydzy.

Do roli żony.
Do cholery!

Czwartek

Świat jest paskudny i ciemny. Na domiar wszystkiego bez przerwy pada deszcz. On już chyba tak pada od... właściwie już nie pamiętam od kiedy, ale wszystko wygląda już tak, jakby za chwilę miało się rozpuścić.

Ja też.

- A co taka marniutka? - Siedzisko za mną zaskrzypiało donośnie pod słuszną wagą znajomej pani od Czesia.

- Przepraszam, jak pani ma na imię? - nie wytrzymałam. - Ja Mira jestem. Jakoś tak nigdy nie było okazji.

- Ooo, rzeczywiście kochana. Krystyna, Krystyna mam na imię. Miło mi. - Wyciągnęła dużą dłoń spod wiązki kwiecica i energicznie potrząsnęła moją. - No to czemuż taka smutna siedzi?

- Aj, pogoda paskudna, czarno tak na świecie i ponuro.

- Może i tak, ale mnie się coś widzi, że bardziej czarno to u Mirusi w duszy. Tak mówią. - Przyciągnęła torby do siebie, bo coraz ciasniej się robiło. - Powiadają, że jak człowieka coś w środku męczy to i wszystko naokoło ponure się robi. Stąd depresje. Wiadomo.

- W duszy? A nie, wychodzę za mąż niedługo, to dlaczego ma być mi ponuro na duszy, tym bardziej skąd depresja? - zastanawiałam się głośno. - Pani przystanek.

- A podjadę jeszcze kawaleczek. W końcu bilet za ciężko zarobione pieniądze mam, to i pojeździć mogę. A kwiatkom nic nie będzie. Za mąż? A kiedy?

- Za... - policzyłam na palcach - za pięć miesięcy. Tak. W sierpniu.

- Już w sierpniu?! No to, kochaniutka, gratuluję, gratuluję. A przyszły mąż to ten co zawsze z panią Mirą na przystanku? Ten z pieskiem?

- Nie, ten to sąsiad - zaprzeczyłam. Ten woli mieć w posiadaniu matkę z czwórka potomstwa. Nie mnie. Korciło, żeby uściślić.

- O, a inaczej to wyglądało. - Ciekawe, co by powiedziała, gdyby zobaczyła mnie z Sebastianem, powiedzmy na Starówce... Że dziewczę lekkich obyczajów, jak nic.

- A pani długo po ślubie? - zainteresowałam się nagle. Tak, taka pani Kryisia to skarbnica wiedzy właściwie.

- Taaak, my z Czesiem za dwa lata będziemy obchodzić, jak Bóg da, złote gody. Pani Mira wie, co to złote gody, prawda? Bo teraz z tymi młodymi...

- Wiem, wiem, to gratuluję, naprawdę szczerze. - Pięćdziesiąt lat? Jak Łukasz będzie wyglądał za pięćdziesiąt lat. Nie, postanowiłam jednak powstrzymać wyobraźnię, bo już zaczynała mi podsuwać pod nos paskudne wizje, tym bardziej że pojawiały się dwie postacie, druga pewnie moja. Nie, dziękuję.

- Ano jest czego, kochana, jest czego. I chociaż różnie bywało, to bym tego mojego Czesia na nikogo nie zamieniła, chociaż - w małym oku pojawił się filuterny błysk - było swego czasu kilku takich... Jednego, to mówiłam, przyjaciółka, taka, wie pani Mira, „niby” przyjaciółka, mi sprzątnęła. Później pojawił się Czesio... No, ale ja pół roku przed ślubem to chodziłam cała w skowronkach, jak to się mówi. Mnie tam pogoda nie przeszkadzała. Ot, nawet bywało, że z Czesiem po deszczu biegaliśmy. Boso. Jak to na wsi. Ale, pani Mira wybaczy, że ja tak powiem...

- Proszę, każda rada doświadczonej kobiety jest dla mnie teraz na wagę złota - uśmiechnęłam się zachęcająco.

- No to ja powiem, że pani na szczęśliwą to nie wygląda.

Oczka takie smutne i kąciki ust tak do dołu poleciały. Ja przepraszam, pani wybaczy, ale coś mi się to narzeczeństwo

nie podoba. Doradzić to ja nic nie doradzę, ja tylko mówię, że pani zmizerniała i na chorą wygląda.

Bo czuję się chora.

Tydzień, niecały wprawdzie, od zakończenia teatru, a wszyscy zdążyli przejść nad tym do porządku dziennego. Nad tym, że - jak to ładnie ujął Sebastian - nie pasujemy do siebie, mamy różne charaktery i generalnie, jak też marginalnie, nie ma dla nas przyszłości.

Tadeusz wprawdzie przyglądał nam się podejrzliwie i traktował mnie jakoś tak z dystansem, ale wrodzona - zdaje się - delikatność nakazała mu milczenie.

Więc milczał.

W tej kwestii, w innych zaś standardowo opluwał mnie poleceniami i nie dawał myśleć o niczym prócz pracy.

- Miraaa! - Zza drzwi dobiegł cienki pisk, po chwili zaś zmaterializował się właściciel głosu. - Gdzie jest mój terminarz? Nie widziałaś? Poszukaj u siebie, przejrzyj wszystko... A co ty taka blada? Nie jesteś chora?

- Nie... chociaż, nie do końca, coś mnie jednak łamie - dodałam szybko. Niech on sobie żadnych teorii nie dorabia.

- Oj, żeby cię tylko nie złamało do jutra. Niech cię od poniedziałku łamie. Jutro jesteś niezbędna. No, no? Znalazłaś?

- Co znalazłam? - zapytałam nieprzytomnie.

- Terminarz, no mówię przecież.

- Aaa, nie. Już szukam. - Rzuciłam się przekopywać stosik na biurku, po czym zaatakowałam szafki.

- Musi tu być. Przynieś, jak znajdziesz, bardzo proszę.

Jak nie znajdę, to też przyniosę. Spokojna głowa. Nie ma rzeczy niemożliwych. Ale jeżeli Joluś maczał w tym palce, to chyba utłukę. Terminarz jednakowoż został szczęśliwie odnaleziony, nie wiadomo jakim cudem wylądował u naszego uroczego szefa projektu.

- Cześć, Mira - rzucił od progu, a mnie coś zafurkotało w żołądku. Ani chybi organizm domaga się paliwa. Wieczorem nie jadłam, rano też wybiegłam bez śniadania. Trzeba coś zjeść. Koniecznie.

- No cześć. Widzę, że masz przedmiot mojego pożądanego - palnęłam, zanim zdążyłam chwilę pomyśleć. Sebastian spojrział na mnie dziwnym wzrokiem. - No, o terminarz mi chodzi.

- Mam. Musiałem posprawdzać, na kiedy były umówione spotkania z klientem, ale... - Popatrzył na mnie uważnie. - A ty chora nie jesteś? Przeziębiałaś się? To ta pogoda, wszystkich bierze...

Chcecie mnie położyć do łóżka, proszę bardzo. Nie będę się bronić rękami i nogami, może faktycznie jestem przemęczona. Od tygodnia nic innego nie robię, tylko pracuję, sprzątam, a do północy gotuję strawę dla pułku roślących poborowych.

- Może i faktycznie - przytaknęłam w końcu.

- A wytrzymasz do jutra? Może Jolka cię zastąpi? Czekaj.

- Zanieś mu od razu to cholerstwo - podniosłam terminarz z biurka - i wytłumacz się gęsto.

Po chwili zza drzwi najwyższego dało się słyszeć dwa podniesione głosy.

- Ja ją tu muszę mieć jutro, koniecznie - Tadeusz.

- A jak ci jutro padnie, to i tak nie będziesz miał z niej żadnego pożytku - Sebastian.

- Ale nikt nie zastąpi Miry, ona mi jest potrzebna, rozumiesz? - Tadeusz.

- Jolka ją zastąpi, zna zakres obowiązków, pisać też potrafi. Zabieram ją, Tede, i koniec. Zawiozę do domu, a jutro niech idzie do lekarza. Albo nawet dzisiaj - dobiegło mnie już spod uchylonych drzwi.

- A mówiłeś, że do siebie nie pasujecie. Że nie jesteście dla siebie. Ciemnotę wciskałeś, Sebol, i tyle... - Drzwi nagle się domknęły i odpowiedź dotarła do mnie w formie, której nijak nie dałoby rady zrozumieć. Mimo najszczerzych chęci.

Wreszcie wyszli obaj.

- Sebastian ma rację. Idź, Mira. Do lekarza, potem do apteki. Daj tylko znać, co się dzieje i ile czasu cię nie będzie.

- Na pewno?

- Na pewno. Poradzimy sobie, z trudem, przyznaję. Ale poradzimy. No leć już! - Po czym zamachał rękami i wrzasnął - Joooolaaaa!!!

- Zmywamy się - szepnął Sebastian i pociągnął mnie do wyjścia.

- Powodzenia jutro! Na razie - zdążyłam jeszcze rzucić.

Sebastian postanowił przeprowadzić gruntowny wywiad. Zaczął jak tylko zapakowaliśmy się do kombi.

Gdzie byłam, znaczy, gdzie mogłam się przeziębic?

Czy nie miałam kontaktu z osobą zakaźnie chorą? Korciło mnie, żeby powiedzieć, że owszem, wróciłam właśnie z Azji, gdzie w jednym z tamtejszych leprozoriów pielęgnowałam zarażonych. Ale jak tylko tak pomyślałam, od razu zrobiło mi się wstyd, bo to nie temat do żartów zdaje się. Wstyd. Wstyd, Mirul.

Jakie leki brałam i dlaczego tak mało. Wreszcie nie wytrzymałam.

- Sebastian, miej litość. Nie jestem chora. Znaczący czuję, że mnie dopiero coś bierze, a na to kilka rutinascorbinów, cytryna z miodem i będę żyła. Może czosnek jeszcze - dodałam po krótkim namyśle.

- Ty sobie nie żartuj, Mira.

- Nie żartuję.

- Takie infekcje mogą być niebezpieczne. Medycyna naturalna może nie pomóc.

- Sebol - jęknęłam.
- No co Sebol, co Sebol, idź dzisiaj do lekarza. Proszę cię, Mira. - Dlaczego mnie o to prosisz, panie troskliwy.
- Niewykonalne. Na jutro najwcześniej, a przy obecnym stanie zdrowia podejrzewam, że zakwalifikują mnie na poniedziałek.
- No, ty żartujesz?!
- Seba! Patrz, gdzie jedziesz!
- To prywatnie. Ja cię zawiozę. Czeka, gdzie? Najpierw do kompa trzeba, bo ja żadnych namiarów nie mam - gorączkował się jakbym już dogorywała.
- Sebastian! - ryknęłam wreszcie, nie bacząc na to, że kierowcy nie wolno denerwować. - Zadzwoń i się umówię. OK?
- No ja nie wiem...
- OK?!
- Nie krzycz, Mira, bo gardło sobie dodatkowo zedrzesz - westchnął. - Dobra, już cię nie męczę. Ale obiecaj mi, że pójdziesz.
- Obiecuję.
Słowo się rzekło, kobyłka u płotu jednak nie stanęła. Stanęła sobie za to kobyłka w dużym pokoju i ryknęła rzewnym, rozpaczliwym płaczem.

Piątek

- Mira, do pracy się spóźnisz, wstawaj wreszcie. - Łukasz miotał się jak szalony po całym domu i poszukiwał coraz to innych rzeczy do skompletowania garderoby.

- Nie idę - burknęłam spod kołdry. - Chora jestem.

- A co ci jest? - zainteresował się z głębi szafy.

- A nie wiem, do lekarza się wybiorę.

- Taaa, dobra. No to ja lecę, będę dzisiaj trochę później, pa! - Cmoknął mnie w czoło i już go nie było.

Pa!

Siódma piętnaście.

Zakopałam się z powrotem w kołdrę z zamiarem pospania sobie jeszcze przynajmniej ze trzy godzinki. Nie dane mi było jednak, bo ktoś załomotał nagle w drzwi. Chciał nie chciał, zwlokłam się z łóżka i okutana w szlafrok Łukasza, ruszyłam powitać przybyłego.

- O, Miruś, jeszcze nie gotowa do wyjścia? A nie, ty masz czas. - Ula wpadła jak mała bomba.

- Nie idę dzisiaj do pracy. Wmówili mi, że jestem chora. Znaczący, pewnie mnie tam nie chcą, a może faktycznie jestem.

- Z klatki schodowej dobiegły nas odgłosy toczącej się walki.

- Spokój!!! - ryknęła Ula na jej konto, po czym dodała drogą wyjaśnienia: - Odprowadzam właśnie dzieciaki. Oj, to niedobrze. Słuchaj, ja później wpadnę w takim razie, proszę mam... No, ale to później. Wracaj do łóżka.

Wróciłam więc.

- Mira, no dobrze, że cię złapałam, bo później to już w ogóle telefonów nie odbierasz.

- Cześć, mamo.

- Zarezerwowałam już salę. Łukasz ostatnio wspominał, że kamerzystę ma, znaczący czekaj, bo to trzeba... - szelest przewracanych kartek - kamerzystę i fotografa. Co do zespołu musicie się już w następnym tygodniu zadeklarować, bo

później mogą mieć zajęte wszystkie terminy. Czy ja mówiłam, na którego mam salę?

- Nie, mamó.

- Nie mówiłam? A, no to na szesnastego sierpnia. Kościół udekorują z tej naszej zaprzyjaźnionej kwiaciarni, wiesz której... Czekał, a sukienkę już kupiłaś? Może przyjadę i pomogę ci coś wybrać... Czekał, czekał, Mira...?

- Tak, mamó?

- A myślałaś może o sukience Beatki? Ładna była. Zadzwoń jeszcze tylko i spytał, czy jej czasami nie sprzedała. - A nie mówiłam?

- Oglądałaś już suknie...

- Dlaczego ty wzdychasz, dziecko? To dla ciebie taki problem? Sukienkę na własny ślub kupić?

- Nie, mamó, nie wzdychał.

- Przecież słyszę. W ogóle tak dziwnie ze mną rozmawiasz. Zadzwoń, jak będziesz miała lepszy humor. No i pamiętał, już bardzo mało czasu zostało.

Trzask.

Poczekaj, mamó... Jestem chora, na duszy albo na umyśle, sama nie wiem. Czy to możliwe, że dotknęło mnie przesilenie wiosenne? Czy coś takiego istnieje? Fakt faktem, nigdy jeszcze się tak nie czułał. Może oni mają rację? Toczy mnie jakieś podstępne choróbsko, atakuje na pewno jakoś tak od środka. Żadne to prozaiczne przeziębienie, to ani chybi coś poważniejszego.

Pójdę jednak do stosownej instytucji i dla własnego spokoju zażadam skierowania na badania krwi.

Cicho zabrzączał telefon. Raz.

SMS.

Sebastian: „Jak się czujesz? Byłaś u lekarza? Mam kilka laptopów, może przyjechać po pracy?”. Zafurkotało mi w żołądku. Zdaje się, że mój serdeczny kolega ma niebýwały

talent wywoływania ssania w kichach. „Przyjeżdżaj, nie byłam, za chwile się umowie” - odstukałam szybko. Odpowiedź przyszła prawie od razu. „Trzymaj się ciepło, buziak”.

Miało już nie być żadnych buziaków. Więc nie odpisałam. Ale zupełnie nieoczekiwanie wróciło mi życie.

- No i co się dzieje? - dociekała Ula, biorąc moją kuchnię we władanie - Gadaj.

- A o czym tu gadać - wzruszyłam ramionami. - Nic się nie dzieje, muszę chyba zainwestować w jakieś witaminy. To wszystko.

- Marnie wyglądasz - przyjrzała mi się.

- Matko kochana, jeżeli jeszcze ktoś wyjedzie mi z takim tekstem, to mogę nie wytrzymać.

- Się nie denerwuj. Ja tylko stwierdzam, jako życzliwa dusza. Chyba mam prawo, co?

- No masz. Mów lepiej, z czym do mnie dzisiaj rano przyleciałaś?

- A! No, ale ty chora jesteś...

- Ulka!!!

- No dobra. Chciałam wybyć dzisiaj na dwie godzinki, a że Pawła jeszcze nie będzie, więc potrzebna mi opiekunka do dzieciaków.

- Nie ma sprawy. Do osiemnastej dysponuję czasem. Później mamy ten nieszczęsny kurs przedmałżeński - westchnęłam do kawy.

- Dlaczego nieszczęsny? Tu masz rosół. Chować do lodówki? Czy będziesz jadła?

- Chowaj, jakoś nie jestem głodna. Ulka przyjrzała mi się uważnie.

- Dzwoniłaś do lekarza?

Zadzwoiłam, umówiłam się i, o dziwo, ktoś tam wypadł z kolejki, więc pani z rejestracji była tak miła, że załatała moją skromną osobą lukę w wizytach.

W poczekalni doszłam do wniosku, że wszystkie kobiety na świecie mają dzieci. Wszystkie, które skończyły już trzydziestkę.

Na bank.

Liczne krzesła, bez wyjątku, były zajęte przez radośnie świergoczące do swojego potomstwa mamy. Bezustannie schylały się po spadające smoczki, podnosiły grzechotki, wycierały zaślinione pyszczki i - ogólnie rzecz biorąc - nie zwracały uwagi na nic, prócz swoich dzieci.

Alien.

Ja, alien.

Fizycznie zdrowiuśki, jak się okazało.

- Ciocia!!! - powitała mnie radosna gromadka Zabrockich. - Będziemy oglądać filmy, dobra? Mamusia pozwoliła. Dobrze, ciocia?

- Dobrze, nie ma sprawy. Ula, a gdzie ty właściwie wybywasz? - zapytałam uprzejmie, przyglądając się, jak klnie, próbując nałożyć mazidło na powieki.

- Uch! Na spotkanie autorskie. Pomóż mi, Mira, bo cholery za chwilę dostanę. Rosół zjadłaś? I jak się teraz czujesz?

- Nie gadaj tyle, bo mi krzywo wyjdzie. Dobrze się czuję, ale na rosół jakoś nie miałam ochoty. Herbaty chyba za bardzo się otrąbiłam. A sama idziesz?

- Hm, no nie.

- Z panem Michałem mamusia idzie. Z tym naszym sąsiadem. Wiesz, ciociu? - poinformowała mnie uczynnie Zosia.

Ano wiem.

Po wyjściu Ulki wśród gawiedzi rozpętała się wojna. Zażarta, okrutna i niewiele brakowało, a doszłoby do rozlewu krwi. Stanęły przede mną dwa dwuosobowe zespoły z morderczym błyskiem w oku. Jeden żądał Spidermana, drugi zdecydowanie i kategorycznie domagał się Barbie jako Księżniczka i Żebraczka.

Niezły pasztet.

- Cisza! - huknęłam. - Jaką bajkę oglądaliście ostatnio? Zośka, słucham.

- Oni - wskazała palcem braci - oni oglądali Batmana.

- No i teraz kolej na Spidermana - podpowiedział Damian.

- Chwila, kochaniutki, to prawda? Wy ostatnio okupowaliście telewizor?

- My - przyznał po chwili szczerze.

- No więc sprawa załatwiona. Macie dwa wyjścia - ruszyłam w stronę płyt - albo obejrzeć to z nami, albo zaszyć się w swoim pokoju i bawić się w czapkę niewidkę.

- A co to za zabawa? - zainteresował się żywo Staś.

- Ano taka, że siedzicie sobie cichutko i was nie widać...

- Eee, to my już wolimy popatrzeć sobie na tę babską bajkę - zdecydowali zgodnie, po czym rzucili się zajmować co wygodniejsze miejsca.

Boże, jakie to piękne. Jacy oni szczęśliwi i zakochani, jak się rozumieją i do siebie pasują. A te spojrzenia... Chlipnęłam mniej więcej w połowie bajki. Tak po cichutku, żeby nie narobić sobie wstydu przy dzieciach. Pod koniec bajki jednak nie zdzierżyłam i ryknęłam sobie zdrowo. Przerażone dzieci ruszyły na ratunek, zakrzętnęły się szybciotko, jedno poleciało po chusteczki, reszta mnie oblaźła i jęła przytulać i pocieszać.

- Ciociu, to tylko bajka. Nie płacz. Widzisz, wszystko dobrze się skończyło...

- No właśnie. Bśśś! - Dmuchnęłam solidnie w dostarczoną chusteczkę. - W bajkach zawsze wszystko się dobrze kończy, a w życiu?

- Ciociu, w życiu też, może ty sobie zapal - poradził usłużnie Damian.

- Co tu się dzieje? - dobiegł do mnie zdezorientowany głos Pawła. - Co wyście zrobili ciotce?!

- Nic - odezwał się chór zgodnych głosików. - Oglądała bajkę i się popłakała.

- Mira? Czy ja dobrze rozumiem? - Na moje kiwnięcie głowy wyraźnie się uspokoił. - A gdzie moja żona?

- Wyszła na spotkanie autorskie.

- Pan Michał ją zabrał - podpowiedziała życzliwie Wiola.

Paweł spoglądał raz na mnie, raz na swoją gromadkę, najwyraźniej nic nie rozumiejąc. Dobrze ci tak, ty chodzisz z gryzoniem, Uli się należy mały wypad z naszym Adonisem.

- Ano z Michałem poszła - potwierdziłam, po czym odmeldowałam się w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

Muszę pożyczyć od Zosi kilka tych bajek.

Zadryndał domofon. Hm, nie da się chyba chorować. Zerknęłam na zegarek, trochę za wcześnie na Sebastiana.

- Mira? To ja. - Jednak nie za wcześnie.

Wcisnęłam guzik, po czym rzuciłam się do lustra. No tak, nos jak bulwa, oczy zapuchnięte, obraz nędzy w najczystszej postaci. Rozpuściłam włosy i zarzuciłam prawie wszystkie na twarz. Niczego więcej nie zdążyłam spreparować w swoim marnym wyglądzie, bo rozległ się dzwonek.

- No i jak? - Odgarnął mi włosy z czoła. - Ciepłutka jesteś, no i katar chyba się zaczął, co?

- Nie, czuję się dobrze. Od razu uprzedzam, byłam u lekarza, pobrano mi krew, wyniki w poniedziałek, gardło czyste, oskrzela i płuca też. Do uszu mi nie zaglądano, ale

tutaj sama mogę powiedzieć, że również czyste - zameldowałam, prowadząc go do kuchni.

- Dobrze, słuchaj. Pogrzebałem trochę w necie i znalazłem kilka ciekawych ofert. Tutaj też jest druk, Jolka wypełniła, pożyczkę masz od ręki - zarzucił mnie informacjami dotyczącymi pożyczek, warunków, procentów i Bóg wie czego jeszcze.

- Dzięki, a jakie wyszukałeś? Nowe? Czekał, odpalę laptopa, pokażesz mi.

- A jakie chcesz, nowe, stare, używane i nie. Czekał, tu jeszcze mam dla ciebie sok z malin... Nie wiem, mama zawsze mnie tym poiła, jak byłem chory. - Zaczął wyjmować z reklamówki asortyment małego marketu. - Tu czekolada, no i obowiązkowo cytryny i pomarańcze. Masz jeszcze jogurt, wziąłem naturalny i owocowy, no i ciastka jakieś, mówiłaś, że lubisz coś pogryzać, jak czytasz książkę.

- No tak... Tyle że coś ostatnio z moim apetytem nie halo. Sebastian - spojrzałam w jego głębokie oczy - dziękuję, nie trzeba było.

- Trzeba było. Trzeba, Mira. Chciałem... Chciałem, żebyś miała te kilka rzeczy pod ręką. - Opuścił oczy na podrzucaną w rękach cytrynę.

Silentium. Nie sacrum wprawdzie, ale...

W milczeniu też usiedliśmy do mojego steranego życiem sprzętu. Kubki pachnącej malinami herbaty stanęły obok siebie, po czym Sebastian zaczął wprowadzać adresy stron. Zaroilo mi się przed oczami od cen, terminologii i ogólnie rzecz biorąc, techniki szeroko pojętej.

Sebastian ulokował się na taborecie, prawie za moimi plecami, więc co chwilę wykonywałam pod jego dyktando kolejne operacje. W pewnym momencie pochylił się do myszki, jednocześnie powoli odgarniając mi włosy z szyi.

- Czekaj, bo zasłaniają mi. O ten tutaj, widzisz? - sapnął mi prosto w ucho.

Jak mogę widzieć, jeżeli mam zamknięte oczy?

Znaczy widzę, ale niekoniecznie aktualną ofertę sklepu. Widzę tak naprawdę siebie i Sebastiana w dosyć jednoznacznej sytuacji... Odbiega ona od obecnej i to właściwie pod każdym względem.

Przede wszystkim nie mamy na sobie żadnego - absolutnie żadnego - odzienia.

Po wtóre, zajmujemy się czymś zgoła odmiennym od buszowania po necie.

Buszujemy po czymś innym.

Po sobie...

Szlag.

Otworzyłam oczy, gwałtownie podskakując. Twarz Seby była dosłownie o centymetry od mojej. Wpatrywał się we mnie bardzo intensywnie i jakby wyczekująco.

- Dzień dobry - zasyczało od progu.

- Witam! - Sebastian zerwał się i ruszył w stronę Łukasza z wyciągniętą prawicą - Sebastian, kolega Miry z pracy.

Jestem źle prowadzącą się kobietą, niegodną zaufania, oszukującą i na dobrą sprawę zasługującą na wieczne potępienie. Wymyślam sobie choroby, po to, by zwabić do mieszkania naiwnych facetów, wykorzystać ich i zawieść pokładane we mnie nadzieje.

Nie wnikałam.

Kropelki deszczu leciały sobie spokojnie po szybie, odbijając światło latarni. Wszystko takie pomarańczowe. Ładne.

Dlaczego nie słucham, dlaczego go ignoruję?

Wzruszyłam ramionami. Nie wiem.

Czas zmodyfikować poglądy.

Oni naprawdę są szczęśliwi. I kropka. Przyglądałam się bardzo uważnie parze prowadzącej nasz kurs. Pewnych rzeczy nawet wybitny aktor nie jest w stanie zagrać. Głupio mi się zrobiło za wcześniejsze pochopne osądy. Pani Ania właśnie puknęła żartobliwie męża w głowę trzymanym zeszytem, zdaje się za jakąś niestosowną uwagę, na co ten się roześmiał, złapał ją za rękę i cmoknął z uczuciem w przegub.

Oddałam Łukaszowi swoje kanapki, po czym zajęłam się wypełnianiem dzisiejszych karteluszków.

„Co najbardziej ci się podoba w twoim narzeczonym/ej?”

Podoba mi się jak śpi... Ale zdaje się nie o to tu chodzi. Przejdźmy do następnego.

„Na co zwróciłeś/aś uwagę, spotykając po raz pierwszy swojego partnera/kę?”

Na pokazne zakola, korciło mnie, żeby napisać, więc to pytanie również zostawiłam sobie na później. Ale przebrnięcie przez resztę zagadnień okazało się niemożliwe, bo wszystkie brzmiały mniej więcej podobnie i dotyczyły tego samego. A autorowi z pewnością nie zależało na takich odpowiedziach, jakich byłam w stanie udzielić.

Ups.

Zerknęłam na Łukasza. Nerwowo przygryzał końcówkę długopisu, kanapki już mu się skończyły, i co chwilę drapał się w głowę, przewracając kartki.

- Kiepsko? - szepnęłam cicho w jego kierunku.

- Strasznie. Jakies dziwne te pytania, skąd ja niby mam pamiętać takie rzeczy? - sapnął w odpowiedzi. - A ty?

- No u mnie też nieciekawie.

- Proszę, Mira, Łukasz, porozumiewamy się już po wypełnieniu kwestionariusza. - Pani Ani dryfowała ku nam z uśmiechem na twarzy. - Jakies pytania? Może w czymś pomóc?

Poczułam się jak w szkole. Dopadło mnie nagle przemożne pragnienie posiadania ściągki i uczucie, że ta kobieta chce nam wystawić ocenę za to, jak postrzegamy siebie. Zerknęła na dwa puste arkusze spoczywające przed nami.

- Aha, kochani, czy mogłabym prosić, żebyście zostali na, dosłownie, kilka chwil po kursie?

Ano zostaliśmy.

- Powiedzcie, moi drodzy, na kiedy wy macie ustaloną datę ślubu? - Zerknęła w karteluszek, a mnie ciary przebiegły po plecach. Matko kochana, mam egzamin! I zdaje się, że przyjdzie mi go, mówiąc trywialnie, uwalić na amen. - O, tu mam. Na sierpień. A nie zastanawialiście się czasami nad przełożeniem terminu na, hm, powiedzmy, późniejszy?

- Co pani insynuuje, przepraszam - Łukasz nie zdzierzył pierwszy.

- Ja niczego nie insynuuje, ja po prostu pytam. Widzę, że macie pewne problemy z wypełnianiem naszych arkuszy, a, jak już wcześniej wspominałam, zostały one opracowane przez psychologów jako podstawowe testy służące do scharakteryzowania bliskich nam osób.

- I cóż z tego wynika? - dociekał niezbyt uprzejmie Łukasz.

- Nie owijając w bawełnę, mój drogi, wynika z tego, że nie jesteście ze sobą zbyt blisko, ponieważ macie problem z wypełnieniem najprostszego kwestionariusza.

Mój oblubieniec zerwał się na równe nogi.

- Myślę, że przekroczyła pani właśnie swoje kompetencje...

- Czeka, Łukasz - zaproponowałam, usadzając go z powrotem na krześle. - Pani Ania jest osobą nam życzliwą, niejedną rzecz obserwowała już w tej sali i myślę, że powinniśmy jej wysłuchać.

Wal, droga pani Aniu, wal tylko to, co chcę usłyszeć, bo zdaje się, że nawet przypadło mi do gustu to, co zaczęłaś mówić...

Dlaczego?

Pani Ania spojrzała tymczasem na mnie z wdzięcznością w oku, po czym kontynuowała przerwany wątek.

- Dziękuję za miłe słowo, Miru. Tak więc obserwuję was już trzecie spotkanie i życząc wam jak najlepiej, stwierdzam, że powinniście się zastanowić nad decyzją zawarcia związku. Ja widziałam tu już niejedno i powiem wam, że złość czy konsternacja to nie jest coś, co obserwujemy tutaj często. Zazwyczaj nasze pytania wywołują u uczestników radość, śmiech, patrzą na siebie przez pryzmat ukochanej osoby. Nie, nie deklarujcie się już teraz, zastanówcie się nad tym - rzuciła szybko, gdy Łukasz nabrał w płuca wielki haust powietrza. - Przemyślcie to, co powiedziałam, dla waszego dobra, kochani.

- Czy ona nas wyrzuciła z tego kursu? Zdyskwalifikowała znaczy się? - Łukasz długo nie mógł dojść do siebie.

- Nie, ona prosiła nas tylko, żebyśmy jeszcze gruntownie przemyśleli naszą decyzję, porozmawiali i tak dalej.

- A o czym tu rozmawiać? Przecież wszystko jest jasne - parsknął ze złością.

No i właśnie tego nie wiem.

Sobota

Ruszyłam z kopyta, jak to się wdzięcznie powiada, do sprzątanía. Wdziawszy na siebie nieprzyzwoicie uchlastane spodenki, złapałam za ścięgę i niezbędne akcesoria w sprayu, po czym zaatakowałam z furią tumany kurzu.

No może nie od razu tumany. Niech będzie kurz w liczbie pojedynczej. Bo mało go. Tak, niech tak będzie.

Spodenki na cześć narzeczonego, zobaczymy, czy moim poślądkom będzie się przyglądał z równym zainteresowaniem.

- A ty nie masz za małych tych spodenek? - Zainteresował się i owszem, przechodząc z przedpokoju do kuchni, gdzie eksponowałam swe wdzięki. - Może podjedziemy wreszcie po sukienkę, jak już skończysz porządki? Tak powiedzmy za dwie godzinki, akurat bym sobie przerwę zrobił.

Nie wytrzymam.

A w związku z tym, że nie wytrzymam, szorując szafkę kuchenną, podlałam ją obficie łzami. I ja się pytam, czego płakać? No, dlaczego ryczysz, idiotko jedna. Przyzwyczał się i tyle.

Kochanie, strzeż się, strzeż... bo z miłością jak z ognieeeeem... - doleciały do mnie przestrogi Bartosiewicz, które wywołały kolejną lawinę łez.

Nie wytrzymam, to pewnik, skończę w jakimś zamkniętym szpitalu, gdzie liczne zastępy doktorów będą miały baczenie na moją psychikę.

Tylko dlaczego.

- Tutaj?! - Wzdrygnęłam się, kiedy Łukasz zaparkował przed znajomym salonem z sukniami. W mieście zatrzęsienie temu podobnych sklepów, a on wybiera akurat ten! - Tu drogo jest, baaardzo drogo.

- Nie przesadzaj, kochanie. Poza tym będziesz pewnie mogła tu oddać z powrotem sukienkę do komisju. Na pewno prowadzą komis - mrucał pod nosem.

- A skąd masz tyle wiadomości na temat salonów z sukniami ślubnymi? No, niekoniecznie mają. - W dalszym ciągu nie dałam się wyciągnąć z samochodu.

- Podziękuj mamusi i jej licznym wykładom. No chodź, Mira, nie będę przecież sam mierzył tych kiecek.

Pozostało tylko paść plackiem na ziemię i błagać niebiosa o dwie rzeczy. O inną ekspedientkę albo o nagłą amnezję u tej, która swego czasu fruwała nade mną.

Niestety.

Elf zmaterializował się natychmiast, jak tylko przekroczyliśmy próg sklepu. Zlustrował mnie od stóp do głów, po czym nieoczekiwanie stwierdził:

- Schudło się. Trzeba będzie szukać między trzydzieści cztery a trzydzieści sześć.

- Dzień dobry, to panie się znają?

- Hm, no, eeee... No właściwie już mierzyłam tutaj sukienkę. - Rzuciłam sprzedawczyni mordercze spojrzenie, mające na celu albo zamknięcie jej ust, albo chociaż chwilowe przyblokowanie aparatu mowy.

Elf jednak zignorował moje spojrzenie.

- No nie jedną, naście sukienek i... - Nie dałam jej dokończyć. Tym razem to ja pociągnęłam ją w kierunku przymierzalni, gdzie, przechodząc od razu do meritum sprawy, zapytała:

- Bierze pani tę, którą wybrałyśmy, czy znowu się będziemy ubierać we wszystko po kolei?

- Będziemy - zadysponowałam.

Tym razem była to jednak katorga. Każde moje wyjście Łukasz kwitował machnięciem ręki. Może od robactwa się odganiał...? Przy czym nie odrywał prawie wzroku od

katalogu i zdjęć ślubnie przystrojonych najpiękniejszych modelek świata. Natomiast ja w każdej sukience wyglądałam według niego - ładnie.

Jak miło.

- Na mój gust... - Pani od sukien uniosła ręce w obronnym geście. - Wiem, że nikt nie pyta, ale powiedzieć mogę... Tamten był bardziej zainteresowany.

- Taaa, tyle że tamten to kolega z pracy. Kolega, rozumie pani? - Niewiele brakowało, a znów zaczęłabym ryczeć.

- Tak - westchnęła - rozumiem. - To może zapakuję tę ostatnią. Tę, która się podobała pani koledze, dobrze?

- Dobrze.

- Tylko jeszcze sprawdzimy, czy rozmiar mniejszy nie będzie potrzebny.

Był.

Nie wiem, co się dzieje, ale najwyraźniej czegoś mi jednak brakuje do szczęścia. No bo, nie oszukujmy się, jeszcze do niedawna nie zalewałam się, tak zupełnie z byle powodu, potokiem łez.

Suknia zawisała w przedpokoju i wyglądała jak piękny, biały wykrzyknik po zdaniu o następującej treści: „Nie chcę wychodzić za mąż!”.

Niezawodna i utwierdzająca mnie w poczuciu własnej wartości mama zawsze powtarzała, że ja to jestem jednak mało stabilna emocjonalnie. Że miotam się to w jedną, to w drugą stronę i nie mam pojęcia, czego właściwie chcę. Tak było z podwórkowymi przyjaźniami, z wyborem studiów (i po co ci właściwie była ta historia?), a teraz z wyborem partnera życiowego. Tfuj, co ja gadam, nie ma właściwie żadnego wyboru...

A właśnie, że jest, coś krzyknęło we mnie gromkim głosem, by jednocześnie przesunąć mi przed oczami postać Sebastiana, pochylonego, wpatzonego w monitor, śmiejącego

się i machającego trzymanym w dłoni kubkiem z kawą. Jego ulubionym, z Anglii...

- Masz mi natychmiast pomóc! - syknęłam do słuchawki.

- Co się stało? Przyjechać? - niezawodna Agnieszka zawsze w gotowości bojowej. Ocham cię za to, kobieto.

- Ja za cholere nie wiem, co mam robić!!! Kupiliśmy już suknię, wczoraj pani z kursu kazała nam się poważnie zastanowić nad ślubem. Znaczą nad tym, czy sierpień to jeszcze nie za wcześnie. Wszyscy naokoło wmawiają mi, że Łukasz jest nie dla mnie - wypluwałam z siebie wszystko szeptem, co chwilę zerkając, czy moje przeznaczenie się nie obudziło. - Poza tym... Ja... Cholera, znowu mi leci...

- Co ci leci? Z czego leci?! Co ty? Mira, mów!

- Z oczu mi leci. Od ponad tygodnia bez przerwy prawie - siapnęłam do słuchawki.

- To już nie jest stres, to deprecha. Albo, moja droga... zadurzyłaś się w kimś innym - stwierdziła nagle odkrywczym tonem. - Myślisz o nim?

- O kim, o Łukaszu?

- Głupia, o Sebastianie.

- Myślę, śni mi się i mam już tego serdecznie dość. Tylko, błagam cię, nie mów niczego w stylu - a nie mówiłam.

- Nie powiem. Kiepsko, Mirul, ale datę ślubu przekładaj. Ty musisz być pewna. Może się wszystko rozwieje i rozłoży po kosteczkach, wtedy stawaj u boku Łukasza, a na razie pogadaj z nim, powiedz, że to jeszcze za wcześnie, że jeszcze nie jesteś gotowa. Bo nie jesteś, prawda?

- Nie jestem. Zdecydowanie nie. Ale co moja mama na to? Przecież ona spazmów dostanie...

- Niech dostaje. Po pierwsze, za stara jesteś, pardon, na przejmowanie się w takich kwestiach opinią mamusi, po drugie, jeżeli już się przejmujesz, to tylko pomyśl, co przeżyje, kiedy jej wspomnisz o rozwodzie?

- Fakt.

- No. Tyle ci mogę powiedzieć. Trzymaj się ciepło. Wiesz, ja już będę kończyć, bo tu mój doktorek czeka. Dasz sobie radę?

- Dam. Czekał - usiadłam prosto - nie puściłaś stomatologa w trąbę?

- A nie - roześmiała się. - Ten ma inną specjalizację. Ginekolog.

- Kocham cię, babolu - jak zwykle mnie rozwaliła. - Ja ciebie też, trzymaj się ciepłutko.

Łatwo powiedzieć.

Niedziela

Koleżanki, przyjaciółki to cudna rzecz i warto słuchać, jak radzą, ale one - jakby nie były pełne dobrej woli - nie są, niestety, zaangażowane w sprawę osobiście. A kto jest?

Ja i Łukasz.

Zabukowałam się tradycyjnie na kuchennej podłodze i czekałam na wschód słońca. Nie było najmniejszego sensu walać się po łóżku, bo tylko przeszkadzałam Łukaszowi, no i w końcu zaczęło mną rzucać ze złości. Dosłownie. Tak więc wcisnąwszy pod pachę kolejne tomidło pióra Kinga, wymościłam sobie wygodne siedzisko w moim ulubionym miejscu. Pod kaloryferem.

Czytać się jednak nie dało.

Po trzecim kubku kakao zrobiło mi się zdecydowanie niedobrze, więc kolejne sobie darowałam, tym bardziej że zegarek miłościwie wskazywał już piątą i na dobrą sprawę nie było sensu się kłaść.

Zresztą i tak bym nie zasnęła. Przed oczami przelatywały mi najrozmaitsze rzeczy, układałam - czy same się właściwie układały - kolejne scenariusze.

Czekałam.

Czekałam, aż Łukasz się obudzi.

- Muszę z tobą porozmawiać - walnęłam, kiedy wreszcie wychylił się z sypialni.

- Która godzina? - ziewnął rozdzierająco, po czym zaczął gwałtownie machać ręką. - A co tu się dzieje? Siekierę można powiesić, oszalałaś? Na taki zaduch to trzeba kartonu papierosów. Zrób mi kawy, co? Porozmawiamy, jak łyknę chociaż raz, dobrze?

A że biegałam za nim z kubkiem w rękach i praktycznie wlewałam do gardła gorącą kawę, więc łyka zrobił dość szybko i bez zbędnych ceregieli.

- Łukasz, chcę przełożyć datę ślubu.

- Co?! Żartujesz sobie?! Wszystko już zaklepane, a to - podbiegł do sukienki - co chcesz niby z tym zrobić? Mira, opamiętaj się!!!

- Poczekaj, usiądź i spokojnie porozmawiaj ze mną. Proszę cię. Nie spałam całą noc, dużo rzeczy przemyślałam...

- Trzeba było spać. Nie gadaj bzdur - znowu mnie ofuknął, ale tym razem nieco łagodniej. - Ta kobieta dała ci do myślenia? Ta z kursu?

Uch, podciągnęłam nogi pod siebie i okręciłam szelniej szlafrokiem. Czyżby on niczego nie widział? Czyżby jemu nic nie przeszkadzało?

- Powiedz mi... - zaczęłam, po czym równie nagle umilkłam, no bo od czego właściwie zacząć?

- Mira, nie wymyślaj. Denerwujesz się, rozumiem, ja też, ale musi dotrzeć do ciebie jedna, podstawowa rzecz - na każde słowo kładł taki akcent, że aż mnie zaczęło skręcać ze złości - taka mianowicie, że na twoją fanaberię nikt nie będzie odwoływał wszystkich umówionych terminów...

- Zespół jeszcze nie jest zamówiony - zdążyłam wtrącić cicho.

- Zespół, a reszta? Co z resztą, Mira? Hę?

- A co ze mną?! - odparowałam, zrywając się ze stołka. - Co ze mną, to chyba już nieistotne, bo ważniejsze są umówione terminy. To, co ja czuję i czego chcę, to najwyraźniej się nie liczy. Co z nami, Łukasz?

- No widzisz, byłem na to przygotowany. - O zgrozo, on się uśmiechał.

- Na co?

- Twoja mama uprzedzała mnie, że tak będzie. Mówiła coś o rozchwianych emocjach, no i że taka sytuacja może się zdarzyć. Że się nagle rozmyślisz. Ale nie przejmuj się.

No proszę, mamusia przewidziała nawet taki scenariusz. Prócz skatalogowania potrzebnych informacji, dobrała się też do pana młodego i nie omieszkała go dokładnie poinstruować w kwestii postępowania z niestabilną emocjonalnie córką.

Brawo. Jeżeli dopiąć, to już naprawdę na ostatni guzik.

- Nie będzie ślubu w sierpniu! - zawarczałam. - Bo ja się na nim po prostu nie stawię!

- Daj spokój...

- Nie dam! Popatrz na nas, Łukasz! - rozwrzeszczałam się. - Przyjrzyj się nam, jak żyjemy! Kiedy byliśmy gdzieś ostatnio razem? Kiedy rozmawialiśmy? Tak po prostu o czymkolwiek? Kiedy wreszcie spędziliśmy dzień bez jednej kłótni? Bez przerwy się o coś drzemy, ja mam tego dość!

- Wiesz co?! - dał się wreszcie ponieść emocjom. - Ja też mam tego dość! Bez przerwy pętają się naokoło ciebie jacyś faceci, w domu wiecznie jest bajzel, a żebyś pamiętała o ciepłych obiadach... No dobra - poprawił się - wyłączając ostatnie tygodnie. Też mam tego dość!!! Wracać do wiecznie naburmuszonej baby i zaglądać jej w oczy, co znowu powiedziałem nie tak, co zrobiłem nie tak!

Po czym sypnął wiązką najbardziej niecenzuralnych słów, jakie kiedykolwiek padły z jego ust. A że wiązanki nic

nie byłoby w stanie przebić, więc zamilkliśmy zgodnie, wsłuchując się w echo przebrzmiałych słów.

Późnym wieczorem zapukałam do Uli. Otworzyła drzwi w radosnym nastroju przyodziana w zwiewny szlafroczek, różowy aż do bólu. Na mój widok mina nieco jej zrzędała.

No i znowu się rozkleiłam. Nawiasem mówiąc zastanawiające, ile człowiek może wyprodukować płynów. Wyciągnęła ze mnie wszystko, po czym utuliła jak jedno ze swoich dzieci, głaskając uspokajająco po głowie.

- No już. Dobrze będzie. Zobaczysz, Miruś. Wszystko się jakoś ułoży.

- Wiem - siąpnęłam we wściekle różową koronkę. - Tylko kiedy? Kiedy Ula? Znowu zaczynam wszystko od zera.

- Może to i dobrze?

- Może i tak, tylko na pewno nie dla mnie. A powiedz mi, co ty właściwie planujesz w związku z Michałem?

- W jakim związku, w jakim związku, kobieto? Chodź, pokażę ci coś. Popatrz - wskazała ręką uchylone drzwi do dziecięcego pokoju. Tylko Zosia jeszcze nie spała. Lampka na górnym łóżku otaczała łagodnym światłem jej małą głowę. - Czyta, widzisz? Staś, na tym samym piętusie, tyle że niżej, zdążył się już odkopać, a nogi schował pod poduszką... To jest moje życie, Mira. Oni wszyscy.

- Ula...

- Cśśśś - Odciągnęła mnie od drzwi i wskazała głową kuchnię. Poczłapałam więc, rejestrując po drodze, jak zagląda do Pawła, przykrywa go pledem i przycisza telewizor. Bo zasnął.

- Ula, ja o Michała pytałam. - Nie rozumiałam, dlaczego pokazuje mi po kolei wszystkich członków swojej rodziny.

- Poczekaj chwilę, nie gorączkuj się, a sama w końcu wpadniesz na to, o czym mówię - stęknęła, sięgając do szafki nad zlewem. Grzebała chwilę, grzebała, w końcu wyciągnęła

małe pudełko. Popielniczka wylądowała na środku stołu - niezbyt częste chwile, a Ula z namaszczeniem uniosła wieko tekturowego pudełka. Po kolei wyjmowała jakieś zwitki papieru i podawała je mnie.

- Ula... to... zdjęcia USG? Prawda? - Zakreśliłam się niepewnie. Medyczna terminologia była mi całkowicie obca i, na razie, zupełnie zbędna. Jednak charakterystycznych karteluszków z tuzinem biało - czarnych plam, których nigdy nie mogłam w sensowny sposób zidentyfikować, nie dało się pomylić z niczym innym.

- Nooo.

- Nie rozmaślaj się, tylko mi powiedz - nagle mnie tknęło - o Boże, Ula, kochana, czy ty jesteś chora? Ja cię tu zadręczam bzdurami...

Spojrzała na mnie nieprzytomnym wzrokiem.

- Co ty do mnie mówisz?

Złapałam ją za rękę i mocno uściśnęłam. Może zbyt mocno, bo syknęła, patrząc na mnie nareszcie nieco bardziej przytomnie. Mogłabym nawet zaryzykować stwierdzenie, że z wyraźną złością.

- Pogięło cię? Miażdżysz mi rękę. To nie moje zdjęcia. Właściwie, cholera, moje, tylko...

- No to twoje czy nie twoje? Do groma, kobieto, mów, co się dzieje, bo za chwilę zwariuję - stęknęłam.

- No moje. Mojego brzucha, a w nim... moich dzieciątek. Wszystkich po kolei. Widzisz?

Na pierwszym z brzegu zdjęciu było delikatnie wykaligrafowane - Zosieńka - trzy tygodnie. Ciarki przebiegły mnie wzdłuż i wszerz. Przeglądałam po kolei wszystkie cztery arkusiki, próbując dostrzec w tym, co przedstawiały, istotę ludzką. Dobiegło mnie westchnienie Ulki.

- Nie dopatruj się rączek i nóżek, tutaj ich nie znajdziesz. Ale poczekaj chwilę! - Zgarnęła szybkim ruchem swój skarb i

umieściła go pieczołowicie na miejscu. Po czym ruszyła do przedpokoju, zaszurało, zaszumiało i wniosła jeden duży karton. Czas na chwilę chyba się zatrzymał, nie dobiegało do mnie już tykanie ogromnego zegara w kuchni, widziałam tylko kątem oka łopoczącą firankę, słyszałam dźwięki gitary basowej dobiegające gdzieś z góry i wpatrywałam się jak urzeczona w zawartość pudła. W realne fragmenty przeszłości.

Na kuchennym stole lądowały kolejno segregatory, cztery sztuki. Pierwszy był najbardziej zapełniony i od tego Ulka zaczęła. Pokazała mi życie Zosi we fragmentach, od samego początku...

Uporządkowane, kartka po kartce, ukazywały się kolejno - jej pierwsze zdjęcia, jasny pukiel włosów, pierwsze rysunki, wszystko skrzętnie opisane kaligrafiami Ulki. Na dnie kartonu dopatrzyłam się jeszcze małego pakunku. Ula z tajemniczym uśmiechem wyjęła zawiniątko.

- Jej pierwsze firmowe ubranko - parsknęła śmiechem, rozkładając delikatnie maluteńkie rękawki.

- Czy dzieci to widziały? - wykrztusiłam wreszcie, wskazując palcem na cały rozłożony na stole arsenał.

- Szalona. Rozdrapałyby to w ciągu kilku minut.

- To po co to zbierasz?

- Po trosze dla siebie. Czasami wieczorem rozpakowuję to wszystko i przyglądam się kolejnym etapom ich życia. Czasami to najlepsze lekarstwo - westchnęła. - Zwłaszcza, jak mi które zalezie za skórę. A tak naprawdę... Tylko nie śmiej się, z łaski swojej... Szykuję im prezenty na... powiedzmy... osiemnastkę. Rozumiesz już, prawda? Nigdy w życiu nie zostawię tego. Nic nie jest dla mnie ważniejsze. Mówisz, że najważniejsze, żeby tylko dobiec do mety, a ja, widzisz, zastanawiam się, czy czasami meta nie jest dopiero na samym końcu, gdy zaczynasz widzieć już jasne światelko, czy bieg nie zaczyna się od ślubnego kobierca właśnie. Albo od

naszych urodzin... Zależy jak spojrzeć na tę metaforę. Poza tym, nie powiem, to ważne, z kim się biegnie. Paweł... Nie wiem, jak będzie. Podejrzewam, że mydlił mi oczy tą panią prezes. Od czasu do czasu poczuję odrobinę tego gryzoniowatego zapachu. Trudno. Niech robi, jak chce, ja mam tutaj to wszystko - wskazała na stół.

- Uła, jak możesz? A tobie? Tobie się nic od życia nie należy?

- No kochana, to, co mam, to jest baaardzo dużo. Możesz mi wierzyć. A jeśli chodzi o faceta... Hm, nie Paweł, to ktoś inny, tylko czasu spędzonego razem szkoda...

Maj

Witaj nam, wiosno! Witaj serdecznie! Grzej zmarznięte kosteczki i przyświecaj słońcem jak najwięcej.

Taaak.

Łukasz się wyprowadził. Można powiedzieć, że od dwóch tygodni, z małym haczykiem, prowadzę sobie żywot kobiety samotnej. Co do tego doprowadziło? Jad. Wylewaliśmy go na siebie całymi hektolitrami: Tak, żeby wylać caluteńki, który nagromadził się podczas trwania tego związku.

Z każdym dniem coraz szerzej otwierały mi się oczy. Nie miałam jednak najzwyklejszego pojęcia, jakim cudem w ogóle udawało nam się funkcjonować. Okazało się, że każde z nas ma potężny ładunek żalu, pretensji, goryczy i... właściwie wszystkich najgorszych uczuć, jakie można mieć względem drugiego człowieka.

Ale rozstaliśmy się właściwie w zgodzie, pukając nawzajem w czoło. No bo po co było się katować tyle czasu?

Czas zmierzyć się z tytanem.

- Halouuu - zabrzmiało po kilku sygnałach.

- Cześć, mamó. Słuchaj... ja... Co słychać?

- Wszystko w porządku. Moje zdrowie, oczywiście, szwankuje, ale nikogo to nie obchodzi. Ojciec natomiast popija ten swój rum i chodzi jak szczygiełek, chyba przerzucę się na jego metody leczenia. A co tam u was?

- A nic, tak właśnie sobie pomyślałam, może wpadnę do was jutro?

- Wpadajcie, dzieci, wpadajcie - zamruczała, łomocząc czymś zawzięcie.

- Co ty robisz, mamó?

- Kotlety tłukę. O której będziecie?

- Ja będę, mamó, przyjadę... gdzieś koło południa. Pa! - Jednak czegoś się nauczyłam. Nie dając jej szansy na odpowiedź, wcisnęłam czerwoną słuchawkę.

Na dobiecie - bo nie da się ukryć, ale cały czas snułam się jak nieprzytomna - włączyłam sobie Skunków. Wokalistka wykrzykiwała wszystkie moje pretensje do świata, więc nie pozostawało nic innego, jak do niej dołączyć. W domu prócz tego pustka, cisza.

Dziwne.

Zdarzały się przecież dni, które spędzałam sama. Ale oprócz mojej cielesnej obecności była jeszcze obecność Łukasza. To wpadałam na jego kapcie, to sprzątałam gazety.

Teraz duży pokój świecił pustką. Mimo wpakowania tam tuzina kwiatów, nie zyskał na przytulności. Nie, to nie to, że brakowało mi Łukasza. Brakowało po prostu... kogoś.

- Zainwestuj w jakieś zwierzę - poradziła mi Agnieszka.

Tak, zwierzę. Najlepiej takie z metr osiemdziesiąt, o błyszczącej pięknie na brązowo sierści. Troskliwe, miłe i gospodarujące takim zasobem cudownych spojrzeń, że zwałało mnie z nóg.

Wbrew przypuszczeniom moich serdecznych przyjaciółek, nic się nie rozeszło po kościach. Potrafiłam spędzać w cichym domu całe noce na bzdurnych mrzonkach i wbrew racjonalnym argumentom nijak nie dałam rady pozbyć się z głowy Sebola.

Ech. Zerknęłam na zegarek.

Jeszcze godzina. Mam godzinę na doprowadzenie się do porządku, kąpiel, make - up, włos ułożyć... Obie - i Agnieszka, i Ula - dokładały morderczych starań, żebym jak najmniej czasu spędzała w domu. Zdobywają bilety, wlewają we mnie hektolitry trunków, podrzucają swoje dzieci do niańczenia. Znaczą Ula podrzuca. Agnieszka jest raczej od wyczarowywania biletów.

Maznęłam się bez przekonania po twarzy...

Przetrwać... dzisiaj... Masz rację, Skin. Dzisiaj, jutro i do końca życia.

Sobota

- Tak czułam, chodź tu. - W ten właśnie sposób mama skwitowała moje rewelacje dotyczące Łukasza i sierpniowego ślubu. Nie krzyczała, nie rwała włosów z głowy, tylko przyciągnęła mnie do siebie i przytuliła. Z przykrością stwierdzam, że nie znam zupełnie rodzonej matki. A może ona jest po prostu nieobliczalna? - Nie był w ciebie wpatrzony jak w obrazek. Oj, nie był.

- Mamo - zapytałam, podnosząc głowę z jej kolan. - Nie jesteś zła?

- No, czasami jestem zła - uśmiechnęła się. - Martwię się tylko, że tyle czasu zmarnowałam. Ale wiesz co? Ułoży się wszystko.

Kiedy?

Wtorek. Któryś z rzędu

Koordynator ds. sprzedaży hurtowej. Kierownik biura projektowego. Handlowiec.

Grafik ma być. Grafiki... Ludzie, nie szukacie czasami grafika?

- Mira, nie widać cię zza tej gazety! - Z pasjonującej lektury wyrwał mnie radosny głos Agnieszki. - Co robisz?

- Szukam pracy - oznajmiłam ponuro.

- Jak to szukasz pracy? Dlaczego? Tadeusz przecież wychwala cię aż do granic obrzydliwości...

- Ja tego nie wytrzymam! - Zerknęłam do kuchni. Towarzystwo już zdążyło się napić kawą, spożyć drugie śniadanie i rozlazło się leniwie po swoich stanowiskach pracy.

- Chodź, zrobię sobie przerwę.

- Czego nie wytrzymasz? - Agnieszka pochyliła się nade mną, gdy już napełniłyśmy kubki.

- A jak ci się wydaje? Nie jestem w stanie go tutaj unikać. Przychodzi do mnie kilka razy dziennie. Mijam się z nim w drzwiach. Przypadkiem wpadamy na siebie przy ekspresie. A ja już nie dam rady. Odchodzę, Aga.

- Hm, hm, to chyba pochopna decyzja, zważywszy, że mieszkasz sama...

- Jak to mieszkasz sama?! - Sebastian stał na baczność w kuchennych drzwiach. - Przecież mieszkasz z narzeczonym!

- Nieładnie podsłuchiwać, mój drogi - skwitowała Agnieszka, obserwując uważnie całą paletę czerwieni, która przepływała przez moją twarz.

Sebastian nie słuchał jej jednak, tylko wpatrywał się we mnie bardzo intensywnie.

- Sama? Naprawdę?

- Odmelduj się, Sebol, proszę, bo mamy tu mały problem i próbujemy go rozwiązać - Agnieszka wypychała go już za

drzwi. - Kawy się później napijesz. Daj nam kilka minut, plizzz.

- No i widzisz? On jest po prostu wszędzie, a najgorsze w tym wszystkim jest to, że ciągle traktuje mnie jakbym była, nie wiem, cholera, jego siostrą? W nosie mam siostrzany układ.

- Mira, no a gdzie ty właściwie chcesz się zaczepić i jako kto? - dociekała.

- Jako grafik. Sprzęt mam, o ironio, dzięki komu? - Wskazałam na drzwi. - No właśnie, Tadeuszowi moje projekty bardzo przypadły do gustu, bo przecież w końcu mnie namówił, żebym wydobyła je na światło dzienne.

- Kto, Tadeusz?

- Tam Tadeusz, on nie miał bladego pojęcia, że jego asystentka próbuje coś tworzyć.

- Sebastian - stwierdziła bardziej, niż zapytała Aga.

- No a któż by inny. No, w każdym razie tak to widzę. Trochę funduszy zgromadziłam, a jakby nadszedł prawdziwie ciężki czas, to będę się żywić tynkiem, na przemian z maminymi przetworami.

- To niedobry pomysł. - Zlustrowała mnie od stóp do głów.

- Wyglądasz jak szkieletor...

- No i dobrze, zawsze o tym marzyłam - wzruszyłam ramionami. - Koniec, będę za nimi wszystkimi tęsknić okrutnie, ale decyzję już podjęłam, nie dam rady, Aga. Po prostu.

Wstawiłam pranie, po czym zasiadłam bezmyślnie przed okrągłym okienkiem, obserwując kręcące się ciuchy. Wszystkie moje, bez wyjątku. Żółte, czerwone, zielone... Ciekawe, czy nic z tych rzeczy nie farbuje? Najwyżej będę miała niepowtarzalną garderobę.

Zadzwoił domofon.

Nie ma mnie w domu. Dla nikogo. Awizo proszę zostawić w skrzynce.

Zadzwoił jeszcze dwa razy, po czym umilkł. I bardzo dobrze, westchnęłam, jutro czeka mnie przeprawa z Tadeuszem. Spróbuję z nim porozmawiać tak zwyczajnie, po ludzku, o Sebastianie nie będę w ogóle wspominać, powiem, że chcę się rozwijać. Tak, a wtedy on mi palnie, że równie dobrze mogę się rozwijać w jego firmie. Zrzuciłam spódnicę i w samej bluzce pomaszerowałam do szafy w przedpokoju, po czym przyjrzałam się uważnie własnemu odbiciu.

No faktycznie, dobrze nie jest, trzeba zacząć coś jeść. Odchyliłam bluzkę. Obojczyk prezentował się w całej okazałości, kości na ramionach też. Do biustu - dobrze, że jeszcze trochę mi go zostało, tak nawiasem mówiąc - prowadziła równiutka drabinka widoczna gołym okiem. Drzwi się nagle otworzyły.

- Aaa, dlaczego nie pukasz? - Snoopy, matko kochana, dlaczego nie założyłam dzisiaj majtek ze Snoopym?!! Trzeba nadmienić, że dolną część mojego ciała zdołała malutka koronkowa szmatka, której wcześniej nigdy nie nakładałam z racji wybujałych gabarytów. Rzuciłam się do łazienki.

- Przepraszam! Ja... no, sprawdzałem, czy zamykasz drzwi tak jak prosiłem. - Idiotyczne wytłumaczenie, trzeba przyznać - Przepraszam, Mira.

- Słuchaj, ja muszę z tobą porozmawiać - wypalił, gdy już wyszłam z łazienki, okutana od stóp do głów. Tak, żeby fragment gołego ciała już mi nie wystawał z żadnej strony.

- Rozmawiajmy więc. Napijesz się czegoś? - Nie czekając na odpowiedź, ruszyłam do kuchni. Boże, jak tu mało miejsca, tak jakby nie było czym oddychać. - Usiądź.

- Mira... Poczekaj, zostaw ten kubek, porozmawiaj ze mną.

- Rozmawiamy przecież...

- Ale tak, żebym od czasu do czasu mógł spojrzeć ci w oczy. - Coś mi to przypomniało. Tylko co? Nie, nie, nie dotykaj mnie, bo nie zdzierzę. Zabrałam rękę i zajęłam się nasypywaniem herbaty. - Ja... Pamiętasz, jak mówiłem o naszym teatrze, o odgrywaniu ról?

- Yhm.

- O tym, jak jedna ze stron może się zanadto zaangażować? Pamiętasz? - No, rzecz jasna, że pamiętam, bo była to jedna z tych chwil, w których człowiek czuje się najbardziej paskudnie. Upokorzona - o, tak się wtedy właśnie czułam. Paskudnie upokorzona, matko, on coś dalej mówi, tylko co...

- Możesz powtórzyć, bo...

- Ja mówiłem o sobie, Mira - dobiegł do mnie jego cichy głos.

Co?! Nie, on przecież miał, tfu, ma cały czas Monikę, a ty miałaś wtedy Łukasza - coś mi podszeptało. Nie, chyba jednak nie do końca zrozumiałam. Usiadłam wreszcie naprzeciwko niego.

- Sebastian, mów po kolei, proszę.

- Po kolei? Jakiś czas temu rozstałem się z Moniką, wyprowadziła się ode mnie. - Orkiestra symfoniczna zaczęła grać w mojej głowie radosny utwór na tysiące instrumentów. - Ja nie wiedziałem, że ty, znaczy wy też, że nic z tego nie wyszło, dlatego nie zwracałem ci głowy, ale... Mira... - na to spojrzenie wszystkie Miry w mojej głowie, te rozsądne i mniej rozsądne, zaczęły trzaskać hołubce - ...prawda jest taka, że to o tobie myślę, twój zapach czuję bez przerwy, mam ochotę zakładać obrączki twoich loków na palce i najlepiej... nigdy nie tracić cię z oczu...

- Sebastian - westchnęłam cicho.

- Wiem, poczekaj, ja wiem, że pewnie musisz się otrząsnąć po poprzednim związku. Ja będę, Mira, cały czas będę obok. Daj mi kiedyś szansę.

Po czym wyszedł.

Tak po prostu wyszedł sobie. Przez chwilę nie mogłam dojść do siebie, po czym zerwałam się na równe nogi, pędząc do telefonu, poprawiłam włosy, mrugnęłam kilka razy do zarumienionej niewiasty w lustrze i zaczęłam stukać.

Pod oknem nie było go widać, więc otworzyłam je na oścież. Jest, jest, cholera, już dochodzi do tego swojego kombi. „Herbata ci stygnie, ale masz jeszcze szansę wypić ją ciepła...” - wyślij, szybko.

Wpatrywałam się w jego pochyloną sylwetkę. Widziałam, jak wyjmuje kluczyki z kieszeni spodni, jak sięga do drugiej kieszeni. .. po telefon. Wreszcie, jak odwraca się i biegnie z powrotem.

Wpadł na Michała, przeprosił szybko, ruszył dalej. Niewiele brakowało, a rozdeptałby na miazgę Zibiego. Znowu przeprosił i leciał.

Do mnie.

Michał podniósł oba kciuki, na co zamachałam szaleńczo.

Herbatę wypiliśmy gdzieś koło północy.

KONIEC